

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

11.760.047



JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE

POLITYCZNE NEUROZY

NEUROZY

INCE

INSTITUT LITERACKI

WARSZAWA
UL. KRZAKÓW 17
TEL. 21 11 11 11

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 144

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91, avenue de Poissy, Mesnil-le-Roi
par 78-MAISONS-LAFFITTE

JULIUSZ MIEROSZEWSKI

POLITYCZNE NEUROZY

INCE

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1967

TEGOŻ AUTORA

W BIBLIOTECE « KULTURY »

Ewolucjonizm, 1965



II.760.047

Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001010638215

© Copyright by INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., 1967

1967 N 1217

NOTA OD AUTORA

Wykorzystując miejsce przewidziane na wstęp — chciałbym przekazać Czytelnikom kilka informacji wiążących się w pewnym sensie z niniejszą książką.

W ubiegłym roku na łamach znanego periodyku francuskiego ukazał się artykuł omawiający polityczną działalność „Kultury”. Autor — niewątpliwie Polak — podkreślił, że „Kultura” jest dziś jedynym polskim pismem, które od lat propaguje porozumienie polsko-rosyjskie w racjonalnej, demokratycznej płaszczyźnie. Lecz niestety — czytamy w zakończeniu cytowanej wypowiedzi — sam fakt, że „Kultura” jest pismem emigracyjnym przekreśla z góry wszelkie jej wysiłki na tym polu.

Kilka miesięcy temu odwiedził mnie historyk krajowy, profesor jednego z uniwersytetów. Z jego ust usłyszałem następującą wypowiedź: „Nikt dziś poza paryską „Kulturą” nie ma możliwości rewidowania tradycyjnego polskiego stosunku do Rosji. PZPR i wszystkie jej agendy są pro-sowieckie z urzędu — oficjalne ośrodki emigracyjne są natomiast anty-sowieckie również z urzędu. Rosją nie zajmuje się nikt. Społeczeństwo w Kraju nie wierzy ani propagandzie pro-sowieckiej ani propagandzie anty-sowieckiej. Zastanawiając się nad waszą argumentacją Czytelnik krajowy zdaje sobie sprawę, że nie uprawiacie propagandy reżymowej — zwłaszcza, że dla komunistów słowo Rosja jest tabu — z drugiej strony, zdaje sobie również sprawę, że jeśli szukacie nowych dróg porozumienia polsko-rosyjskiego, nie czynicie tego na pewno z polecenia... Waszyngtonu. Robicie to — wbrew obcym i swoim z postawy niezależnej w trosce o przyszły los Polski. Wasze intencje nie budzą podejrzeń i dlatego, powtarzam, tylko paryska „Kultura” ma możliwości analizowania i dyskusowania tego arcy-problemu”.

Naszym głównym zadaniem w „Kulturze” jest wydobyć zagadnienie rosyjskie z obłądnego koła absurdu. Niedawno na łamach jednego z emigracyjnych pism londyńskich, w poważnym artykule spotkałem się z opinią, że każda Rosja jest i będzie naszym wrogiem. Biała, czerwona, liberalna, demokratyczna, parlamentarna — każda. Przypuśćmy, że tego typu wypowiedzi czytają światli Rosjanie, pragnący na dnie duszy wyprostowania stosunków polsko-rosyjskich. My piszemy o „mistycznych (!) źródłach imperializmu rosyjskiego”. Rosjanie w mojej opinii są uprawnieni pisać o mistycznych źródłach polskiej nienawiści do Rosji.

Zagadnienie polsko-rosyjskie jest problemem politycznym a nie mistycznym. By ów problem mógł znaleźć pozytywne rozwiązanie w płaszczyźnie politycznej — trzeba go wpierw wydobyć na światło dzienne z gąszczy emocji, niekontrolowanych reakcji i głuchej a upakarzającej nienawiści.

Jako naród o kulturze zachodniej powinniśmy w dialogu polsko-rosyjskim reprezentować nie wschodni fatalizm, zaprawiony bezsilną nienawiścią — lecz chłodne rozeznanie, oparte o beznamiętną analizę naszych narodowych interesów.

Pewne sprawy są bezsporne. Wieczysta wzajemna wrogość pomiędzy Polską a Rosją nie leży w polskim interesie. Rzetelne i sprawiedliwe wyrównanie stosunków pomiędzy przyszłą Polską a przyszłą Rosją wzmocniłoby Rzeczpospolitą niezmiernie — otwierając przed nią szerokie perspektywy rozwojowe, których jest pozbawiona od czasów rozbiorów.

Neal Ascherson w jednej ze swych korespondencji z Warszawy napisał, że... Hope is of course, a Polish profession. (Nadzieja jest oczywiście zawodem Polaków). Choć wydźwięk tego zdania jest ironiczny — tkwi w nim dobrze zaobserwowana prawda. W życiu trzydziesto-milionowego narodu nie ma beznadziejnych sytuacji. Trafiają się tylko beznadziejni politycy i beznadziejni przywódcy.

J. M.

Londyn, styczeń, 1967.

WSTĘP

CZĘŚĆ PIERWSZA

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w niniejszym tomie nie ma żadnych danych o życiu i działalności autora. Wskazano jedynie na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego. Wskazano również na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego. Wskazano również na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w niniejszym tomie nie ma żadnych danych o życiu i działalności autora. Wskazano jedynie na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego. Wskazano również na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w niniejszym tomie nie ma żadnych danych o życiu i działalności autora. Wskazano jedynie na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego. Wskazano również na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego.

W tym miejscu należy zaznaczyć, że w niniejszym tomie nie ma żadnych danych o życiu i działalności autora. Wskazano jedynie na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego. Wskazano również na jego przynależność do środowiska literackiego i artystycznego.

POLITYCZNE NEUROZY

Teżą niniejszego artykułu jest pogląd, że wykazujemy neurotyczny stosunek zarówno do Wschodu jak i do Zachodu. Szeroko wśród Polaków rozpowszechniona nienawiść do Rosji jako symbolu Wschodu — uniemożliwia nam zrozumienie Zachodu. Jedną z zasadniczych cech człowieka Zachodu jest brak nienawiści do Wschodu. Naszych pisarzy i polityków gardzących Rosją i Wschodem — cechuje nieodmiennie całkowite niezrozumienie psychiki i polityki Zachodu. Nie może być inaczej ponieważ nienawiść do Wschodu jest cechą... wschodnią — obcą Amerykaninowi, Anglikowi czy Francuzowi.

Zacznijmy od mitu, który za Mieczysławem Jastrunem — nazwijmy „mitem śródziemnomorskim”. Może właściwiej byłoby mówić o micie kultury Zachodu, który wyrósł z Grecji, z Rzymu i z chrześcijaństwa.

W Polsce zarówno wyznawcy humanistycznego mitu śródziemnomorskiego — jak i jego wrogowie i grabarze wykazują ćwierćwiekowe opóźnienie historyczne. Spengler, Keyserling, Witkiewicz — cytowani są jako współcześni znawcy przedmiotu. Krytycy marksistowscy idą jeszcze dalej i w każdym studium czy rozprawie powołują się na Feuerbacha — mimo, że ów mędrzec umarł przeszło 90 lat temu.

W Polsce ludzi znających Zachód jest coraz mniej. Starsze pokolenie zatrzymało w pamięci obraz Zachodu sprzed ćwierćstulecia. Wypadły za granicę na miesiąc czy dwa — przy braku książek i prasy zachodniej nie mogą prześledzić postępującego wyobcowania. W okresie ubiegłych trzech dekad Zachód uległ olbrzymim przeobrażeniom. Mit śródziemnomorski wprowadzić nie upadł — choć grzebie go żywcem Piotr Kuncewicz na łamach „wiktorjańskiej” warszawskiej „Twórczości” — lecz uległ

radykałnemu przewartościowaniu. W owym przewartościowaniu Polacy krajowi nie brali udziału i w znakomitej większości nie byli nawet świadkami tego procesu. Tu leży przyczyna, że w „Twórczości” ukazują się eseje, które stanowiłyby ozdobę „Wiadomości Literackich” sprzed roku 1939.

Intelektualiści polscy w wielu wypadkach przejęli marksistowską krytykę kultury burżuazyjnej. Daleko łatwiej jest z pozycji marksistowskich czy semi-marksistowskich krytykować Zachód niż zaakceptować u siebie w kraju „państwowy socjalizm” z jego biurokratyczną klasą rządzącą. Spotkałem wielu inteligentów krajowych, którzy kulturalnie nie należą do nikąd. Stany Zjednoczone krytykują tak jakby byli marksistami — stosunki w Polsce krytykują tak jakby byli antykomunistami. Kultury anglosaskiej nie rozumieją — kultury rosyjskiej nienawidzą.

Stosunki w Polsce nie mogą być porównywane z intelektualną sytuacją w Związku Sowieckim. Rosja — podobnie jak Stany Zjednoczone jest nie tylko krajem lecz i kontynentem — odrębną całością, zamkniętą w swych granicach. Polska natomiast jest obszarem „tranzytowym” i dzięki swej pozycji geopolitycznej, geoideologicznej i geokulturalnej — miałaby wszystkie dane by stać się jednym z najciekawszych krajów w Europie. Mogłaby być wyjątkowym krajem ludzi rozumiejących Wschód i Zachód — krajem jeśli nie wielkich syntetyków — to wyrozumiałych pośredników i negocjatorów. W rzeczywistości jednak w Polsce procent ludzi znających i rozumiejących Zachód maleje. Nie oznacza to jednak niestety, że rosną kadry intymnych znawców Wschodu. Po prostu rośnie armia ludzi, którzy nie rozumieją ani Wschodu ani Zachodu. Na emigracji mamy również legion ludzi, którzy Zachodu nie rozumieją a Wschodu nienawidzą.

Są to sprawy istotne — dotyczą bowiem ogólnych ram, bez których nie może powstać żadna koncepcja polityczna.

Polacy mają na ogół irracjonalny, a tym samym fałszywy stosunek do obu super-mocarstw, które wywierają dominujący wpływ na losy Europy i świata.

Nawet najbardziej pro-amerykańscy emigranci i część Polaków w Kraju — przy każdej okazji wygłaszają oklepane frazesy, że... Zachód sprzedał nas w Jałcie. Faktem jest, że w okresie międzywojennym Ameryka nie interesowała się Europą Wschodnią i przejście tego obszaru pod panowanie sowieckie — w ocenie Waszyngtonu było epizodem pozbawionym większego znaczenia. Jak słusznie zauważył Andrzej Korboński („U.S. Policy in East Europe”) Amerykanie zaczęli się interesować Europą wschodnią dopiero wówczas, gdy już nie leżało w ich mocy zmienić układu faktów dokonanych.

Stany Zjednoczone „odkryły” Europę wschodnią nie na skutek pro-polskich sentymentów lecz dzięki zaborczej polityce sowieckiej. Polityka *containment* miała na celu zatrzymanie pochodu sowieckiego i w tej perspektywie w Europie spełniła swe zadanie.

Obserwując reakcję Polaków od wielu lat, doszedłem do wniosku, że ogólnie biorąc nasz stosunek do Stanów Zjednoczonych jest w równej mierze neurotyczny jak nasz stosunek do Rosji.

Polacy wychowani są od pokoleń w schemacie geopolitycznym rosyjsko-niemieckim. Nasz kraj leży pomiędzy Rosją a Niemcami — w konsekwencji wszelkie porozumienie pomiędzy tymi potężnymi sąsiadami wróży dla nas katastrofę. Powyższy schemat przenieśliśmy obecnie żywcem na stosunki rosyjsko-amerykańskie. Ów „transfer” stanowi jedno ze źródeł irracjonalizmu w naszym podejściu do polityki Waszyngtonu.

Niemal wszyscy Polacy na emigracji i bardzo znaczny procent Polaków w Kraju — uważają Stany Zjednoczone za naszego naturalnego sojusznika. Amerykanie są przeciwnikami komunizmu i w pewnych określonych wypadkach gotowi są przeciwstawić się zbrojnie agresji komunistycznej. W określonych wypadkach i w określonych punktach globu — Amerykanie występują jako sojusznicy miejscowych anty-komunistów zdecydowanych podjąć walkę z agresją czy infiltracją komunistyczną. Byłoby jednak katastrofalnym błędem z powyższego stanu rzeczy wysnuwać wniosek, że antykomunizm jest dostateczną kwalifikacją na sojusznika Stanów Zjednoczonych. Ten błąd popełnia wielu Polaków i tu leży drugie źródło naszego irracjonalizmu w stosunku do Ameryki.

W Polsce w proporcji do cyfry ludności jest dziesięciokrotnie więcej przekonanych antykomunistów niż w Wietnamie. Jednak Warszawa nie ma żadnej szansy stania się drugim Sajgonem. Stany Zjednoczone nie oferują nam sojuszu ani nie gwarantują naszych granic. Możemy liczyć na życzliwość i pomoc amerykańską lecz nie na sojusz i nie na gwarancję granic. W naszym konkretnym wypadku antykomunizm nie zapewnia awansu na sojusznika Stanów Zjednoczonych i analizując sytuację Polski nie należy nigdy o tym zapominać.

Trzecim źródłem naszego irracjonalizmu w odniesieniu do Ameryki jest widmo polityki *liberation*. Polska prasa emigracyjna notuje z nieukrywaniem entuzjazmem każde pogorszenie w stosunkach amerykańsko-sowieckich. Pogrobowcy polityki „wyzwolenia” wyobrażają sobie naiwnie, że formy polityki współistnienia są *de facto* „staczaniem się po równi pochyłej” —



natomiast każde zaostrzenie konfliktu pomiędzy Wschodem a Zachodem może przynieść wskrzeszenie polityki *liberation*.

Szanse nawrotu do polityki „wyzwolenia” są równe zeru — natomiast wydatne i długotrwałe pogorszenie w stosunkach pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem — byłoby wodą na młyny stalinowców i dogmatyków.

Wietnam dostarczył ilustracji w tej sprawie. Filip Ben informował w „Le Monde” o apelach przywódców komunistycznych Polski i Czechosłowacji skierowanych do Moskwy — domagających się akcji odwetowych za bombardowania amerykańskie. Władcom satelickim chodziło z jednej strony o upadek prestiżu ich protektorki Moskwy, z drugiej strony w aferze wietnamskiej dojrzeli szanse zaostrzenia konfliktu amerykańsko-sowieckiego. Każde zaostrzenie konfliktu stwarza możliwość umocnienia „żelaznej kurtyny” i dostarcza argumentu w walce z „liberałami” i „rewizjonistami”.

Nie tylko w tym wypadku lecz i na wielu innych polach tzw. „niezłomni” wspomagają *de facto* stalinowców i dogmatyków, którzy w zaostrzeniu konfliktu widzą jedyną gwarancję swojego trwania przy władzy i przy żłobie.

Dla polityków emigracyjnych demonem i „antychrystem” XX wieku jest Moskwa. Lecz Amerykanie nie podzielają tego poglądu. W „Foreign Affairs” ukazał się znamieny artykuł Williama C. Foster’a dyrektora amerykańskiej Komisji Kontroli Zbrojeń i Rozbrojenia (U.S. Arms Control and Disarmament Agency). Autor zajmuje wybitne stanowisko w administracji Johnsona i należy przypuszczać, że cytowany artykuł w „Foreign Affairs” ukazał się za zgodą prezydenta.

Zasadniczą tezą artykułu Foster’a jest stwierdzenie, że potencjał nuklearny Rosji Sowieckiej stanowi dziś mniejsze niebezpieczeństwo niż ryzyko rozpowszechniania się broni atomowych wśród innych narodów. Sowiety przestały być niebezpieczeństwem Nr 1. Niebezpieczeństwem Nr 1 stała się groźba rozszerzenia się „zarazy atomowej” na inne kraje spoza klubu nuklearnego.

Zdaniem Foster’a również czynnik czasu w powyższych zagrożeniach odgrywa różną rolę. Konflikt z Sowietami posiada charakter długofalowy i okres dwóch czy trzech lat pozbawiony jest większego znaczenia. Natomiast jeżeli Stany Zjednoczone i Związek Sowiecki nie powstrzymają procesu rozpowszechniania się broni atomowych — na wszystko może być za późno. W konsekwencji, układ z Sowietami, dotyczący kontroli zbrojeń atomowych, jest w opinii Foster’a najpilniejszym zadaniem polityki ame-

rykańskiej, nawet, gdyby niósł z sobą ryzyko erozji obecnych sojuszów.

Do krajów o zaawansowanej technologii nuklearnej Foster zalicza: Szwecję, Izrael, Indie i Japonię. Zachodnie Niemcy, Zjednoczona Republika Arabska i Pakistan mogłyby osiągnąć „poziom nuklearny” przy pewnej pomocy z zewnątrz.

Dopóki trwa wojna w Wietnamie układ z Sowietami nie ma wielkich szans powodzenia. Lecz nie ulega wątpliwości, że interesy Sowietów w odniesieniu do problemu rozpowszechniania się broni atomowych są całkowicie zbieżne z interesami amerykańskimi.

Polakom bardzo trudno przychodzi pojąć, że Rosja i Stany Zjednoczone dzięki „nasyceniu” ich potencjałów atomowych — mimo konfliktowości ideologii — posiadają wspólną politykę bezpieczeństwa. Nieobliczalne wręcz możliwości niszczycielskie jakimi dysponują zarówno Waszyngton jak i Moskwa — stanowią źródło swoistej „współpracy interesów” sowiecko-amerykańskich.

Naczelnym celem polityki amerykańskiej jest pokój, przez co należy rozumieć międzynarodowy system zorganizowanego bezpieczeństwa. Nie ulega wątpliwości, że we wszystkich przyszłych negocjacjach w tej sprawie — Rosjanie jako warunek kardynalny wysuną atomową neutralizację Niemiec.



Do roku 1939 Polacy uważali swój kraj za najbardziej na wschód wysunięte państwo zachodnio-europejskie. Uważaliśmy się za naród i państwo zachodnie. Szukaliśmy sojuszników i gwarantów na Zachodzie.

Dziś, znaczny procent Polaków uważa, że zdradzeni przez Zachód znajdujemy się czasowo we wschodnim „domu niewoli”. Obalenie „żelaznej kurtyny”, wolność, demokracja, niepodległość — to wszystko kojarzy się w umysłach Polaków z powrotem na Zachód.

W moim przekonaniu na Zachód nigdy nie wrócimy. Zjednoczenie Europy — jakkolwiek przybierze formę — nie wyrazi się renesansem „egzotycznych” sojuszków.

Na emigracji znakomita większość Polaków widzi zbawienie świata i Polski w rozbiciu Związku Sowieckiego. Wyobraźmy sobie dla przykładu, że Związek Sowiecki rozpada się na kilkanaście małych państw skłóconych i wojujących wzajemnie ze sobą. Wojna domowa niszczy przemysł i rolnictwo i w konsekwencji zapanowuje głód, rozprężenie i chaos.

W polityce, w przeciwieństwie do fizyki, nie istnieje pojęcie próżni. Gdyby potencjał sił reprezentowany przez Związek Sowiecki ulotnił się w powietrze — w bardzo niedługim czasie od Wschodu weszliby Chińczycy a od Zachodu Niemcy.

Potęga w sensie politycznym jest pojęciem relatywnym. Potęgę Sowietów mierzy się potęgą Ameryki a potęgę Niemiec potęgą Związku Sowieckiego. Gdyby potencjał sił Związku Sowieckiego pewnego dnia „wyparował” — status mocarstwowy Niemiec wzrósłby o sto procent. Niemcy nie miałyby rywala na całym europejskim wschodzie aż po Ural. Wówczas wróciłibyśmy na Zachód lecz za niemiecką „przepustką” i bez Ziem Odzyskanych.

Rosji możemy nienawidzić lecz Rosja jest nam potrzebna. W naszym interesie leży europeizacja Rosji i przebudowa Związku Sowieckiego w nowoczesny *commonwealth*. Lecz degradacja Rosji do statusu państwa słabszego od Niemiec bezwzględnie nie leży w polskim interesie.

Ameryka nie proponuje nam sojuszu ani nie zagwarantuje nam naszych granic. Może nam jednak ogromnie pomóc pod warunkiem, że stosunki amerykańsko-rosyjskie ulegną w przyszłości znacznej poprawie.

Pogrobowcy polityki „wyzwolenia” nie rozumieją, że Amerykanie mogą pertraktować z Rosją z pozycji siły lecz nie siłą. Mówiąc po prostu Amerykanie nie mogą Europy wschodniej wyzwolić, lecz przy sprzyjających warunkach mogą nas częściowo „wykupić”.

Na przestrzeni ostatnich dziesięciu lat Amerykanie zainwestowali w gospodarkę południowego Wietnamu dwa biliony dolarów. Europa wschodnia nie jest równie ważnym przedpołem — graniczy bowiem z Rosją a nie z Chinami. Należy jednak przypuszczać, że Stany Zjednoczone pomogłyby narodom wschodnio-europejskim stanąć na własnych nogach, oczywiście przy sprzyjających warunkach.

Co należy rozumieć przez „sprzyjające warunki”?

Należy przez to rozumieć ewolucję w dwu kierunkach. Po pierwsze wydatną poprawę w stosunkach amerykańsko-rosyjskich na terenie Europy, a po drugie wygaśnięcie XIX-wiecznej mentalności w krajach wschodnio-europejskich, a w Polsce w szczególności.

Niezależność państwowo-polityczna w XX wieku to nie są deklaracje i gwarancje, ale przede wszystkim technologia. Wszyscy zdają sobie sprawę z faktu, że postęp technologiczny zależy od badań i doświadczeń naukowych. Doświadczenia naukowe w pewnych dziedzinach fizyki kosztują dziś dziesiątki

milionów dolarów. Budowa „mózgów elektronowych”, prototypów nowoczesnych samolotów, zespołów zautomatyzowanych fabryk — przekracza finansowe możliwości państw znacznie większych niż Polska.

Pełna cybernetyzacja i zautomatyzowanie przemysłów w najbliższych dwudziestu latach spowoduje, że przepaść technologiczną pomiędzy Stanami Zjednoczonymi i Rosją z jednej strony — a Europą zarówno zachodnią jak wschodnią z drugiej strony, wzrośnie do nienotowanych dotąd rozmiarów.

Sir Edward Beddington-Behrens — przewodniczący Brytyjskiej Rady Ruchu Europejskiego — w przemówieniu wygłoszonym w Londynie — wyraził pogląd, że jeżeli kraje zachodnio-europejskie nie zjednoczą swych potencjałów i możliwości w dziedzinie technologicznej — Europa zachodnia na przestrzeni 10-ciu lat stanie się obszarem o zapóźnionym rozwoju gospodarczym w porównaniu z Stanami Zjednoczonymi i Rosją.

Jeżeli tego rodzaju głosy padają o Europie zachodniej to coś można powiedzieć o Europie wschodniej?

Narody wschodnio-europejskie, jeżeli pragną wydobyć się z satelictwa, tzn. z jednostronnej polityczno-gospodarczej zależności od Rosji, winny stopniowo łączyć swe przemysły, fundować wspólne instytuty badawcze i zespolić swe wysiłki na polu elektroniki, automatyzacji, energii atomowej dla celów pokojowych i td.

W Stanach Zjednoczonych ostatnia lokomotywa parowa zniknęła ze sceny w roku 1960. W Anglii sto lokomotyw tygodniowo idzie na złom. W roku 1968 ostatnia lokomotywa w Wielkiej Brytanii wylądowała w muzeum. Wiek pary dobiegł kresu. Dni epoki węgla i ropy naftowej są policzone. Epoka energii atomowej rodzi się na naszych oczach. Europa zachodnia i Europa wschodnia mają przed sobą krótki okres czasu, który winien być wykorzystany do zorganizowania potężnych wielo-narodowych kombinatów przemysłowych, porównywalnych w swych potencjałach z analogicznymi przemysłami w Stanach Zjednoczonych i w Związku Sowieckim. Wydaje się nonsensem, że kraje zachodnio-europejskie konkurują ze sobą w budowie komputerów — zamiast zespolić swoje potencjały technologiczne, które w porównaniu z potencjałami technologicznymi Ameryki czy Sowietów są bardzo ograniczone.

Wojskowo Europa rozpada się na dwie strefy wpływów — amerykańską i sowiecką. Niemiecki „cud gospodarczy” znajduje się w polu obstrzału sowieckich pocisków atomowych średniego zasięgu, których wyrzutnie znajdują się w południowej Rosji. Niemcy wraz z Europą zachodnią chroni amerykański „parasol

atomowy". To jednak nie jest koniec lecz początek rewolucji technologicznej. W najbliższych dekadach Amerykanie i Rosjanie będą mieli orbitalne pociski atomowe, stacje kosmiczne a może bazy na księżycu. Równocześnie będą mieli zautomatyzowany i scybernetyzowany przemysł i do całkowitej hegemonii wojskowej dadzą całkowitą hegemonię gospodarczą. Polacy natomiast będą nadal nicowali Dmowskiego i omawiali przyczyny upadku Powstania Warszawskiego, zaś Anglicy i Francuzi będą organizowali konkurencyjne rocznicowe obchody bitwy pod Waterloo.

Niezależnym jest się zawsze w proporcji do sił, którymi się dysponuje. Indywidualnie żadnego z państw europejskich nie stać dziś na opłacenie swej niezależności. Suwerenność w sensie dziewiętnastowiecznym w kontekście europejskim stała się mrzonką. Niezależność stała się pojęciem kolektywnym. Pewien stopień niezależności wobec Rosji (czy Ameryki) osiągnąć może tylko określone ugrupowanie państw — a nie indywidualne państwo, czy nawet mocarstwo.

Niezależność jest wprost proporcjonalna do stopnia rozwoju technologiczno-przemysłowego. Rewolucję technologiczną w nowoczesnym tych słów znaczeniu Polacy mogą realizować tylko zespołowo w pierwszej linii z Czechosłowakami.

Główną przeszkodą na drodze do wykrystalizowania się współczesnej polskiej doktryny politycznej są konserwatyści, tzn. stalinowcy w Kraju a „niezłomni” na emigracji. Tak jedni jak i drudzy wszystkie swoje nadzieje wiążą z zaostrzeniem się konfliktu pomiędzy Rosją a Ameryką.

Ugodowość, bezplanowość, *appeasement* ze strony Ameryki z całą pewnością nie leżą w polskim interesie. Lecz wojna czy wydatne zaostrzenie konfliktu również nie leży w naszym interesie.

Jest dziś jasne i oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że zasadniczym warunkiem prawdziwej „odwilży” w krajach Europy wschodniej — jest odprężenie w stosunkach rosyjsko-amerykańskich.

Ameryka nie będzie nas „wyzwalać” ani nie zaoferuje nam sojuszu lecz gotowa jest nam pomóc. Pomoc na większą skalę możliwa jest tylko w ramach polityki odprężenia, której konsekwencją byłaby de-stalinizacja ustrojów państw satelickich.

Stalinowcy w stosunku do Zachodu prowadzą identyczną politykę jaką rząd przedwrześniowy prowadził w stosunku do Wschodu. W obu wypadkach zbliżenie zagrażało stabilizacji rządów i niosło „niebezpieczeństwo” reform. Rząd przedwrześniowy odcinał się od Wschodu „żelazną kurtyną” — rząd Gomułki odcinał się od Zachodu również „żelazną kurtyną”. Obie powyższe

polityki są błędne — ilustrują jednak typową dla Polaków jednostronność w szukaniu rozwiązań. Polacy uważają, że istotą prozachodniości jest nienawiść do Wschodu — a istotą prowschodniości nienawiść do Zachodu. Zależnie od układu międzynarodowego, wyznawcy jednej orientacji starają się narzucić swój punkt widzenia wyznawcom drugiej orientacji. W rezultacie tak dla stalinowców w Polsce jak dla „niezłomnych” emigrantów zagranicą — jest nie do pojęcia, że odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą idzie po linii naszych interesów. Tego typu rozwiązanie jest bowiem sprzeczne z tradycyjnym schematem: albo Wschód — albo Zachód.

Musimy zerwać z ową zasadą sprzeczności ponieważ owa rzekoma sprzeczność stanowi istotę polskości. Jako naród należymy równocześnie do Wschodu i do Zachodu. W porównaniu z Rosjanami jesteśmy narodem zachodnim — w porównaniu z Francuzami jesteśmy narodem wschodnim. Różnimy się zarówno od Rosjan jak i od Niemców czy Francuzów tym, że nie można nas bez reszty pomieścić w jednej z szuflad: wschodniej lub zachodniej. Nikt nie robi z nas typowo wschodniego narodu i nikt z nas nie robi typowo zachodniego narodu.

Nie możemy dzielić Polaków na wschodnich i zachodnich, ponieważ Wschód i Zachód spotykają się w każdym z nas. Po 20 latach pobytu w Londynie jakże często jestem świadom mojej wschodniości. Natomiast w Moskwie z całą pewnością czułbym się zawsze człowiekiem Zachodu.

To co powinno nas wzbogacać i czynić z nas wyjątkowy naród w Europie, w praktyce wyraża się w dwóch sprzecznych dyktaturach: kardynał Wyszyński i kościół reprezentują Zachód — Gomułka i partia reprezentują Wschód.

Nasz stosunek do Rosji jest neurotyczny i nasz stosunek do Niemiec jest neurotyczny. Żywa pamięć łagrów i obozów zagłady musi nabrać historycznego patosu czasu dokonanego i zapomnianego, by owe linie podziału zaczęły się ścierać i stapiać w nową całość.

ABC POLITYKI « KULTURY »

„Co należy rozumieć przez właściwą polską politykę?” — zapytuje mnie jeden z naszych Czytelników w Stanach Zjednoczonych. I dodaje: „czy można sformułować jednoznaczną odpowiedź na powyższe pytanie?”

Odpowiedź teoretycznie nie nasuwa trudności. Przez właściwą politykę polską należy rozumieć politykę, która w danej sytuacji najlepiej (najwłaściwiej) służy polskim interesom.

Przez „polskie interesy” należy rozumieć pozycję państwa polskiego w Europie i w świecie. Osobiście uważam, że polskie interesy w odróżnieniu od spraw ustrojowych — winny być rozpatrywane w perspektywie ponad-partyjnej i oceniane kryteriami ściśle pragmatycznymi. Polacy — w przeciwieństwie do Anglosasów — nie mają tradycji ponad-partyjnej polityki zagranicznej. U nas każda partia czy ugrupowanie ma swoją własną koncepcję polityki zagranicznej.

Wbrew tradycji, musimy nauczyć się podchodzić do zagadnień politycznych bezemocjonalnie i z postawy ponad-partyjnej. Polska jest czymś nieporównanie większym i istotniejszym niż wszystkie nasze partie historyczne i niehistoryczne. Nie jestem przeciwnikiem demokratycznych partii politycznych — sądzę jednak, że bardzo nieliczne z tych, które są reprezentowane na emigracji — mają szansę odrodzenia się w przyszłej Polsce. Partie na emigracji są w najlepszym razie tylko depozytariuszami tradycji i dlatego nie przyciągają młodych. Trudno oczekiwać od dwudziestoletniego młodzieńca wychowanego i wykształconego w Londynie, który polskiego chłopca nie widział na oczy i nie potrafiłby odróżnić żyta od pszenicy — by zapisał się do jednego z odłamów stronnictwa ludowego. To samo dotyczy innych stronnictw. Reprezentacja Polaków zagranicznych z całą pewnością ulegnie zmia-

nie ponieważ stronnictwa polityczne wchodzące w skład Rady Jedności Narodowej — znikną ze sceny. Już dziś Polaków na emigracji podzielić można tylko na dwie grupy: pro-reżymowych i anty-reżymowych. Wszystkie inne podziały są nieistotne.

Choć na każdym kroku podkreślamy naszą zachodniość pragmatyzm nigdy nie stanowił naszej mocnej strony. Mimo całej nienawiści do Wschodu — wykazujemy nieprzepartą skłonność do operowania kryteriami ideologicznymi — co jest cechą typowo wschodnią.

Dla pragmatycznie myślącego polityka tylko interesy państwa i narodu stanowią element stały i niezmienny. Wszystko inne zależy od sytuacji i podlega zmianom.

Zilustrujmy ów punkt konkretnymi przykładami. W styczniowym numerze „Esprit” zacytowano mój artykuł ogłoszony w marcowym zeszycie „Kultury” z roku 1964. W artykule tym wyraziłem pogląd, że gdyby Rosja weszła na drogę porozumienia z Niemcami — Polska winna wówczas szukać zbliżenia z Pekinem.

Osobiście, z przyczyn o których będzie jeszcze mowa, jestem zwolennikiem porozumienia polsko-rosyjskiego, które winno zastąpić status satelicki. Gdyby jednak Rosjanie podjęli kiedyś politykę zbliżenia z Niemcami wówczas każdy nieprzejednany wróg Rosji stałby się automatycznie naszym sojusznikiem. Komunizm chiński jest jeszcze bardziej totalistyczny i odrażający niż komunizm sowiecki. Lecz w takim wypadku nie wchodzi w grę ani sympatie ani antypatie, ponieważ liczyłby się tylko jeden element tzn. nastawienie anty-rosyjskie.

Jako pragmatycy nie jesteśmy w „Kulturze” ani pro-rosyjscy ani anty-rosyjscy — ani pro-niemieccy ani anty-niemieccy — staramy się tylko być konsekwentnie polscy.

W okresie wojny koreańskiej nie nasi patentowani „niezłomni” lecz „Kultura” wysunęła sugestię utworzenia symbolicznej polskiej jednostki wojskowej. W owym czasie *roll-back policy* miała wszelkie pozory konkretnego programu. Nie wierzyłem w wojnę światową, lecz byłem przekonany, że zdecydowana demonstacja siły ze strony Stanów Zjednoczonych może w znacznej mierze zmienić układ w Europie wschodniej.

Dziś nie namawiamy nikogo by jechał do Wietnamu walczyć z komunistami. Czy to oznacza, że zmieniliśmy nasze przekonania? Nie, zmieniliśmy tylko naszą politykę i taktykę ponieważ sytuacja międzynarodowa uległa radykalnej przemianie.

Wybrałem dwa jaskrawe przykłady by wykazać na czym polegają „zygzaki” polityki „Kultury”. Gdybyśmy byli doktrynalnymi antykomunistami jak nasi „niezłomni” — powtarzalibyśmy w

kółko to samo od lat 20-tu. W naszej polityce nie byłoby zygzaków lecz nie byłoby również i sensu.

Jesteśmy zdecydowanymi przeciwnikami oceny interesów narodowych kryteriami ideologicznymi bez względu na to czy daną ideologią jest komunizm czy anty-komunizm. Ocena kryteriami ideologicznymi prowadzi nieuchronnie do identyfikacji interesów ideologii z interesami państwowymi — co w praktyce oznacza podporządkowanie racji stanu — racji ideologicznej.

Reprezentujemy pogląd, że polska racja stanu jest suwerenna i nadrzędna w odniesieniu do każdej ideologii. Ci, którzy głoszą prymat postulatów ideologicznych, ci, dla których rozbicie Sowietów i zlikwidowanie komunizmu jest ważniejsze niż polskie interesy obecne i przyszłe — winni szukać porozumienia z Niemcami, ponieważ jest to najpotężniejszy i najbardziej anty-komunistyczny naród w Europie. Są wśród nas ludzie, którzy myślą po tych liniach a od kokietowania Niemców powstrzymuje ich tylko lęk przed opinią publiczną.

Ponieważ w sprawie Odry i Nysy — „Kultura” zajmuje identyczne stanowisko jak polska prasa komunistyczna — „Deutscher Ost-Dienst” z dnia 20. I. 1965 r. nazwał mnie *ein nichtkommunistischer „Gomulkist”* (nie komunistyczny „gomułowicz”). Dla panów z „Deutscher Ost-Dienst” każdy Polak, który broni granicy na Odrze i Nysie jest kolaborantem współpracującym z komunistycznym reżymem. W oczach redaktorów „Ost-Dienst” — stałbym się antykomunistą dopiero wówczas gdybym oświadczył publicznie, że ziemie nadodrzańskie należą się Niemcom.

Jesteśmy przeciwnikami komunizmu — co łatwo wyczytać z łamów „Kultury” — lecz i w tej sprawie jesteśmy pragmatykami. Amerykanie w gruncie rzeczy są również pragmatycznymi antykomunistami. Od „roll-back policy” poprzez „containment” do zróżnicowanej „koegzystencji” — doprawdy trudno o bardziej zygzakowaty wykres. Amerykanie walczą i giną w Wietnamie — choć wolne wybory przeprowadzone w tym kraju niemal na pewno dałyby większość komunistom. Nie udzielili natomiast pomocy Budapesztowi — choć wolne wybory na Węgrzech dałyby przytłaczającą większość przeciwnikom komunizmu. Prez. Johnson ocenia, że obrona południowego Wietnamu leży w interesie Ameryki — natomiast prez. Eisenhower uważał, że interwencja amerykańska w okresie powstania węgierskiego zagroziłaby interesom Stanów Zjednoczonych w Europie. Z cytowanymi decyzjami można się zgadzać lub nie zgadzać — można oceniać je pozytywnie lub negatywnie — niemniej w obu wypadkach prezydenci kierowali się wyłącznie pragmatycznie pojmowanym interesem Stanów Zjednoczonych.

W ocenie interesów można popełnić błąd. Lecz pragmatyk — ponieważ nie patrzy poprzez ideologiczny pryzmat — ma większą szansę niż doktryner dostrzeżenia w porę błędu i zmiany polityki. Konieczność zmiany polityki na danym odcinku nie przeraża pragmatyka ponieważ wie, że w tej grze jedynym punktem stałym są interesy narodowo-państwowe. Wszystko inne musi być zmienne i ruchome — zależnie od rozwoju sytuacji — bo tylko w ten sposób interesy narodowo-państwowe mogą być należycie obsłużone i zabezpieczone.

By uniknąć zarzutu, że propaguję zasady *right or wrong — my country*, „cel uświęca środki” i tp. — pozwolę sobie zauważyć, że etyka i moralistyka nie wchodzi w zakres polityki. Argumenty moralne mobilizują zawsze ci, którzy ponieśli klęskę. Zwycięzcy o moralności i etyce mówią niezmiernie rzadko. Należy również podkreślić, że kryteria etyczne nawet starych, ustabilizowanych religii ulegają wielkim zmianom. Chwałamp sądził, że pan Wołodyjowski zgładziwszy tylu heretyków więcej tym udelektował Pana Jezusa niż ksiądz kazaniami. W owej epoce był to pogląd powszechny. Gdyby pan Wołodyjowski wstał z grobu uważałby, że należy zorganizować krucjatę przeciwko bezbożnym potęgom komunistycznym. Czekałoby go wielkie rozczarowanie, ponieważ pierwszym człowiekiem, który by oparł się temu projektowi byłby papież.

Celem polityki jest definiowanie interesów państwowo-narodowych oraz szukanie dróg maksymalnego ich zaspokojenia i zabezpieczenia. Mieszanie norm politycznych i etycznych nie wychodzi na dobre ani polityce ani etyce. Natomiast obywatele mają prawo domagać się odpowiedniego poziomu moralno-etycznego od swoich reprezentantów politycznych. W krajach demokratycznie rządzonych poziom etyczny polityków odpowiada na ogół przeciętnemu poziomowi danego społeczeństwa. Im przeciętny poziom jest wyższy tym i poziom polityczny reprezentantów jest wyższy. Kraj w którym kwitną przekupstwo, łapownictwo i pogarda dla praworządności — nie może oczekiwać, że wolne i demokratyczne wybory obdarzą go nagle rządem sprawiedliwych i uczciwych polityków.

Przed laty, Paweł Hostowiec w jednym z pierwszych odcinków „Notatnika nieśpiesznego przechodnia” — opisując swą podróż po Niemczech bezpośrednio po kapitulacji — zanotował wśród ocalałej anty-hitlerowskiej inteligencji niemieckiej renesans „Iliady”. Wśród gruzów dawnej Europy inteligenci niemieccy pragnęli sięgnąć do źródeł i umocnić się w poczuciu ciągłości zachodnio-europejskiej kultury.

Przystosowalność człowieka w sensie fizycznym jest zdumie-

wająca. Lecz ten sam człowiek, który z łatwością przystosuje się do stanu nieważkości w statku kosmicznym — gdy pogląd tradycyjno-społeczny w którym się wychował runie — sięgnie po „Iliadę” lub Biblię a jeżeli będzie Polakiem po „Księgi Pielgrzymstwa” a nawet po Kraszewskiego.

„Kultura” nie stanowi w tym względzie pełnego wyjątku. Gdy przeglądam dziś roczniki naszego pisma, wydaje mi się, że reagowaliśmy wolno, że nie — zbyt często, lecz przeciwnie — zbyt rzadko zmienialiśmy formuły polityczne, że intelektualnie nie zawsze nadążaliśmy za błyskawicznie zmieniającą się sytuacją i woleliśmy sięgać po polskie „Iliady” niż wykreślać plany w oparciu o analizę trudnej rzeczywistości.

Pod koniec drugiej wojny światowej dosłownie wypadło dno ze świata, którego pierwsza i druga Rzeczpospolita stanowiły kolejno część składową. Koncepcje Dmowskiego i Piłsudskiego — nie mówiąc o koncepcjach dawniejszych — utraciły układ odniesienia, stając się historią zamkniętego okresu. Istnieją Niemcy i Rosja, tak jak dawniej, lecz oba te państwa weszły w skład całkowicie zmienionych systemów europejskiego i światowego.

Układem odniesienia dla każdej polskiej koncepcji politycznej była Europa. Nawet wówczas, kiedy nie było nas na mapie — układem odniesienia wszystkich naszych poczynań była zawsze Europa. Niestety Europy naszych wodzów, polityków i myślicieli nie ma. Mur berliński oddziela żołnierzy amerykańskich od sowieckich, którzy symbolizują okupację przekształconą w system.

Wielu Polaków nie zdaje sobie sprawy z faktu, że chcąc przywrócić sens jakże niedawnym polskim koncepcjom politycznym — trzeba by wpięrow odbudować ich europejski układ odniesienia, tzn. wyewakuować Amerykanów i Rosjan i przywrócić sytuację sprzed 30 laty. To jest zadanie, które przekracza siły Europejczyków. Nasi super-partnerzy tzn. Rosja i Stany Zjednoczone nie zdradzają najmniejszej chęci odrestaurowania samodzielnej Europy z Sowietami na granicy z 1939 roku.

Równocześnie oś światowego konfliktu przesunęła się z Europy do Azji. Skłonny jestem przypuszczać, że w najbliższych latach czeka nas seria wojen azjatyckich lecz nie europejskich.

Chciałbym jeszcze raz podkreślić wyjątkowość sytuacji w jakiej wypadło żyć naszemu pokoleniu. Utraciliśmy nie tylko niepodległość — lecz utraciliśmy również Europę w której ramach mogliśmy wywalczyć i odbudować naszą niepodległość. Wszystkie polskie koncepcje i doktryny polityczne stały się anachronizmem

nie dlatego, że były fałszywe — lecz dlatego, że utraciły układ odniesienia, który stanowił ich fundament.

Jestem przekonany, że Polska i kraje Europy Wschodniej odzyskają w pewnych formach niepodległość — natomiast nie wierzę by nasz kontynent wrócił do sytuacji porównywalnej z układem z 1939 r. W konsekwencji nie wierzę w polityczną zastosowalność jakichkolwiek polskich doktryn czy koncepcji politycznych mających swe źródła w układzie sprzed września 1939 roku.

Nie tylko my znaleźliśmy się w takiej sytuacji. Anglia nie utraciła wprawdzie niepodległości lecz układ odniesienia jej tradycyjnej polityki zapadł się wraz ze światem, który zgasł we wrześniu 1939 r. W polityce angielskiej ścierają się tradycyjne anachronistyczne poglądy z próbami poszukiwań nowych rozwiązań. Anglia nie odnalazła jeszcze ani swej pozycji ani nowego kursu na mapie powojennej epoki.

W myśleniu historycznym i politycznym jest niezmiernie trudno wydobyć się z zaczarowanego koła wspomnień i analogii. Dla większości Polaków na emigracji ewentualny upadek Sowietów ewokuje obraz sytuacji z 1918 r. Sowiety okupują całą Europę wschodnią — w konsekwencji upadek tego olbrzymazaborcy — w takiej czy innej formie — musiałby przynieść wyzwolenie i niepodległość.

Niestety pomiędzy upadkiem czy rozkładem dzisiejszej Rosji Sowieckiej a sytuacją jaką zarysowała się pod koniec pierwszej wojny światowej nie ma absolutnie żadnej analogii. Rok 1918 w polskiej perspektywie oznaczał nie tylko rozkład carskiej Rosji — lecz również klęskę militarną cesarskich Niemiec i cesarskiej Austrii. Równoczesność upadku trzech naszych zaborców stworzyła ową wyjątkową koniunkturę.

Trudno wyobrazić sobie sytuację, która w pewnej mierze byłaby analogiczną do 1918 r. Nawet gdyby doszło do wojny przeciw Sowietom — czy przeciw Sowietom i Chinom — tym razem Niemcy znalazłyby się po właściwej stronie frontu jako główny europejski sojusznik Stanów Zjednoczonych.

Dlaczego wojna przeciwko Sowietom w Europie jest mało prawdopodobna? W prasie amerykańskiej ukazały się fotografie podpisane „U.S. Navy”. Owe oficjalne fotografie dokonane przez zwiadowcze samoloty marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych — przedstawiają atomowe sowieckie łodzie podwodne patrolujące stale wzdłuż wschodnich i zachodnich wybrzeży Ameryki. Jak wynika z ogłoszonych informacji podwodne okręty sowieckie wyposażone są w 3-6 pocisków nuklearnych o zasięgu 350 mil.

Wśród depesz i fotografii z wietnamskiego teatru wojny po-

wyższa wiadomość nie wzbudziła ani ech ani komentarzy. A przecież to jest powrót do sytuacji „kubańskiej” z października 1962. Stany Zjednoczone znalazły się bowiem powtórnie i tym razem na stałe w polu ostrzału atomowych pocisków sowieckich średniego zasięgu. W praktyce oznacza to również, że gdyby Stany Zjednoczone uderzyły pierwsze i zniszczyły na terytorium Związku Sowieckiego wyrzutnie pocisków międzykontynentalnych, lotniska, porty i td. — to i tak nie uniknęłyby sowieckiego odwetu atomowego. W ten sposób szale równowagi terroru zostały wyrównane.

Na terenie europejskim Rosjanie — w mojej opinii — nie użyliby pierwsi broni atomowych. Co im po Europie przemienionej w radioaktywny gruz? W stosunku do państw zachodnioeuropejskich Sowiety dysponują znaczną przewagą w siłach konwencjonalnych i liczyliby na zwycięstwo bez totalnego zniszczenia.

Nie wyobrażam sobie by prezydent Stanów Zjednoczonych — (obojętne kto byłby nim w danej sytuacji) — wydał rozkaz atomowego bombardowania Związku Sowieckiego w celu powstrzymania agresji w Europie, podjętej konwencjonalnymi siłami. Taką decyzję, która spowodowałaby natychmiastowy odwet i w konsekwencji zniszczenie miast amerykańskich podjąć można tylko w dwóch wypadkach: w stosunku do przeciwnika niezdolnego do atomowego odwetu (Chiny), lub w stosunku do Rosjan gdyby pierwsi użyli pocisków atomowych.

W sumie, bezpieczeństwo Europy zachodniej polega nie tylko i nie tyle na amerykańskim „parasolu” atomowym — lecz w pierwszym rzędzie opiera się na autentycznej pokojowości Związku Sowieckiego na tym froncie. Sowiety nie zamierzają okupować Francji, Belgii czy Holandii. Mają dość kłopotów z Europą wschodnią i postawa Moskwy w stosunku do Zachodu na odcinku europejskim jest czysto defensywna.

Z wszystkich możliwych konfliktów wojennych najbardziej prawdopodobny jest zbrojny konflikt amerykańsko-chiński. Porażka Amerykanów w Wietnamie może ów konflikt tylko przyspieszyć. Amerykanie bitwy o Wietnam nie przegrają w Wietnamie — lecz, jeśli ją przegrają, przegrają ją u siebie w domu. Klęska w Wietnamie a przede wszystkim konsekwencje owej klęski, które narastałyby jak lawina — przekonałyby opinię społeczną w Stanach Zjednoczonych, że w grę wchodzi żywotne interesy i bezpieczeństwo Ameryki. Francuzi mogli wycofać się z Indochin a nawet z Algieru. Amerykanie nie mogą wycofać się z Pacyfiku. Alternatywą amerykańskiej polityki globalnej jest tylko chaos.

Gdyby doszło kiedyś do konfliktu zbrojnego amerykańsko-

chińskiego w formie pośredniej czy bezpośredniej — Sowiety w moim przekonaniu zachowałyby *de facto* neutralność. Dla celów propagandowych pięnowaliby amerykańską „agresję” — zaoferowaliby Chinom pomoc techniczną na warunkach dla Pekinu trudnych do przyjęcia i na tym by się skończyło.

Rosjanie wykorzystaliby zaangażowanie Ameryki w Azji, by umocnić swą pozycję w Europie. Być może w poufnych kontaktach, jako warunek *de facto* neutralności, wysunęliby pod adresem Waszyngtonu żądanie definitywnego uznania *status quo* w Europie z pogrzebaniem kwestii zjednoczenia Niemiec włącznie. Im zaangażowanie i trudności Amerykanów w Azji byłyby większe — tym cena za sowiecką *de facto* neutralność byłaby wyższa. Nie ulega wątpliwości, że pomagając wydatnie Chinom Sowiety niczego by nie zyskały natomiast *de facto* neutralność przyniosłaby im same korzyści.

Celem wyżej przytoczonych rozważań jest wykazanie, że w Europie nie zanośi się ani na wojnę, ani na demonstrację siły, ani na żadną akcję zmierzającą do osłabienia pozycji Sowietów. Jałtański *status quo* w Europie symbolizuje „kwestia niemiecka”. Wszyscy zachodni sojusznicy Niemiec, z Ameryką włącznie, boją się nad podziałem Niemiec — lecz nikt nie zaryzykuje dziesięciu dolarów, by ów stan zmienić. Podobnie wszyscy boją się nad satelictwem Europy wschodniej — lecz w praktyce nikt nie kiwnie przysłowiowym palcem, by ów stan zmienić. Prowizorium przemieniło się w system, który w oczach wielkich mocarstw ma tę zaletę, że można go bez ryzyka kontynuować. Każdy inny system trzeba by wypracować a może wywalczyć.

Jeżeli przedstawiona analiza jest słuszna — zdani jesteśmy wyłącznie na własne siły i to zarówno dziś, jak i w najbliższej przyszłości. Program ewolucjonizmu, który „Kultura” wysunęła przed dwoma laty wywodził się z analogicznej oceny sytuacji.

W jakiej mierze sprawdziły się nasze ówczesne przewidywania i oczekiwania?

Sytuacja w Sowietach nie jest ani ewolucyjna ani rewolucyjna tylko kryzysowa. Nie jest ewolucyjna, bo nie ma wspólnoty celów pomiędzy społeczeństwem a kierownictwem — i nie jest rewolucyjna ponieważ napór jest jeszcze zbyt słaby i zbyt społecznie ograniczony w proporcji do środków przemocy jakimi dysponuje partia. Powszechne niezadowolenie i głęboki ferment w warstwie inteligencji (nawet technicznej) — wystarczyłyby do wytworzenia sytuacji rewolucyjnej w ramach carskiej Rosji. Lecz nowoczesna dyktatura komunistyczna jest zagadnieniem innej kategorii.

Chruszczow w swym tajnym referacie, wygłoszonym na XX Zjeździe, zacytował następującą wypowiedź Woroszyłowa:

„Ilekoć Stalin zaprosił mnie na obiad nigdy nie byłem pewien czy wrócę do domu czy do więzienia”.

Nawrót do stalinizmu oznaczałby niebezpieczeństwo życia nie tylko dla Siniawskich i Danielów lecz również dla Kosyginów i Podgórných. Niepomrotnie wybitniejsi i o wiele bardziej zasłużeni komuniści niż Kosygin i Podgórny ginęli w kazamatach stalinowskiej NKWD. Terror typu stalinowskiego musi być totalny — musi w równej mierze dotyczyć zamiatacza ulicy jak i członka Komitetu Centralnego. Gdyby było rzeczą możliwą stosować absolutny terror w odniesieniu do obywateli drugiej klasy a równocześnie zapewnić bezpieczeństwo w stosunku do elity — Rosja Sowiecka już od dawna miałaby taki typ ustroju. Lecz to nie jest możliwe. Terror absolutny może urzeczywistnić tylko władca absolutny, — samodziernca, dyktator.

Destalinizacja nie była wyrazem troski o tzw. „szarego człowieka” — lecz podyktował ją interes elity rządzącej. Panowie Chruszczow, Woroszyłow, Kosygin i inni chcieli mieć pewność że — mówiąc obrazowo — z obiadów — przyjąć wracać będą do domów, a nie do więzienia. Odejście od absolutnej dyktatury jednostkowej oznaczało rezygnację z terroru totalnego. Sowiety są państwem policyjnym, lecz dziś nikt nie jest władny poczynąć sobie jak Stalin.

Istotę kryzysu sowieckiego stanowi fakt, że siły naporu społecznego są jeszcze zbyt słabe, by spowodować decydującą przemianę, a aparat przemocy, którym dysponuje elita rządząca, jest zbyt słaby by zlikwidować ferment i zamknąć usta oponentów.

Przywódcy partyjni sądzą, że można mieć ekonomię w połowie pragmatyczną i równocześnie socjologię w całości doktrynalną. Sądzą również, że można w gospodarce przemysłowej zrehabilitować częściowo motyw zysku i mechanizm rynkowy i równocześnie prowadzić czysto doktrynalną gospodarkę rolną.

Tam gdzie oponenti są zbyt słabi i nieliczni, by spowodować konkretne przemiany — a elita rządząca jest zbyt słaba, by zlikwidować ferment i opozycję — ani ewolucja ani rewolucja nie są propozycją realną. Jedynym rezultatem takiej sytuacji może być tylko pogłębiający się kryzys. Do pełni obrazu należy dodać problem narodowościowy i postępującą izolację Rosji. Przewód sądowy i skazujący wyrok w sprawie Siniawskiego i Daniela spotkał się z krytyczną oceną ze strony zachodnich partii komunistycznych. Po raz pierwszy w dziejach cała lewica na zachodzie z komunistami włącznie wystąpiła solidarnie przeciwko systemowi sowieckiemu. Ze strony Sowietów to był katastrofalny polityczny błąd — nie tylko zbrodnia. Współczesny model sowiecki nie jest ani modelem chińskim ani europejskim. W gruncie rzeczy jest

to zlepek sprzeczności, który w swej obecnej formie nie może trwać długo.

Rozkład Związku Sowieckiego na skutek piętrzących się trudności wewnętrznych — stworzyłby podobną sytuację jak w roku 1918, lecz dla nas ów rozkład nie wróżyłby niczego dobrego.

Skrajny nacjonalizm, rewizjonizm, neo-hitleryzm są dziś w Niemczech doktrynami nierealnymi i wskutek tego mało popularnymi. Rozkład Związku Sowieckiego spowodowałby chaos w całej Europie wschodniej. Przed niemieckim nacjonalizmem, rewizjonizmem, a nawet neo-hitleryzmem otwarłyby się nagle realne i konkretne perspektywy. Utracilibyśmy nie tylko Ziemie Odzyskane lecz coś znacznie więcej.

Zdaję sobie sprawę, że pogląd który zamierzam sformułować idzie pod włos tradycyjnej opinii większości Polaków. Lecz większość nigdzie nie ma monopolu na słuszość.

Wszystkie nasze koncepcje polityczne utraciły swój układ odniesienia i stały się bezużyteczne. W obecnym systemie światowym, który jest radykalnie różny od systemu sprzed 1939 r. — polska polityka niepodległościowa musi być na nowo zdefiniowana.

„Mocarstwowy” schemat — tzn. ani z Rosją ani z Niemcami — zarówno obecnie jak i w dającej przewidzieć się przyszłości jest nierealny. Ostatnim echem koncepcji „między Rosją a Niemcami lecz ani z Rosją ani z Niemcami” było *disengagement* i projekt pasa neutralnego w Europie środkowo-wschodniej. Popieraliśmy ów projekt dopóki istniała choćby jedna na tysiąc szansa jego realizacji.

Idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej, którą „Kultura” zawsze popierała i popiera nadal — staje się coraz mniej realna na skutek polityki niemieckiej. Ani Czechosłowacja ani Węgry nie zechcą wiązać się z Polską, która ma zatarg z Niemcami. Niemiecka Republika Federalna musiałaby oficjalnie uznać granice na Odrze i Nysie i wyzbyć się wszelkich pretensji rewizjonistycznych by idea federacji polsko-czechosłowacko-węgierskiej przeobrazić się mogła w realny projekt.

Sądzę, że w najbliższych latach wojskowe i gospodarcze zaangażowanie Ameryki w Azji będzie rosło, bez względu na wynik kampanii w Wietnamie. Podział świata na biednych i bogatych determinuje politykę nie tylko biednych lecz i *bogatych*. Rosja Sowiecka i Stany Zjednoczone jako super-mocarstwa, wysoko uprzemysłowione posiadają wspólny czynnik determinujący ich politykę — i ów czynnik jest elementem silniejszym niż podziały ideologiczne. Potężni — w konfrontacji z biednymi i słabymi — mają zawsze na pewnych odcinkach wspólną linię postępowania,

bez względu na flagę i ideologię. Chińczycy rozumieją to doskonale. Tylko polskim politykom krajowym i emigracyjnym nie może to pomieścić się w głowie.

W świecie rządzonym przez bogate i potężne Stany Zjednoczone byłoby miejsce na bogatą i potężną Rosję Sowiecką. W świecie rządzonym przez Chińczyków Rosja sowiecka spadłaby w tabeli mocarstw na podrzędne miejsce a los Rosjan nie byłby do pozazdroszczenia.

Trudno domagać się od Rosjan ewolucji, liberalizacji, demokratyzacji — jeżeli my, najbliższy ich sąsiad, nie wykazujemy najmniejszej chęci porzucenia uprzedzeń i zmiany naszej tradycyjnej postawy. John Grigg, jeden z najinteligentniejszych publicystów „The Guardian”, omawiając niedawno stosunki brytyjsko-amerykańskie napisał co następuje: „Rozmiar Stanów Zjednoczonych i psychologia Amerykanów powodują, że tzw. „stosunek specjalny” (*special relationship*) może być tylko stosunkiem pana do sługi”.

Określenie Grigga jest pełne goryczy i nieobiektywne. Myślę jednak, że choć geopolityczna sytuacja Polski jest jedną z najtrudniejszych na świecie — Polska ma wiele konkretnych danych by swój *special relationship* z Rosją zbudować na innej podstawie niż stosunek sługi do pana. Jesteśmy największym narodem słowiańskim o kulturze łacińskiej i zachodniej. W pewnej mierze potencjalnie — w wydaniu najmniej obcym, pobratymczym — reprezentujemy to czego Rosjanom nie dostaje.

Nie umieliśmy zbudować *special relationship* ani z Rosją ani z Zachodem. Stosunek PRL do Rosji jest typowym stosunkiem sługi do pana. Stosunki PRL z Zachodem po prostu nie istnieją.

Nasze niezmiernie trudne położenie geopolityczne zdyskontowalibyśmy w pełni na naszą korzyść tylko wówczas — gdybyśmy w przyszłości przekonali Rosjan, że potrafimy być głównym pośrednikiem pomiędzy Moskwą a Zachodem. Równocześnie musielibyśmy przekonać Zachód, że Polska jest kluczem do Rosji.

Terc, Arżak, i wielu innych, których nie pora wymienić z nazwiska — zwrócili się do nas z wyboru a nie z przypadku. Ci ludzie są prawymi Rosjanami i nie chcieli popełnić zdrady. Nie popełnili jej. Zwracając się do nas wiedzieli dobrze, że nie zwracają się do wrogów Rosji i narodu rosyjskiego — lecz przeciwnie byli pewni, że nawiązują kontakt z wolnościową polską instytucją, która propaguje ideę zbliżenia i porozumienia polsko-rosyjskiego. Owo porozumienie stanie się propozycją realną gdy znaczny procent Polaków uzna słuszność poglądów „Kultury” w tej sprawie, a większość Rosjan uzna słuszność postawy swych anty-stalinowskich pisarzy i działaczy podziemnych.

Jestem do głębi pragmatykiem i dlatego twierdzę, że to nie są „pobożne życzenia”. Nawet w drugiej połowie XX wieku przy wszystkich sputnikach i bombach wodorowych głównym instrumentem działania politycznego jest *słowo*. Drukując Tercę i Arzaka i udostępniając ich utwory całemu światu — w sensie czysto politycznym dokonaliśmy więcej niż wszystkie polskie instytucje emigracyjne na przestrzeni ubiegłych 25 lat.

Słowo jest głównym instrumentem działania politycznego ponieważ w ostatecznym rozrachunku zwyciężyć nie oznacza podbić lecz zjednać. Zaś zjednać oznacza przekonać. Do prawdziwej współpracy można tylko kogoś zjednać lecz nie przymusić.

Musimy zawsze pamiętać, że komunizm rosyjski jest zagadnieniem specjalnym. Inteligenci rosyjscy, nawet najkrytyczniej nastawieni do komunizmu, przyjmują za pewnik „kapitalistyczne okrażenie” i przekonani są, że wszystkie napaści na Rosję szły od Zachodu.

Walter Laquer w swojej doskonałej książce pt. „Russia and Germany — a Century of Conflict” pisze, że pewnego dnia w czasie swego pobytu w Sowietach przejeżdżając przez jedno z przedmieść Moskwy zauważył niewielką kolumnę. Zaintrygowany zapytał współpasażera co ów pomnik oznacza? Odpowiedziano mu, że owa kolumna znaczy najdalszy punkt do którego dotarli Niemcy w listopadzie 1941 roku.

Niemcy byli również antykomunistami i są nimi i dzisiaj podtrzymując pretensje rewizjonistyczne. Antykomunizm, który jest równoznaczny z programem rozparcelowania Rosji i wydatnego osłabienia jej *vis-à-vis* Niemiec nie tylko nie pogłębia fermentu w Sowietach lecz wydatnie go tłumi. Nie można być antykomunistą jeżeli antykomunizm jest równoznaczny ze zdradą nie ideologicznych lecz narodowych interesów. Po tej linii idzie propaganda sowiecka — a ci z nas, którzy głoszą konieczność rozbicia Związku Sowieckiego — grają w ręce nie Arzaków i Terców, ale ich sędziów i prokuratorów. Rosja Sowiecka musi być przebudowana w prawdziwy związek federacyjny czy luźniejszy *commonwealth* — lecz tego nie dokona pokolenie Kosyginów. W obecnej chwili, walka idzie nie o przebudowę Związku Sowieckiego, lecz o przebudowę komunizmu, tzn. pełną destalinizację.

Komunizm niewątpliwie ewoluuje, lecz jak dotąd w ramach doktryny. Za czasów Stalina — Terc i Arzak zostaliby rozstrzelani a zachodnie partie komunistyczne prześcigałyby się w obrzucaniu błotem obu nieszczęsnych pisarzy. Zmieniło się wiele i należy to docenić, gdyż dla ludzi mieszkających w bloku wschodnim są to przemiany wielkiej wagi. Lecz na pytanie czy komunizm

jest zdolny do ewolucji będzie można autorytatywnie odpowiedzieć dopiero wówczas, gdy założenia doktryny zostaną poddane rewizji. Dziś krytykę — choćby najbardziej anachronistycznych założeń marksizmu uważa się za propagandę kontrrewolucyjną.

Wysuwamy program ewolucyjny z dwóch przyczyn. Po pierwsze sytuacja w europejskim bloku wschodnim sprzyja ewolucji. W owym zmaganiu między siłami naporu społecznego a policyjnym aparatem partii — szansa sukcesu jest niewątpliwie po stronie oponentów. Można bowiem poszerzyć i pogłębić zasięg fermentu, można wzmóc napór społeczny — lecz partii byłoby niezmiernie trudno na wzmożenie naporu odpowiedzieć nawrotem do metod stalinowskich. Gdyby napór rósł — partia zaczęłaby się cofać. Jeżeli ktoś zaczyna się cofać, wcześniej czy później dochodzi do punktu, z którego nie ma odwrotu.

Rozwiązanie ewolucyjne i pokojowe wydaje się nam również najbardziej zgodne z polskimi interesami. Rozkład Związku Sowieckiego i chaos w Europie wschodniej z całą pewnością nie leżą w polskim interesie.

Wschodni Europejczycy, a przede wszystkim Polacy, mogliby odegrać poważną rolę w procesie „europeizacji” Rosji. Lecz warunkiem wstępnym w tej sprawie jest przekonać i upewnić Rosjan a w szczególności inteligencję rosyjską, że przez europeizację rozumiemy wyłącznie likwidację totalizmu a nie likwidację Rosji jako mocarstwa.



W rozmowach z krajowcami pada nieodmiennie słowo „Rosja”. „Kultura” jest w pewnym sensie pro-rosyjska choć nie komunistyczna. Polacy z kraju w poważnych rozmowach, bez whisky tylko przy czarnej kawie, przyznają, że Polska musi dążyć do wyrównania swoich stosunków z Rosją na rozsądnych warunkach. Równocześnie najmniejszy przejaw już nie pro-rosyjskości lecz obiektywizmu w stosunku do Rosji i Rosjan — Polakom krajowym działa nieprzeparcie na nerwy. Z Rosją kiedyś trzeba się ułożyć lecz o Rosji i Rosjanach można mówić tylko źle.

Pewien młody historyk z Warszawy zapytał mnie kiedyś czy nasza postawa w stosunku do Rosji dyktowana jest chłodnym politycznym pragmatyzmem — czy też wywodzi się z innych jeszcze przesłanek. Był bardzo zdziwiony gdy mu powiedziałem, że owych „innych przesłanek” szukać należy w Japonii.

Japończycy starają się przedstawić swojego wroga w możliwie korzystnym świetle. Jest to mądra filozofia, która w razie klęski ratuje twarz, a w wypadku zwycięstwa powiększa rozmiar lauro-

wego wieńca. Natomiast Polacy starają się swego wroga nie tylko pomniejszyć lecz również wykpić i wyszydzić. Gdyby ktoś zebrał i opracował antologię polskich anegdot, dowcipów i porzekadeł o Rosjanach — okazałoby się, że jest to naród chamów, brutalni, pijaków, niedołęgów, pół-analfabetów, niewolników — w dodatku brudnych i zawszonych.

W tym wszystkim najbardziej zdumiewającym jest fakt, że żadnemu z reprezentantów owego anty-rosyjskiego *vox populi* nie przyjdzie nigdy na myśl naturalna i logiczna refleksja: jeżeli Rosjanie są zawszoną nicością to czym jesteśmy my, Polacy — którzy pozwoliliśmy tej bandzie pół-analfabetów zepchnąć się spod Smoleńska na rogatki Przemysła.

Nie jesteśmy małym kilku-milionowym narodem, który może zawsze legitymować się własnym męczeństwem i cudzą przemocą. Stanowimy historyczny, 30-milionowy naród, który niezmiennie dobrze o sobie myśli. Nie zawsze również można powoływać się na pakt Ribbentrop-Mołotow i rozbiorowe porozumienie rosyjsko-niemieckie.

W dniu 31 lipca 1449 r. Polska zawarła układ z kniazem moskiewskim, który rozgraniczał ziemie ruskie na strefy wpływów. Granica Litewska przebiegała zaledwie 150 kilometrów od Moskwy. 30 stycznia 1667 r. w rozejmie andruszowskim Polska oddała Moskwie Smoleńsk, Czernichowskie, Siewierszczyznę, Siebiez i Kijów. A potem przyszedł pokój Grzymułtowskiego (1. V. 1686 r.), który położył fundament pod przyszłą zależność Polski od Rosji. To nie Kościuszko w krakowskiej sukmanie, ani podchorążowie ani powstańcy. To Polska mocarstwowa utraciła swą trzywiekową-przewagę na Wschodzie.

Osobiście jestem anty-sowiecki. Lecz duma narodowa nie pozwala mi przyłączyć się do liczego chóru tych Polaków, którzy wyszydzają i poniżają Rosjan.

KRYZYSY: SOWIECKI I AMERYKAŃSKI

Tezą niniejszego rozdziału jest pogląd, że przeżywamy światowy kryzys ustrojowy. Wszystkie współczesne ustroje są anachronistyczne i niezdolne do rozwiązania podstawowych zagadnień. Drugą tezą jest pogląd, że organizacja życia międzynarodowego i zabezpieczenie pokoju światowego nie są propozycją realną w obecnym układzie albowiem ustroje, które się przeżyły nie są w stanie wytworzyć nowoczesnych ram organizacyjnych w skali międzynarodowej. W konsekwencji na dalszą metę pokojowi świata nie zagrażają „technikalia” w postaci upowszechnienia się broni atomowych — lecz „wczorajskość” ustrojów, które dziewniastowieczną aparaturą myślową usiłują rozwiązać problemy przerstające ich możliwości.

Należy podkreślić dwa punkty. Nie ma dla nas powrotu do sytuacji kiedy istniały na ziemi olbrzymie imperia jak np. rzymskie i chińskie — w błogosławionej niewiedzy o swej wzajemnej egzystencji. Naszą planetę przekształciliśmy w wielki „statek kosmiczny”, który, jeżeli nie zapanuje na nim zorganizowany porządek, czeka nieuchronna katastrofa. I punkt drugi. Bezpieczeństwo świata wymaga by kryzysy ustrojowe po obu stronach „żelaznej kurtyny” traktować równorzędnie, gdyż w gruncie rzeczy kryzys w Związku Sowieckim zagraża nie tylko Rosji lecz i Stanom Zjednoczonym. Na marginesie należy dodać, że choć prawdopodobieństwo wojen większe jest w Azji niż w Europie — najmniejszy konflikt zbrojny na naszym kontynencie niesie z sobą daleko większe niebezpieczeństwo niż poważna nawet wojna w Azji. Na Wietnam w Europie nie ma miejsca, ponieważ europejski Wietnam w przeciągu kilkunastu dni przekształciłby się w trzecią wojnę światową.

Gdyby nie było broni nuklearnych — sprawa Niemiec i Ber-

lina doprowadziłaby — być może — do wybuchu wojny. Nie oznacza to jednak, że bronie nuklearne zlikwidowały przyczyny kryzysu. Bronie atomowe nie rozwiązały niczego, podniosły tylko stawkę rozwiązania wojennego. Na dalszą metę pacyfikujący charakter broni nuklearnych może spowodować skutki odwrotne od zamierzonych. Trudno sobie wyobrazić by wschodni Niemcy, Polacy, Czechosłowacy, Węgrzy i inne liczne narodowości wchodzące w skład sowieckiego bloku wschodniego zrezygnowały z wszystkich swoich dążeń byle tylko uchronić od katastrofy atomowej Rosję i Stany Zjednoczone. O katastrofie atomowej — jej rozmiarach i skutkach — myślą generałowie w Pentagonie i ich naukowci rzeczoznawcy. Lecz powstańcy węgierscy w roku 1956 z całą pewnością nie myśleli o wielkiej chmurze w kształcie grzyba. Propaganda anty-atomowa i polityka super-mocarstw zmierzająca do ograniczenia upowszechnienia broni atomowej — oparte są w znacznej mierze na hipokryzji. Tylko wówczas można uczciwie głosić: „nigdy więcej wojny!” jeżeli jest się gotowym przyczyny kryzysu rozładować metodami pokojowymi. Milionom ludzi w europejskim bloku komunistycznym nie można mówić: „gdyby *nie* istniały bronie atomowe moglibyście liczyć, że wywalczycie poprawę bytu i niepodległość. Ponieważ jednak wojna w Europie byłaby wojną światową a wojna światowa przekształciłaby się w wojnę nuklearną — musicie ze wszystkiego zrezygnować”.

Jeżeli ktoś wierzy, że w oparciu o powyżej przytoczone przesłanki można zabezpieczyć pokój światowy — hołduje niebezpiecznym iluzjom. Masy ludzkie, krzywdzone i upokorzone w swym poczuciu narodowym, nigdy nie zachowują się racjonalnie. Chcąc zabezpieczyć pokój trzeba umożliwić ludziom zachowanie się racjonalne.

W państwie niemal stuprocentowo katolickim w którym władze prześladują kościół byłoby naiwnością tłumaczyć wzburzonym tłumom, że rozruchy mogą zagrozić pokojowi. Oczywiście obrażony w uczuciach religijnych tłum może doprowadzić do rozruchów, które mogą zdetonować pożar w całym kraju. Chcąc uniknąć wybuchu, który może uruchomić łańcuch reakcji trudnych do przewidzenia — musi się usunąć przyczynę konfliktu. Nie wystarczy tłumaczyć ludziom, że muszą pogodzić się kornie ze swym losem — bo każdy przejaw buntu może spowodować rewolucję, która z kolei spowoduje interwencję sowiecką a interwencja sowiecka w Europie doprowadzić może do wybuchu trzeciej wojny światowej.

W epoce rewolucji technologicznej, w epoce wielkoprzestrzennych super-mocarstw, w epoce lotów kosmicznych — nacjonalizm

wydaje się przeżytkiem. Nacjonalizm można porównać do chleba. O chlebie nie ma powodu ani mówić ani pisać pod warunkiem, że jest łatwo dostępny. Wiemy jednak, że w stalinowskich łagrach chleb stanowił główny temat rozmów i rozmyślań. Ludzie, których pozbawiono podstawowych praw samostanowienia narodowego — z natury rzeczy są nacjonalistami, tak jak głodny z natury rzeczy myśli o chlebie.

Anglosascy publicyści i pisarze polityczni w swych pracach i książkach uskarżają się często na europejski nacjonalizm jako bagaż z uprzedniej epoki, który ciąży na nas i hamuje postęp. To jest tylko w części prawdą. Wleczymy za sobą w spadku po XIX wieku nie nacjonalizm — tylko niezłatwione problemy narodowościowe.

Jest rzeczą bardzo trudną zapewnić minimum niezależności i samostanowienia narodom małym i średnim w świecie dominowanym przez dwa nuklearne super-mocarstwa. Nie jest również rzeczą łatwą zapewnić obywatelskie równouprawnienie mniejszościom narodowym — zwłaszcza gdy dana mniejszość przynależy do innej rasy i odróżnia się kolorem skóry. Ustrój, który nie jest w stanie rozwiązać problemu mniejszości narodowych jest złym ustrojem — podobnie system międzynarodowy, który nie jest w stanie zabezpieczyć praw do samostanowienia małym i średnim narodom jest złym systemem międzynarodowym.

Polska niemal od 200 lat nie ma polityki wewnętrznej tylko politykę zagraniczną. Wszystkie nasze myśli ogniskują się wokół problemu niepodległości i bezpieczeństwa granic. Z tych przyczyn polskiemu czytelnikowi nie łatwo przyjdzie zaakceptować pogląd, który zamierzam sformułować. Wchodzimy w epokę w której zagadnienia ustrojowo-społeczne przysłonią problematykę międzynarodową.

W Stanach Zjednoczonych rewolucja scjentyficzna jest tak zaawansowana, że możliwe jest skatalogowanie głównych problemów. Dla ludzi nieobeznanych z tymi zagadnieniami rewolucja scjentyficzna oznacza automację, komputery i statki kosmiczne. W rzeczywistości jednak rewolucja o której mówimy — zmienia całkowicie koncept społeczeństwa znany nam do tej pory. Zmianie ulegnie nie tylko system produkcji lecz zależność konsumpcji od zarobku. W konsekwencji upadnie fetyszyzm pracy. Nie tylko zachodniego typu ustroje społeczne lecz cała nasza cywilizacja oparta jest na fetyszyzmie pracy. (Módl się i pracuj). Klasyczny mit amerykański: sprzedawca zapalek własną pracą i inicjatywą przemieniony w milionera — stanowi gloryfikację owego fetyszyzmu.

W nowej sytuacji praca twórcza będzie przywilejem zastrze-

żonym dla wybitnych jednostek. Dla większości nie praca tylko czas wolny od pracy stanie się głównym zagadnieniem życiowym. Związki zawodowe będą walczyć nie o skrócenie tygodnia pracy lecz przeciwnie będą się opierać redukcji godzin pracy. Dla milionów ludzi zatrze się różnica pomiędzy życiem aktywnym a emeryturą — pomiędzy zajęciem a bezrobociem — pomiędzy zawodem a *hobby*.

Wielu Czytelników wzruszy w tym miejscu ramionami i zauważy: „Może tak będzie za 200 lat — lecz dlaczego my dziś mamy się tym martwić!”.

Zagadnienie polega na tym, że rewolucja scjencyficzna postępuje szybciej niż proces przystosowania. Cytowane powyżej fakty nie są fantastyczną wizją przyszłości — lecz rzeczywistością, która rodzi się na naszych oczach.

Pomiędzy polityką a socjologią zachodzi taka różnica jak pomiędzy biologią a medycyną. Lekarz musi mieć pewną znajomość biologii — lecz biolog nie musi być lekarzem. Współczesny polityk powinien mieć pewną znajomość socjologii lecz socjolog nie musi być politykiem.

Zagadnienia o których mówimy jawią się przed politykiem w ramach jego zawodowej specjalności. Dlaczego wojna w Wietnamie produkuje w Ameryce „alienacyjne” demonstracje? Gdzie bierze swoje źródło fala gwałtownych starć pomiędzy białymi a czarnymi Amerykanami?

Prof. Zbigniew Brzeziński dopatruje się słusznie w owych demonstracjach psychologiczno-socjalnego kryzysu i zapowiedzi „rzeczy które nadchodzą”. Gdyby nie było wojny w Wietnamie — pisze Brzeziński — alienacja, frustracja, lęk, które cechują współczesną sytuację społeczną — znalazłyby inną oś krystalizacyjną i inną formę ujścia.

Ludziom, którym rewolucja scjencyficzna wydaje się sprawą odległą, warto przypomnieć, że według obliczeń Stany Zjednoczone produkować będą w roku 1970 — 12 milionów samochodów rocznie. Problemy komunikacyjne, zagadnienie przemysłowego zanieczyszczenia (*pollution*) rzek i jezior, problem rozrostu miast a przede wszystkim sprawy społeczne z kwestią murzyńską na czele — przemienią w najbliższych latach „front wewnętrzny” w główny teatr operacyjny polityki amerykańskiej.

Amerykanizm w sensie politycznym tworzył do tej pory jedy-ny w swoim rodzaju stop pragmatyzmu i idealizmu. Związek pomiędzy idealizmem a pragmatyzmem jest czymś niepomier-nie bardziej istotnym i konkretnym niż się wydaje cynikom. Droga postępu wiedzie od idealizmu ku pragmatyzmowi. Pragmatyzm bez idealizmu jest jałowy i nie wytwarza postępu.

Amerykanie wydatkują olbrzymie kwoty na zagraniczną pomoc gospodarczą i humanitarną. Równocześnie jednak pragmatyczny idealizm amerykański w sensie politycznym zaczyna słabnąć. Zaczyna słabnąć w momencie kiedy jest najbardziej potrzebny.

W okresie stalinizmu kiedy cały sowiecki blok wschodni był zamrożony terrorem — mówiono o krucjacie, o *roll back policy* i t.d. Dziś, kiedy w Rosji jest legion Terców i Arszaków — kiedy w Polsce Kuroń i Modzelewski głoszą program rewolucji, — dziś Amerykanie przeszli w stosunku do Sowietów na „Realpolitik”.

Napisałem kiedyś, że polityka amerykańska jest sprawą nas wszystkich — bo decyzje Waszyngtonu dotyczą całego świata. Gdyby nastąpił nowy okres izolacjonizmu — byłby to również fragment polityki globalnej o konsekwencjach światowych.

Wielu wybitnych znawców w następujący sposób uszeregowuje czołowe problemy polityki Stanów Zjednoczonych: 1) Front wewnętrzny, 2) Azja, 3) „Trzeci Świat”.

Nie wiem czy dojdzie do nowej ery izolacjonizmu — jestem natomiast pewien, że „front wewnętrzny” z każdym rokiem będzie odgrywał w polityce amerykańskiej coraz większą rolę. Skłonny jestem również przypuszczać, że następny prezydent będzie prezydentem „wewnętrznym” i zmobilizuje talenty, wiedzę, doświadczenie najlepszych mózgów do rozbudowy „wielkiego społeczeństwa”. W tym miejscu jednak moja osobista ocena odbiega od punktacji zadań przytoczonej powyżej.

Nie „trzeci świat” lecz Europa, a w szczególności Europa środkowo-wschodnia, winna zająć czołowe miejsce w agendzie zadań polityki amerykańskiej.

Europa wschodnia z Rosją włącznie, rządzona totalnie przez klasę biurokratów — stanowi enklawę dziewiętnastowiecznego kolonialnego imperializmu. Doświadczenie historyczne poucza nas, że większość wojen wybucha na skutek błędów popełnionych w przeszłości. W europejskim bloku komunistycznym dojrzewa sytuacja potencjalnie rewolucyjna. Ludzie domagają się dziewiętnastowiecznych zdobyczy ustrojowych — niezależności dla związków zawodowych, prawa strajku, swobody dla zrzeszeń politycznych i wolności prasy. Blok sowiecki jest również wyłęgarnią dziewiętnastowiecznego nacjonalizmu — ponieważ narody wchodzące w skład Związku Sowieckiego i państwa satelickie rządzone są w sposób super-wiktoriański z imperialnej Moskwy.

Byłoby ironią losu gdyby w epoce komputerów i lotów kosmicznych wypadło nam podjąć trzecią wojnę światową o cele dziewiętnastowieczne, które na Zachodzie są oczywistością.

Bronie atomowe nie zmieniły ani mechaniki procesu historycz-

nego ani naszego podejścia do historii. Bogate doświadczenie dziejowe uczy nas, że „odstraszk” nigdy nie działał niezawodnie, a jego siła odstrasząca malała w proporcji do upływu czasu. Historia uczy nas również, że dotąd nie było wypadku by wynaleziona broń masowego zniszczenia wcześniej czy później nie została użyta. Bronie atomowe zastosowano wobec Japończyków i nikt nie może zagwarantować, że nie zostaną użyte powtórnie.

Kuroń i Modzelewski w swojej książce wydanej przez „Kulturę” piszą, że rewolucja w Polsce jest nieuchronna ponieważ jest historycznie uwarunkowana. „My nie jesteśmy nad Historią” — stwierdzają — „tylko Historia jest nad nami”.

Marksści — nawet ci, którzy dążą do radykalnej zmiany obecnego ustroju komunistycznego — wierzą w autonomiczną prawidłowość procesu historycznego. Choć sami nie są nad historią — wierzą, że są w sojuszu z historią.

W mojej ocenie to jest wiara uboga i w drugiej połowie XX wieku niewystarczająca.

Bronie atomowe — zwłaszcza w połączeniu z astronautyką — nieogarnione wręcz perspektywy fundamentalnych przemian, które niesie z sobą rewolucja scjencyficzna — to wszystko wymaga nowego podejścia do historii. Przetrawanie — nie waham się użyć tego słowa — możemy kupić tylko za cenę pełnej kontroli nad procesem historycznym. W świecie ku któremu zmierzamy nie wystarczy być w mitycznym sojuszu z historią. Musi się ją *de facto* skutecznie kontrolować.

Amerykańscy pisarze polityczni i socjologowie pocieszają się zdolnością adaptacji Anglosasów. Adaptacja do zmienionych warunków historycznych — podobnie jak sojusz z historią — nie wystarczy. Nikt nie może zaadaptować się do wojny atomowej ani do radioaktywnych pustyń.

Amerykanie w większości przyjęli pogląd, że europejski blok komunistyczny steruje spokojnie i pewnie ku przystani dobrobytu i demokracji. Natomiast Chiny prezentuje się w prasie amerykańskiej jako hitlerowską Trzecią Rzeszę w wydaniu azjatyckim.

Łańcuch reakcji przyczynowych wiodących do wybuchu światowej wojny atomowej — mogą znacznie łatwiej uruchomić małe Węgry niż gigantyczne Chiny. Niebezpieczeństwo nuklearnej wojny światowej sprowadza się wyłącznie do konfliktu zbrojnego sowiecko-amerykańskiego. Wojna amerykańsko-chińska — choć może byłaby w pewnej mierze wojną atomową — nie byłaby światową wojną nuklearną. W takiej sytuacji Rosja zaoferowałaby Chinom pomoc (głównie propagandową) jednak na pewno Moskwa nie podjęłaby odwetowego atomowego bombardowania miast amerykańskich. Uznać należy za pewne, że Rosjanie w obro-

nie Pekinu nie zaryzykowałiby bezpieczeństwa Moskwy, Leningradu i wielkich okręgów przemysłowych.



Podsumujmy nasze dotychczasowe rozważania.

Zarówno Stany Zjednoczone jak i imperium sowieckie znajdują się w przededniu wielkich przemian ustrojowo-społecznych. Rewolucja scjentyficzna w Ameryce jest wysoko zaawansowana i powoduje z jednej strony objawy przejściowego kryzysu — z drugiej strony wzmożenie tempa poszukiwań nowych rozwiązań. Kryzys jest manifestacją niezdolności starych form do wchłonięcia nowych treści. Cechą rewolucji amerykańskiej jest absolutna jawność.

Kryzys ustrojowy w bloku komunistycznym ma zupełnie inny charakter. Sowietologowie na ogół nie zdają sobie sprawy z faktu, że gwałtowne uprzemysłowienie nie tylko nie rozładowało nastrojów opozycyjnych, lecz przeciwnie — doprowadziło je do punktu powyżej czerwonej kreski. Jak długo budowano przemysł istniała w masach nadzieja poprawy bytu i awansu społecznego. Szybkie uprzemysłowienie leżało w interesie wszystkich i wszyscy byli gotowi do ofiar.

Dziś przemysł istnieje — lecz dobrobytu nie ma i przy zachowaniu obecnej struktury ustrojowej — nigdy go nie będzie. Celem nie jest produkcja dla produkcji jak piszą Kuroń i Modzelewski — lecz totalna władza. W rezultacie, komuniści stworzyli najbardziej antagonistyczny ustrój społeczny jaki kiedykolwiek istniał. Cel produkcji, tj. totalna władza rządzącej elity — jest sprzeczny z interesem robotników, inteligentów i chłopów. Wszystkie warstwy społeczne pracują w gruncie rzeczy na to — by za minimum egzystencji dostarczyć elicie partyjnej coraz więcej środków do opłacenia i udoskonalenia aparatu przemocy i wyzysku.

Blok sowiecki nie przekształca się w drugą Amerykę. Przeciwnie z każdym miesiącem pogłębia się przepaść pomiędzy ustrojami dwóch super-mocarstw atomowych. Im bowiem potężniejszy jest potencjał przemysłowy imperium sowieckiego — tym jego polityczno-socjalny wyznacznik staje się coraz bardziej reakcyjny i wsteczny. Im bogatsza i potężniejsza jest elita partyjna — tym bezwzględniejszy jest wyzysk, który uprawia. Im większa jest zdolność produkcyjna przemysłów w strefie sowieckiej — tym większa jest różnica pomiędzy konsumpcją mas pracujących a produktem globalnym.

Owa rosnąca z każdym miesiącem rozbieżność ustrojowa po-

między Ameryką a imperium sowieckim kryje w sobie najgroźniejsze niebezpieczeństwo naszej epoki.

Ewolucja musi oznaczać podstawowe zmiany w strukturze ustroju. Rewolucja jest również ewolucją pod warunkiem, że nie równa wszystkiego z ziemią i dokonuje się bezkrwawo. Leży w bezpośrednim i żywotnym interesie Stanów Zjednoczonych trzeźwe rozpoznanie kryzysu socjalno-politycznego w orbicie sowieckiej i dopomożenie do jego rozładowania. Jest to zadanie niezmiernie trudne. Lecz tak w życiu jak i w polityce zadania nie dzielą się na trudne i łatwe tylko na konieczne i niekonieczne.

Amerykanie nie będą mieli możliwości rozwiązania swoich wewnętrznych, niezmiernie zawitych problemów — jeżeli w najbliższych latach imperium sowieckie stanie w płomieniu rewolucji, wojen domowych i przewrotów. Na wydatnym osłabieniu Rosji jako mocarstwa w Europie zyskaliby Niemcy, a w Azji Chiny. Bogata Syberia byłaby daleko bardziej wartościowym nabytkiem dla Chin niż Wietnam czy południowo-wschodnia Azja.

Byłoby naiwnością z naszej strony konstruować dla Waszyngtonu projekt amerykańskiej polityki w stosunku do wschodniej Europy. Wydaje mi się natomiast, że Amerykanie powinni powołać własną, niezależną organizację do studium tego problemu. Instytucja, którą sugerujemy różniłaby się swoim celem i założeniem zarówno od biur Departamentu Stanu jak i od akademickich instytutów sowietoznawczych. Celem i założeniem proponowanej organizacji musiałoby być wypracowanie konkretnych metod, zmierzających pośrednio do socjalnego unowocześnienia Rosji i jej imperium. Istotnym punktem w rozpracowywaniu tych zagadnień winno być ustalenie listy rzeczy, których *nie* należy robić — a więc listy amerykańskich posunięć politycznych, które opóźniają proces demokratyzacji w bloku wschodnim.

Mówimy oczywiście o polityce pośredniej pokojowej interwencji. Sowiety interweniują pośrednio różnymi metodami w Ameryce w kwestii Wietnamu. Oba super-mocarstwa interweniują pośrednio i bezpośrednio na całym świecie.

Realistyczna polityka amerykańska stara się utrafić w złoty środek pomiędzy Kosyginem a Siniawskim — pomiędzy obecnym sowieckim *establishment* a siłami naporu i fermentu. Podobnie w stosunku do krajów satelickich oferuje się zainteresowanie i sympatię rewizjonistom i tym, którzy protestują — starając się równocześnie utrzymać poprawne stosunki z rządzącą „nową klasą”, która rewizjonistów więzi i prześladuje.

W rzeczywistości przejawy buntu intelektualistów czy nieśmiałe reformy gospodarcze podejmowane w sowieckim bloku europejskim — służą sowietologom amerykańskim do podtrzy-

mywania legendy, że ewolucja komunizmu w kierunku demokracji odbywa się samoczynnie i pokojowo nie zagrażając w niczym stosunkom politycznym pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem.

Osobiście jestem przekonany ewolucjonistą — to znaczy jestem zwolennikiem przemian stopniowych na drodze pokojowej. Książka Kuronia i Modzelewskiego umocniła moją opinię, że marksizm uwolniony od dogmatyki zdolny jest do ewolucji. „Gomułkizm” nie ewoluje, ponieważ odrzucił marksizm a zatrzymał dogmatykę.

Nie jest jednak rzeczą ani możliwą ani pożądaną hołdować sztywnym sądom i opiniom w odniesieniu do sytuacji w bloku wschodnim, ponieważ sytuacja w tym rejonie staje się coraz bardziej dynamiczna i zmienna. Bardzo trudno jest na przykład wycenić autentyzm prawicowych reakcji w zatamizowanym społeczeństwie w którym pozostały tylko symbole religijne i narodowe. Jeżeli w danym kraju jedyną namiastką partii opozycyjnej jest kościół — trudno wycenić potencjał lewicy, która nie ma nawet namiastki partii opozycyjnej. Wówczas wokół symboli narodowo-religijnych skupiają się wszyscy przeciwnicy reżymu bez względu na przekonania polityczne. Z tych przyczyn — w przeciwieństwie do Kuronia i Modzelewskiego — skłaniam się do poglądu, że gdyby dojsz miało w krajach satelickich do wybuchu — nie będzie to rewolucja robotnicza tylko powstanie narodowe.

Stopniowa ewolucja tak w kierunku demokracji jak i państwowej niezależności w europejskim bloku komunistycznym uzależniona jest od pomocy z zewnątrz. Nie mam na myśli ani *roll back policy* ani „wyzwolenia” siłą. Chodzi przede wszystkim o zmianę klimatu i ogólnego nastawienia. Amerykanie winni zamanifestować z daleko większą siłą niż dotychczas, że są za demokracją i samostanowieniem nie tylko w południowym Wietnamie lecz również w Polsce, w Czechosłowacji i na Węgrzech. Polityka „budowania mostów” musi oznaczać wspomaganie ciemiejących a nie ciemieżycieli. Istnieją tysiące sposobów pośrednich i bezpośrednich, którymi można wzmacniać opór przeciwko dyktaturze.

Polityka amerykańska w stosunku do wschodniej Europy wychodzi z błędnego założenia i dlatego nie daje rezultatów — kryje natomiast w sobie wielkie ryzyko. Waszyngton ocenia, że *status quo* w Europie wschodniej posiada wszelkie cechy trwałości i wskutek tego należy ograniczyć zaangażowanie po stronie przeciwników *status quo*. W opinii milionów wschodnich Europejczyków *status quo* na daleką metę w jego obecnej formie jest nie do utrzymania i zasadnicza kwestia sprowadza się do pytania: czy „wielka korektura” nastąpi w drodze pokojowej

ewolucji czy w drodze przewrotu. Amerykanie winni zrozumieć, że nie rewolucja potrzebuje pomocy z zewnątrz tylko ewolucja. Jeżeli bowiem Amerykanie nie dopomogą Europie wschodniej do unowocześnienia ustroju i gospodarki — wcześniej czy później w imperium sowieckim nastąpi przewrót. Konserwatyści i obrońcy *status quo* wszędzie i zawsze pracowali *de facto* na rzecz przewrotów i rewolucji.

POLITYKA WYRZECZEŃ

W swoim memoriale (szeroko rozesłanym) rząd Federalnej Republiki Niemieckiej proponuje następującą kolejność ostatecznego rozwiązania „kwestii niemieckiej”: Pierwsze — zjednoczenie Niemiec, drugie — wolne wybory w zjednoczonych Niemczech, trzecie — utworzenie rządu zjednoczonych Niemiec, czwarte — konferencja pokojowa, która ustali ostatecznie zachodnie granice Polski.

Oczywiście kolejność całego programu winna być odwrócona. Z kim Niemcy chcą się zjednoczyć? Z NRD, której granica przebiega na Odrze i Nysie. Uznanie tej granicy przez rząd w Bonn musi być więc krokiem wstępnym na drodze ku zjednoczeniu. Niemcy nie rozumieją, że gotowość do poniesienia pewnych ofiar jest często podstawowym warunkiem skutecznej polityki.

Wytrawny polityk na konieczne ofiary godzi się wcześniej — bo w ten sposób unika zwłoki w osiągnięciu celu głównego i zaoszczędza swemu państwu niekończących się komplikacji a nierzadko rozlew krwi.

Francja po utracie Maroka, Tunisu, Indochin i td., — Algier traktowała nadal jako... departament francuski. Ileż można było zaoszczędzić krwi i pieniędzy, gdyby na rozwiązanie kwestii Algieru zdecydowano się wcześniej.

„Kultura” jest jedynym politycznym ośrodkiem emigracyjnym, który zdobył się na jasne stanowisko w sprawie Lwowa i Wilna. Uważamy bowiem — wbrew tezm polityki emigracyjnej — że poniesienie tej ofiary jest konieczne, jeżeli chcemy wyprostować nasze stosunki z Ukraińcami i z Litwinami. Poniesienie tej ofiary jest również niezbędne, jeżeli chcemy bronić skutecznie i logicznie polskich Ziemi Odzyskanych.

Polityki wyrzeczeń nie rozumie Związek Sowiecki. Wyrze-

czenie się błędnej koncepcji może być czasem jedyną metodą uratowania zdobyczy pracy pokoleń.

Komunizm w ogólności, a komunizm sowiecki w szczególności, nie zdołał do tej pory stworzyć sfery koegzystencji z religią i z nacjonalizmem. Przez nacjonalizm rozumiem w tym kontekście naturalne poczucie narodowe. Zarówno religii jak i poczucia narodowego nie można wyplenić, ponieważ człowiek od tysiącleci jest w tym kierunku genetycznie uwarunkowany.

Rosjanie stanowią zaledwie 54% ludności Związku Sowieckiego — lecz 82% dzienników i periodyków ukazujących się w Sowietach drukowanych jest w języku rosyjskim. Wszystko to jest w zgodzie z tezą Zasławskiego, że język rosyjski jest językiem socjalizmu, podobnie jak francuski był językiem feudalizmu, a angielski językiem imperializmu.

Ordery nie mają nic wspólnego z językiem, niemniej faktem jest, że 75% „bohaterów Związku Sowieckiego” to rdzenni Rosjanie. Przykładów tego typu można by przytoczyć setki. W Związku Sowieckim — choć Rosjanie stanowią tylko połowę jego mieszkańców — kultywuje się jeden nacjonalizm, tj. wielokorosyjski.

Polska jest krajem komunistycznym i Ukraina jest krajem komunistycznym. Jednak różnice pomiędzy obu tymi krajami są olbrzymie. Kardynał Wyszyński jest konserwatywnym patriotą a Gomułka jest komunistycznym nacjonalistą. W Polsce Ludowej nie gnębi się nacjonalizmu — gnębi się tylko dążenia niepodległościowe. Dopóki partia nie wyłoni kierownictwa, które cieszyłoby się poparciem społeczeństwa — rząd komunistyczny musi zabiegać o poparcie Moskwy, w przeciwnym wypadku wywieźliby go na taczkach.

Obiektywnie należy stwierdzić, że partia starając się zaprezentować narodowi w roli najbardziej nacjonalistycznej instytucji jaka kiedykolwiek w Polsce istniała — w gruncie rzeczy osłabia swoją własną pozycję. Dążenie do niepodległości jest głównym elementem poczucia narodowego. Konkurencyjne obchody tysiąclecia organizowane przez kościół i przez partię potęgują polski nacjonalizm a tym samym potencjalnie umacniają dążenia niepodległościowe. W Polsce partia dba o to by nacjonalizm nie wygasł i konkuruje z kościołem na tym polu. Na Ukrainie partia tłumi nacjonalizm a kościół nie odgrywa żadnej roli.

Wśród Polaków znajomość rosyjskiego jest (niestety) minimalna — na Ukrainie znajomość języka rosyjskiego jest zarówno życiową koniecznością jak i warunkiem sukcesu w każdej dziedzinie zawodowej działalności.

Do czego zmierzają te rozważania? Wydaje mi się, na dalszą metę nie będzie rzeczą możliwą w jednym państwie uprawiać nacjonal-komunizmu a w drugim sowieckiego komunizmu. Ten sam komunizm nie może być w Warszawie super-nacjonalistyczny a w Kijowie anty-nacjonalistyczny. Nie można w jednym kraju komunistycznym likwidować religii a w drugim kraju komunistycznym kardynała Rzymskiego Kościoła uważać za *de facto* pierwszą osobę w państwie. Nie można w jednym kraju komunistycznym prowadzić intensywnej rusyfikacji — a w drugim, najmniej komunistycznym kraju, zrezygnować z nauczania ludzi przynajmniej alfabetu rosyjskiego.

Rosjanie muszą się liczyć z faktem, że kraje satelickie z biegiem czasu będą się coraz bardziej usamodzielniały i wypracują modele ustrojowe, których stosunek do religii i nacjonalizmu będzie całkowicie różny od wzorów sowieckich. (Kościół w Polsce jest nie tylko walczący lecz triumfujący, a Gomułka laicyzację kraju opóźnił o dziesiątki lat).

Za kilka lat, gdy w Polsce dojdzie do władzy pokolenie ludzi wykształconych, pokolenie dla którego Stalin i stalinizm będzie tylko znany z podręczników historii — wówczas siłą rzeczy nastąpią wielkie zmiany. Państwa satelickie — a w szczególności Polska — w niedalekiej przyszłości stworzą dla Rosji wielki problem. Zagadnienie polega na tym, że już dziś rdzenni Rosjanie „liberalnie” myślący, gotowi są przyklasnąć objawom „liberalizacji” w Polsce czy w Czechosłowacji, lecz nie na Ukrainie. W Moskwie znajdzie się miejsce dla śmiałego poety ukraińskiego — czy odważnego krytyka literackiego — pod warunkiem, że piszą po rosyjsku. Nawet wykształceni i naprawdę liberalni Rosjanie, jak śp. prof. Karpowicz, który przyjaźnił się z nami — na dnie duszy nie uważają Ukraińców za odrębny naród.

Stalin był przeciwny inkorporowaniu Polski jako republiki sowieckiej. Wówczas bowiem Rosjanie w Związku Sowieckim stanowiliby mniejszość. Jeżeli jednak Rosjanie byli zdecydowani nie dopuścić w Związku Sowieckim do jakichkolwiek reform i przemian — winni byli zrezygnować z narzucania komunizmu krajom satelickim. Pro-rosyjskie rządy burżuazyjne w Warszawie, Pradze i Budapeszcie — reprezentowałyby w dalszej perspektywie daleko mniejsze niebezpieczeństwo.

Sądząc po wypowiedziach członków KC włoskiej partii komunistycznej w sprawie wyroku na Terca i Arzaka — oraz analogicznych komentarzy organów francuskiej partii komunistycznej nie mówiąc już o innych zachodnich partiach komunistycznych — można zaryzykować twierdzenie, że istnieje — jeżeli nie jawny sojusz — to ciche porozumienie pomiędzy antystalinow-

cami w Sowietach i na Zachodzie. To są fakty o wielkim znaczeniu.

W Polsce, gdy znikną ze sceny obecni przywódcy okaże się, że stalinowcy i neo-stalinowcy nie mają następców. Młodzi komuniści polscy czy czechosłowaccy są znacznie bliżsi komunistów włoskich czy francuskich niż stalinowców polskich czy sowieckich. Inicjatywy prez. de Gaulle'a — jak słusznie zauważył Walter Lippmann — zmierzają do likwidacji „zimnej wojny” w Europie. Nie przesądzając ostatecznego wyniku tych inicjatyw należy podkreślić, że likwidacja „zimnej wojny” na froncie europejskim musiałaby się wyrazić osłabieniem izolacjonizmu Rosji w sferze społeczno-kulturalnej. „Zimna wojna” broni ostatnich szanów stalinizmu. Zachodniej Europie „zimna wojna” nie jest potrzebna, ponieważ komunizm jej nie zagraża.

Należy więc stwierdzić, że jeżeli nie zajdą wręcz nieprzewidziane okoliczności — Rosji będzie coraz trudniej izolować się zarówno od Europy wschodniej jak i zachodniej. Przywódcy sowieccy zaoszczędziliby sobie wielu kryzysowych sytuacji — gdyby już dziś zdali sobie sprawę z faktu, że w epoce, ku której zmierzamy — pozycję Rosji będzie można utrzymać tylko za cenę ustępstw i wyrzeczeń.

Związek Sowiecki w jego obecnej formie jest koncepcją carsko-imperialistyczno-stalinowską. To nie jest federacja, tylko stotalizowane rosyjskie stany zjednoczone.

Amerykanie są syntetycznym narodem emigrantów. Ukraińiec Anglik czy Litwin — lądując w Ameryce — porzuca swoją ojczyznę i po pewnym czasie przyjmuje obywatelstwo amerykańskie. Lecz kto i w imię czego ma prawo wymagać od Ukraińca urodzonego i osiadłego na ziemi ukraińskiej, by przyjmował fikcyjną narodowość sowiecką? Jeżeli ktoś chce fundować nowy naród — tak jak Amerykanie — trzeba odkryć nowy kontynent.

Czechosłowaków jest tylko 13,6 milionów. Ukraińców jest ponad 40 milionów. Komunista czechosłowacki jest Czechem lub Słowakiem — natomiast Ukraińiec żyjący na swojej ziemi musi być „człowiekiem radzieckim”. W licznych krajach istnieją poselstwa i konsulaty czechosłowackie — natomiast poselstw czy ambasad ukraińskich nie ma nigdzie.

Doświadczenie historyczne uczy nas, że żadne mocarstwo nie jest nigdy dostatecznie potężne, by zapewnić ciągłość systemu, który krzywdzi i poniża dziesiątki milionów ludzi. Do tej pory historia nie uwieczniła na swych kartach imperium, które oparłoby się na dynamice nacjonalizmu. Taki był koniec imperiów brytyjskiego i francuskiego. Taki sam koniec czeka nieuchronnie imperium sowieckie.

Jak podkreślałem wielokrotnie na tych łamach gwałtowne osłabienie Rosji na skutek konfliktów narodowościowych i kryzysów — nie leży w polskim interesie, ponieważ każde osłabienie Rosji stanowi automatycznie wzmocnienie Niemiec. W interesie Polski i całej Europy leży ewolucyjna przebudowa Sowietów w nowoczesne mocarstwo związkowe. Na początek należałoby zlikwidować przepaść jaka istnieje pomiędzy stanem faktycznym a sowieckim prawem konstytucyjnym. Tak na przykład artykuł 13 konstytucji sowieckiej gwarantuje każdej republice prawo wystąpienia ze związku. Od 1 lutego 1944 r. — zgodnie ze zmianą w konstytucji — wszystkie republiki sowieckie winny mieć ministrów spraw zagranicznych i ministrów obrony narodowej. Ministrowie obrony narodowej pozostali kreacją papierową a ministrowie spraw zagranicznych urzędują tylko w republikach ukraińskiej i białoruskiej, ponieważ tak Ukraina jak i Białoruś reprezentowane są w ONZ, UNESCO i w kilku innych międzynarodowych organizacjach.

Konstytucje indywidualnych sowieckich republik upoważniają naczelne władze poszczególnych republik do „mianowania i odwoływania dyplomatycznych przedstawicieli akredytowanych w stolicach państw obcych, oraz do przyjmowania i zwracania listów uwierzytelniających dyplomatycznych przedstawicieli państw obcych”.

W sprzeczności z prawem konstytucyjnym centralne władze sowieckie (rosyjskie) zmonopolizowały wszystkie uprawnienia dyplomatyczne — pozbawiając republiki związkowe wszelkich atrybutów suwerenności.

Jak wykazał przedwcześnie zmarły znakomity sowietolog Walter Kolarz — de-kolonizacja Związku Sowieckiego może być przeprowadzona zarówno w sposób pokojowy jak i legalny. Dodajmy od siebie, że w gruncie rzeczy chodzi o dalszą de-stalinizację i pogrzebanie obłąkanej teorii Stalina: „jeden świat, jeden naród, jeden język”. Pełna de-stalinizacja oznaczałaby de-kolonizację — a de-kolonizacja byłaby po prostu nawrotem do legalizmu.

Problemy narodowościowe, a w szczególności problem ukraiński, stanowią „tabu” w polityce sowieckiej. Z tej przyczyny Amerykanie nigdy nie poruszają tej sprawy. Amerykanie nie zeuropeizują Rosji. Zeuropeizować Rosję mogą tylko Europejczycy.

Likwidacja „zimnej wojny” na naszym kontynencie, włączenie Rosji do szerszego systemu europejskiego, wyprostowanie stosunków polsko-rosyjskich — to wszystko zależy jest od de-kolonizacji Związku Sowieckiego. W Europie nie ma już mocarstw kolonialnych i Rosja — jeżeli zechce zająć należne jej

miejsce w koncercie mocarstw europejskich — musi przejść przez taki sam proces de-kolonizacji jaki za sobą mają Francja i Anglia.

Rosja jest w znacznie lepszej sytuacji niż Francja i Anglia — ponieważ posiada większe możliwości przekształcenia satelitów w partnerów. De-kolonizacja w konsekwencji uczyniłaby Rosję potężniejszą a nie słabszą ponieważ rozwiązanie problemu narodowościowego oznaczałoby rozbrojenie „miny”, która grozi wybuchem w momentach dla Moskwy najgroźniejszych, a więc w okresach wielkich kryzysów lub wojny.

CZĘŚĆ DRUGA

USTRÓJ — GEOPOLITYKA — NIEPODLEGŁOŚĆ

Po klęsce w roku 1863 pojawił się pozytywizm z programem pracy organicznej. Idealistów zastąpili realiści normalnym rze-
czy porządkiem.

Po klęsce powstania warszawskiego Wokulscy nie pojawili się na scenie. Królował „bohater pozytywny” produkcyjniaków, na którego grobie w roku 1956 wyrosła „mowa-trawa”. Antytezą patosu powstania nie stał się pozytywizm tylko surrealizm, groteska i anty-bohater. Ową urzekającą atmosferę odmalował doskonale Flemming. Na tym tle poważni młodzieńcy Kuroń i Modzelewski wyglądają jak emisariusze zabłąkani z innej epoki. W jakiej mierze są reprezentatywni — czy mówią za tysiące czy tylko za setki współobywateli?

Piankowość, dowcip, poczucie groteski i wdzięk warszawskiej atmosfery nie opisują w całości „Polski mało znanej”. Trzeba jeszcze odnotować inny surrealizm i inny typ „groteski”. Krajowi fizjologowie-dietetyści ustalili cztery normy spożycia. Norma „A” najniższa, określona jako niewystarczająca na dłuższy okres czasu przewiduje 3,7 kg. mięsa miesięcznie na osobę. (Dodam w nawiasach, że mój jamnik spożywa pół angielskiego funta mięsa codziennie tzn. około 7.000 gr. mięsa miesięcznie). Jak ustaliły badania budżetów rodzinnych, przeprowadzone przez GUZ — 23% rodzin robotniczych nie osiąga normy spożycia „A”. W granicach normy „A” utrzymuje się 18 do 19% rodzin robotniczych.

W roku 1957 w Warszawskiej Fabryce Motocykli 23% rodzin robotniczych jadło mięso na obiad raz w tygodniu lub rzadziej. Dane powyższe są nadal niestety aktualne, ponieważ spożycie mięsa i przetworów mięsnych w roku 1957 wynosiło w skali krajowej 43,9 kg. na osobę — natomiast w roku 1960 tylko

42,5 kg. na osobę. Poziom spożycia mięsa wśród uboższych rodzin robotniczych jest nadal katastrofalnie niski.

W chwili gdy piszę te słowa ogłoszono prowizoryczne dane cenzusu przemysłowego Polski. W 160.000 zakładach przemysłowych pracuje 13,5 milionów osób. 42,5 procent wszystkich zatrudnionych pracuje w przemyśle. Robotnicy przemysłowi produkują 65% dochodu narodowego. I co z tego mają?

Pracownicy przemysłowi stanowią niemal połowę ludności i trudno jest pojąć, że tak potężna i liczna klasa społeczna pozwoliła się całkowicie ubezwłasnowolnić. Ponura groteskowość sytuacji polega na tym, że wyzysk robotników i jawne okradanie ich z owoców pracy — odbywa się w imię... socjalizmu.

Komuniści jako organizatorzy życia społecznego i gospodarczego są często naiwni i niewydajni. Trzeba im jednak obiektywnie przyznać geniusz dezorganizacyjny. Potrafili zatomizować i zdeorganizować masy robotnicze w stopniu nie notowanym w przeszłości. Ich negatywne osiągnięcia są zdumiewające. Zdołali ubezpieczyć się utrwalając w masach przekonanie, że próby oporu byłyby bez sensu, ponieważ nie ma alternatywy. Z komunistami jest źle lecz bez komunistów groziłaby natychmiastowa katastrofa. Owo unicestwienie alternatywy stanowi ich największe osiągnięcie. Chciałbym podkreślić ten punkt ponieważ ta sprawa stanowi klucz do tajemnicy sukcesu dyktatury „nowej klasy”.

Panuje powszechne przekonanie, że „nowa klasa” opiera swe panowanie na sile. To jest prawdą lecz nie całą prawdą. W okresie październikowym w roku 1956 — partia nie była zdolna do opanowania rewolucji siłą a mimo to nie zwyciężyli rewolucyoniści tylko „nowa klasa”.

W momencie październikowego kryzysu — „nową klasę” uratował brak alternatywy. Z powszechnego wówczas frontu antystalinowskiego nie wyodrębniła się żadna grupa o własnym obliczu i programie. Rewolucja nie wyłoniła partii politycznej, nie wyłoniła alternatywnej platformy.

Lewica październikowa nie odcięła się od „liberalnego” skrzydła partii i wskutek tego VIII Plenum uznała za swoje własne zwycięstwo. Gomułka dążył natomiast do uspokojenia mas społecznych pewnymi koncesjami i do zlikwidowania rewizjonizmu.

Angielska polityczna zasada taktyczna głosi: „jeżeli nie możesz pobić przeciwnika — połącz się z nim”. Tak postąpiło „liberalne” skrzydło partii z Gomułką na czele. Rady Robotnicze, kluby studenckie, „Po Prostu”, rozluźnienie cenzury — to wszystko stwarzało pozór, że Gomułka w pewnej mierze identyfikuje się z lewicą październikową.

Wiosną 1957 r. na IX Plenum proklamowano już otwarcie walkę na „dwa fronty”. Stłumiono strajk tramwajarzy łódzkich, zamknięto „Po Prostu”, rozpędzono policją masowe demonstracje w Warszawie, podporządkowano Rady Robotnicze wyznaczonym aparatczykom i przywrócono w pełni cenzurę.

Można przyjąć, że lewica październikowa poniosłaby klęskę nawet wówczas gdyby miała wykrystalizowany program alternatywny. Tak jednak nie jest. Gdyby lewica październikowa zdołała wyodrębnić się jako niezależny ruch polityczny o własnym programie — Październik byłby przegraną, lecz nie klęską. Nawet gdyby przywódcy i działacze wyładowali w więzieniach — pozostałby program jako oś krystalizacyjna opozycji. Nie byłoby wówczas triumfu „nowej klasy”, który polega nie na stłumieniu rewolty lecz na wykazaniu politycznej bezpłodności sił społecznych stojących poza ramami partii.

Rewolta nigdy nie stanowi głównego niebezpieczeństwa dla reżymu. Ci, którzy dysponują policją i pieniędzmi — demonstrantów mogą rozpędzić policją, a następnego dnia spacyfikować nastroje przyznając pewne ulgi i koncesje.

Prawdziwym zagrożeniem byłby natomiast program alternatywny — bo tylko odrębny program polityczny przemienić może strajki i demonstracje w akcję rewolucyjną. Tym różni się rewolucja od anty-reżymowych demonstracji. Demonstrantów w większości wypadków można „udobruchać” przyznając pewne koncesje. Natomiast rewolucjoniści nie zadowolą się większym przydziałem mięsa czy podwyżką płac, ponieważ ich celem nie są koncesje ale zmiana ustroju.

Czytelnik zauważy w tym miejscu, że najpierw trzeba obalić panowanie „nowej klasy” a dopiero później kłopotać się reformą ustroju. Najpierw trzeba odzyskać wolność a dopiero potem budować demokrację.

To są frazesy powtarzane w dobrej wierze — niemniej to są tylko frazesy. W Polsce nie było nigdy rodzimej rewolucji tylko powstania i walki o niepodległość. W rezultacie, z nawyku tradycji, Polacy myślą zawsze kategoriami nie ustrojowymi lecz niepodległościowymi. Obrona niepodległości jest istotnie programem, który niweluje wszystkie różnice społeczne i polityczne. Gdy bolszewicy zbliżali się do Warszawy — wszystkie stronnictwa polityczne stały solidarnie za ówczesnym rządem i za wodzem sił zbrojnych. Lecz tego schematu nie można żywcem przenosić w dziedzinę ideologii i ustroju. Ten błąd od samego początku popełniają naczelne polityczne władze emigracji, które sytuację Polski widzą wyłącznie w kategoriach niepodległościowych.

Tradycyjny program niepodległościowy nie wystarcza do rozwiązania zagadnienia polsko-rosyjskiego. Gdyby Niemcy przekroczyli zbrojnie granicę na Odrze i Nysie, program obrony zjednoczyłby 90% Polaków tak w Kraju jak i na emigracji. Zagadnienie rosyjskie jest innego rzędu i wtłaczanie go w ramy tradycyjnej polityki niepodległościowej nie prowadzi do nikąd. Polacy nie nawiązują reprezentantów ustroju sowieckiego lecz w tej chwili w Polsce nie ma ani jednego ugrupowania, które byłoby programowo antyrosyjskie. Kuroń i Modzelewski są pro-rosyjscy i wszystkie swoje nadzieje wiążą z przemianami w Rosji. Polacy pomalutku zaczynają zdawać sobie sprawę, że ich ojczyzna nie jest wyspą na Oceanie tylko płatem otwartej płaszczyzny bez żadnych naturalnych granic. Światlejsi zaczynają również rozumieć, że w obecnej epoce geopolityka — ustrój — niepodległość stanowią *jedno zagadnienie* z którego nie można wyodrębnić poszczególnych części składowych.

Na czoło wybija się sprawa ustroju. Dlaczego? Z tej przyczyny, że niepodległość nie jest celem sama w sobie, ponieważ nie każda forma niepodległości jest pożądana. Załóżmy dla przykładu, że konflikt rosyjsko-chiński przechyla się wyraźnie na korzyść Pekinu i w Polsce Mijał i jego partia komunistyczna dochodzą do władzy. Być może Polska byłaby wówczas niepodległa zarówno w stosunku do Rosji jak i w stosunku do Niemiec. Lecz równocześnie panowałby w kraju ustrój stalinowski. Co komu z takiej niepodległości?

W okresie pierwszej wojny światowej ruch niepodległościowy był konkretnym programem. Cytuje się przy różnych okazjach, że Piłsudski „wysiadł na przystanku niepodległość”. Natomiast jego pogrobowcy nie rozumieją, że Piłsudski nie osiągnąłby swojego celu gdyby wysiadł wcześniej. Piłsudski wiedział, że niepodległość jest tylko hasłem. Natomiast ideologia rewolucyjno-społeczna owo hasło przemienić mogła w program polityczny.

Nasi przywódcy na emigracji chcieliby wrócić na „przystanek” niepodległości zapominając, że parowóz Historii nie jest „torpedą czasu” i nie posiada biegu wstecznego.

Niepodległość jest cenną zdobyczą wówczas, gdy niepodległy jest naród a nie tylko państwo. Starałem się wykazać, że największą szansę zdobycia niepodległości państwowej w Europie wschodniej mają komuniści. Żaden rząd jugosłowiański nie byłby prawdopodobnie bardziej niepodległy w sensie państwowym niż rząd marsz. Tito. Nie wydaje mi się również by jakikolwiek inny rząd rumuński, w analogicznej sytuacji, mógł uzyskać większy stopień państwowej niezależności niż obecny rząd komunistyczny.

Hasło niepodległości w oderwaniu od programu ustrojowo-

społecznego jest patriotycznym frazesem. Odnieść go bowiem można zarówno do państwa demokratycznego jak i do państwa więzienia.

Obecny ustrój w Polsce krytykowany jest powszechnie. Lecz zarówno krytyka jak i opozycja nie sumują się — ponieważ nie ma programu alternatywnego. Ów brak programu alternatywnego u rządzonych stanowi największą siłę rządzących.

Oczywiście w Polsce czy w innych krajach satelickich może dojść do przewrotu mimo braku programu alternatywnego. Lecz wówczas istnieje ryzyko, że powtórzy się Październik. Zbankrutowany przywódca partyjny i jego klika odejdą — a nowy przywódca wszystko obieca i niczego nie dotrzyma. Ludzie bez określonego programu politycznego będą skłonni uznać za swoje propozycje reform, wysunięte przez nowego przywódcę partyjnego.

Gdzie leży główne niebezpieczeństwo? Główne niebezpieczeństwo polega na tym, że na skutek braku programu alternatywnego — ferment, niezadowolenie, opozycyjność społeczeństwa wygrać będzie zawsze jeden przywódca partyjny przeciwko drugiemu przywódcy partyjnemu. Nie ulega wątpliwości, że Moczar stara się dyskutować na swoją korzyść ujemne saldo „gomułkizmu”. Podejmuje wybranych intelektualistów „obiadami czwartkowymi”, urządza „rajdy” literatów, daje do zrozumienia, że ułoży stosunki z Kościołem, bije w bęben mocarstwowo-nacjonalistyczny — jednym słowem sugeruje, że gdy on obejmie władzę będzie niepomrotnie lepiej niż obecnie. Ludzie, którzy sami nie mają ani władzy, ani bazy organizacyjnej, ani programu — skłonni są poprzeć każdego, który obiecuje zmianę. Ponieważ jest źle — wnioskuje się, że każda zmiana będzie zmianą na lepsze.

Nie chodzi w tym wypadku o Moczara. Nie będzie Moczar — to będzie ktoś inny. Chodzi natomiast o stwierdzenie faktu, że w konsekwencji braku programu alternatywnego — potencjalny ruch reformy w Kraju jest przedmiotem rozgrywek partyjnych i w rezultacie potencjalni reformatorzy i rewolucjoniści wynoszą na swych barkach nowego z kolei przywódcę klasy rządzącej na stanowisko dyktatora.

Marksizm na Zachodzie ewoluuje lecz nie we wszystkich kierunkach. Wystarczy przestudiować „Cahiers du Communisme” (Maj-Czerwiec 1966) by się przekonać, że francuscy komuniści są zwolennikami systemu wielopartyjnego i głoszą zasadę całkowitej wolności badań naukowych i twórczości artystycznej. Fińska partia komunistyczna idzie jeszcze dalej. Komuniści fińscy odrzucili koncepcję dyktatury proletariatu stwierdzając, że „termin ten

nabrał negatywnego charakteru na skutek bezprawia i pogardy dla demokracji w Związku Sowieckim i w innych krajach socjalistycznych". („On the Marxist Theory of State and the Finnish Road to Socialism", International Working Class Movement, Vol. IX, No. 5, 1965). Jak widzimy więc, Kuroń i Modzelewski nie są odosobnieni w stwierdzeniu, że dyktatura proletariatu jest w gruncie rzeczy dyktaturą nad proletariatem.

Francuscy i włoscy komuniści jeszcze ciągle zonglują tradycyjną formułą dyktatury proletariatu. Jednak jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że z chwilą przyjęcia pluralistycznego modelu społeczeństwa i wielopartyjnego systemu w państwie socjalistycznym — koncepcja „dyktatury proletariatu” jest logicznie nie do utrzymania.

Zachodni komuniści nie rozumieją jednak podstawowej sprawy. Nie może być mowy o renesansie myśli marksistowskiej na Zachodzie — dopóki francuska i włoska partie komunistyczne nie przeprowadzą rzetelnej krytyki europejskich ustrojów komunistycznych. „Gomułkizm” kompromituje nie tylko polski komunizm lecz i światowy ruch komunistyczny. Kuroń i Modzelewski są urodzeni, wychowani i wykształceni w ustroju komunistycznym. Żaden z włoskich czy francuskich komunistów z p. Waldeck-Rochet na czele — nie może tego o sobie powiedzieć. Komuniści zachodni powinni przeanalizować „List Otwarty do Partii” jak najdokładniej, ponieważ zakwalifikowanie tego tekstu jako „bibuły rewizjonistycznej” nie zbija ani jednego zarzutu. Nie może być mowy o renesansie marksizmu dopóki komuniści zachodni na ołtarzu fałszywie pojętej jedności „obozu socjalistycznego” — poświęcać będą prawdę.

Jak wynika z wypowiedzi Władysława Tykocińskiego, zachodnie partie komunistyczne przyjmują pomoc (w twardej walucie) od bratnich partii rządzących w Europie wschodniej, m.in. od PZPR. Oczywiście nie można przyjmować od Gomułki dolarów i równocześnie potępiać w czambuł „gomułkizmu”. Jeżeli istotnie tak jest, należy uznać to za złą taktykę i jeszcze gorszą politykę. Społeczeństwa zachodnie, a w szczególności klasa robotnicza nie oceniają bowiem komunizmu według deklaracji i obietnic tych komunistów, którym do władzy niezmiernie daleko — tylko mierzą komunizm „kosyginizmem” i „gomułkizmem” tzn. teorią wprowadzoną w praktykę. Nie należy oczekiwać zbawienia od marksistów zachodnich. O upadku czy odrodzeniu marksizmu zadecydują kraje wschodniej Europy. Odrodzenie musi rósć tak jak rewolucja — z ofiar, z więzień, z poświęceń i z odwagi. Wśród zachodnich marksistów nie brak wybitnych umysłów, lecz żaden z nich nie wywarł takiego wpływu jak Dżilas. Książek

włoskich czy francuskich marksistów ludzie nie wyrrywają sobie z rąk tak, jak książki Kuronia i Modzelewskiego w Polsce.



Jest moim głębokim przekonaniem, że nie ma dla nas indywidualnego, czysto polskiego wyzwolenia. Totalizm, wyzysk i panowanie „nowej klasy” muszą upaść w całej Europie wschodniej z Rosją włącznie. Program alternatywny — jeżeli ma zwyciężyć — musi znaleźć poparcie inteligencji i klasy robotniczej w całym imperium sowieckim. Postulaty niepodległości, sprawiedliwości społecznej oraz racje geopolityczne tylko na tej drodze znaleźć mogą swoje rozwiązanie.

W pierwszej części niniejszego rozdziału podkreśliłem, że w gruncie rzeczy niepodległość, ustrój, geopolityka — stanowią części składowe jednego zagadnienia. Komunizm nie rozwiązał *de facto* naszego problemu geopolitycznego. Z jednej strony jesteśmy uzależnieni od Moskwy — z drugiej strony mur graniczny oddzielający oba państwa i narody jest trudniejszy do przebycia niż w przeszłości. Komunizm nie tylko nie przyczynił się do wyrównania stosunków polsko-rosyjskich lecz przeciwnie, pogłębił i upowszechnił nienawiść do Rosji. A przecież znajdujemy się dosłownie w tej samej łodzi i polsko-rosyjska wspólnota losu nigdy w przeszłości nie była silniej historycznie zaakcentowana.

Komuniści — podobnie jak endecy — porozumienie polsko-rosyjskie rozpatrują wyłącznie w płaszczyźnie oficjalnej. Pakty czy konwencje zawierane pomiędzy rządami dwóch państw, których narody nienawidzą się wzajemnie — ani politycznie ani strategicznie nie przedstawiają wielkiej wartości.

Prawdziwe porozumienie polsko-rosyjskie musi narastać od dołu. Muszą znaleźć drogę porozumienia i zrozumienia społeczeństwo polskie ze społeczeństwem rosyjskim, inteligencja z inteligencją, pisarze z pisarzami, intelektualisci z intelektualistami.

Dziś, w epoce Gomułki i Kosygina, wydaje się to postulatem absurdalnym. Lecz nie zawsze tak było. Polecam czytelnikom znakomitą rozprawę Wacława Lednickiego pt. „Rosyjsko-Polska Entente Cordiale” ogłoszoną w X-tym Zeszycie Historycznym. Zmienili się ludzie, lecz problem przed nami jest ten sam co na początku bieżącego stulecia. Możemy odzyskać niepodległość tylko poprzez przebudowę ustrojów Rosji i Polski — ponieważ jedynie zdemokratyzowanie i przekształcenie imperium sowieckiego umożliwić może rzetelne wyrównanie stosunków polsko-rosyjskich. W świetle doświadczeń ubiegłego półstulecia należy stwierdzić, że wszystkie inne recepty niepodległościowe są iluzją.

Chciałbym zakończyć ten rozdział wyodrębnieniem dwóch punktów.

Omawiając na łamach „Myśli Polskiej” mój artykuł pt. „ABC Polityki 'Kultury'” p. T. P. zauważył, że wysuwanie hasła przebudowy Rosji jest „sprawą delikatną i dzisiaj zupełnie nie na czasie”.

Sprawa jest niewątpliwie delikatna — lecz czy istotnie nie jest na czasie?

Gdy skazano Mihajlova na 12 miesięcy więzienia — londyński „The Guardian” napisał, że choć Jugosławia ewoluuje najszybciej z wszystkich państw komunistycznych — to jednak nie nadąza za Mihajlovem, który wyprzedza swój czas.

W polityce należy rozróżnić dwie dziedziny. Instrukcje dla ministra spraw zagranicznych i ambasadorów winny być zawsze aktualne i „na czasie”. Natomiast piarstwo polityczne i publicystyka nie spełniłyby swojego zadania gdyby nie wybiegały myślą poza swój czas. Przebudowa imperium sowieckiego i porozumienie polsko-rosyjskie — by mogły stać się w przyszłości problemem „na czasie” — muszą być dziś omawiane i dyskutowane.

Wojna prewencyjna przeciwko Hitlerowi była propozycją realną i miała wszelkie widoki sukcesu. Opinia publiczna Zachodu a zwłaszcza Anglii — była jednak „nie zaprogramowana”, nie przekonana i w rezultacie nie zdobyta dla tej koncepcji. Można zaryzykować pogląd, że konkretną kartę wojny prewencyjnej przegrali nie ministrowie spraw zagranicznych tylko publicyści polityczni, którzy nie przygotowali opinii do tego typu rozwiązania.

Weźmy inny przykład. Problem zjednoczenia Niemiec jest dziś całkowicie nie na czasie. Jednak prasa i agencje niemieckie nie pozwalają światu zapomnieć o tym zagadnieniu. Niemcy programują opinię Zachodu w tej sprawie stale i uporczywie. Z punktu widzenia interesów niemieckich jest to działanie mądre i celowe. Jeżeli kiedyś dojdzie do zjednoczenia obu republik — w znacznej mierze stanie się to dlatego, że Niemcy nie ustawiali ani na chwilę w propagowaniu tej koncepcji wówczas, kiedy była nie na czasie.

I punkt drugi. Problem przebudowy ustroju obcych państw nie stanowi „novum” w polityce amerykańskiej. W Japonii i w Niemczech dokonano ze znacznym sukcesem reorientacji ustrojów totalistycznych. Ową reorientację umożliwiło zwycięstwo wojenne. Bez uciekania się do wojny reorientacja jest programem niewspółmiernie trudniejszym — nie oznacza to jednak, że należy z owego programu zrezygnować.

Z analizy sytuacji w Wietnamie wynika jasno, że nie wystar-

cza pomoc wojskowa i gospodarcza. Konieczna jest jeszcze pomoc *socjalna* — pomoc umożliwiająca unowocześnienie ustroju społecznego.

Świat nie dzieli się na demokrację i komunizm. Ani Zachód nie jest w pełni demokratyczny, ani Wschód nie jest w pełni komunistyczny. Istnieją dziesiątki odmian demokracji i kilkanaście modeli komunizmu. Świat dzieli się *de facto* na strefę rządzoną totalistycznie i na strefę rządzoną nie totalistycznie. Wszystkie inne podziały są nieistotne. Komunizm nie musi być totalistyczny. Model ustrojowy proponowany przez Kuronia i Modzelewskiego jest równie daleki od demokracji typu zachodniego jak i od totalizmu typu sowieckiego.

Koegzystencja z ustrojami totalistycznymi bez względu na ich ideologię — w praktyce oznacza tylko zawieszenie broni. Każdy naród ma prawo do ustroju jaki mu najlepiej odpowiada — żaden jednak naród nie może mieć prawa do ustroju, którego kardynalnym założeniem jest zniszczenie wszystkich innych ustrojów. Dlatego dalekofalowym celem polityki Stanów Zjednoczonych musi być reorientacja ustrojów totalistycznych.

Gdy mówimy o przebudowie Związku Sowieckiego czy o „europeizacji Rosji” — mamy na myśli reorientację jej totalistycznego ustroju, co nie ma nic wspólnego z „myślą prometejską” dawnego stylu. Uważamy natomiast, że reorientacja ustrojów totalnych — a w szczególności Rosji Sowieckiej — jest jednym z podstawowych problemów Zachodu z Ameryką na czele. Naszym zadaniem winno być dopomożenie w konkretnym rozpracowaniu tego zadania, które w formie pokojowej nie ma precedensu. O ile w technologii brak precedensów Amerykanów nie przeraża — o tyle w sferze politycznej przełamywanie konserwatywnego sposobu myślenia idzie bardzo wolno. Na pewno jednak nic nie jest bardziej „na czasie” jak przełamywanie owych oporów myślowych, szczególnie wśród Polaków, którzy jako naród są znacznie bardziej konserwatywni niż Amerykanie.

TYSIĄC LAT I CO DALEJ?

Z mojego wstępu do książki pt. „Dialog polsko-niemiecki w świetle dokumentów kościelnych” wyjmuję następujący fragment:

„Tysiącletni bilans polityczny Polski jest ujemny i nie daje powodów do radości. Po dziesięciu wiekach znaleźliśmy się w punkcie wyjściowym. Utraciliśmy wszystko co można było utracić. Z Rzeczypospolitej „obojga narodów”, z „idei Jagiellońskiej”, z misji „przedmurza” — nie pozostało ani śladu ani popiołu. Ponieśliśmy nie tylko olbrzymie straty terytorialne. Zagubiliśmy również historyczny sens państwowości polskiej. Naszych potężnych sąsiadów nie umieliśmy ani pobić, ani ułożyć z nimi poprawnych stosunków. Jesteśmy dziś buforowym państwem w systemie sowieckim, chroniącym Rosję od ściany Zachodu. Ktoś powie, że to wszystko nie jest naszą winą. Polityka nie rejestruje win i zasług tylko straty i zyski, zwycięstwa lub klęski”.

Aleksander Bregman omawiając mój artykuł pt. „ABC polityki 'Kultury'” zauważył, że jest to „fragment kampanii na rzecz rewizji naszego stosunku do Rosji”. To jest słuszne stwierdzenie. Usiłujemy poddać rewizji tradycyjną polską politykę w stosunku do Rosji — ponieważ polityka ta przyniosła nam same klęski i zawody. Niemniej, jak postaram się wykazać — nie likwidatory typu Bregmana lecz my w „Kulturze” bliżsi jesteśmy tradycji w jej istotnym sensie.

Nigdy w naszych dziejach nie byliśmy partnerem Rosji. Zawsze byliśmy rywalem — zwycięskim lub pokonanym. Jako pobity rywal produkowaliśmy równocześnie pokonanych-niepogodzonych i pokonanych-serwilistów. Ów schemat historyczny powtórzył się jeszcze w okresie Powstania Warszawskiego. Na barykadach walczyli pokonani-niepogodzeni a w Komitecie Lubelskim urzędowali pokonani-serwiliści.

Na emigracji ci z nas, którzy w polityce widzą coś więcej niż manifestacje i „ślubowania” — od dawna zdają sobie sprawę, że nasza tradycyjna polityka w stosunku do Rosji wymaga gruntownego przemyślenia. W wielowiekowej walce o przywództwo na Wschodzie w sensie terytorialnym zostaliśmy pokonani. W konsekwencji, jeżeli przez „ideę Jagiellońską” rozumieć ekspansję terytorialną — wypada obiektywnie stwierdzić, że „idea Jagiellońska” stała się anachronizmem.

Stwierdzenie powyższych faktów nie oznacza jednak bynajmniej, że polska „misja na Wschodzie” dobiegła kresu. Oznacza to tylko, że cele i strategia owej misji muszą ulec zmianie.

Musimy uznać, że w dziedzinie stosunków polsko-rosyjskich nie ma łatwych rozwiązań. W tego typu historycznym gąszczu nienawiści, kompleksów i uprzedzeń nie można niczego załatwić przy stole konferencyjnym. Gdyby na skutek takich czy innych konferencji międzynarodowych wojska sowieckie opuściły Europę wschodnią — byłoby to osiągnięcie o ogromnym znaczeniu. Bylibyśmy niepodlegli lecz na jak długo? Gdyby Moskwa wycofała swoje wojska lecz zachowała w stosunku do nas wrogą i nieufną postawę — w dalszym ciągu wisiałby nad nami rosyjsko-niemiecki miecz następnego rozbioru Polski.

Logicznie biorąc mamy przed sobą tylko dwa rozwiązania. Albo Rosję pobić albo się z nią ułożyć. Ponieważ nie możemy jej pobić, musimy się z nią ułożyć. Na to by się z nią ułożyć musimy ją wpięrować. I w tym miejscu rozpoczyna się nasz problem.

Terytorialnie jesteśmy pobici, lecz kulturalnie jesteśmy obecni. Kultura polska jest jedną z najbardziej atrakcyjnych na wschodzie Europy. Nieufność Ukraińców i Litwinów tu miała przed wojną swe źródło. Rosjanie, którzy są tylekroć liczniejsi od nas oczywiście nie boją się polonizacji. Lecz doceniając atrakcyjność polskiej kultury zdają sobie sprawę z możliwości jej ekspansji w sprzyjającym momencie.

W tym miejscu dotykamy jednego z historycznych punktów newralgicznych w stosunkach polsko-rosyjskich. Ów kompleks „miłości-nienawiści” który charakteryzuje obie strony — polega na tym, że Rosjanie doceniając siłę przyciągania polskiej kultury, obawiają się jej jagiellońskiego potencjału. Rosjanie nie ufają nam, bo jeszcze dziś patrzą na nas jako na potencjalnego rywala.

Uznając naszą klęskę w sensie terytorialnym nie mamy powodu przed Moskwą kapitulować. Byłoby oczywiście nonsensem w epoce atomowej marzyć o nowej wyprawie kijowskiej. „Program rosyjski” „Kultury” choć nie zmierza do ekspansji teryto-

rialnej jest niewątpliwie bardziej ambitny niż wszystkie polskie nowoczesne programy wschodnie dotąd sformułowane.

Ideą wielu Polaków na emigracji jest wyłączenie Rosji z Europy. Przez owo wyłączenie rozumiemy ewakuację wojsk sowieckich z krajów satelickich a w szczególności z NRD. Założmy, że kryzys w NATO doprowadzi z czasem do sojuszków bilateralnych. Dla pełni obrazu dodajmy, że polityka amerykańska oscyluje zazwyczaj pomiędzy globalizmem a izolacjonizmem. Już dziś nie brak w prasie światowej proroków głoszących adwent nowej ery izolacjonizmu.

Publicyści polscy na łamach oficjalnego londyńskiego „Dziennika Polskiego” z rozwojem sytuacji po liniach naszkicowanych powyżej — łączą wielkie nadzieje. Ci panowie twierdzą bowiem, że gdyby ewakuacja wojsk amerykańskich z Europy zachodniej została uzależniona odpowiednim układem od równoczesnej ewakuacji wojsk sowieckich z Europy wschodniej — wówczas „wycofanie wojsk US opłacałoby się”.

W mojej opinii, gdyby Amerykanie, znużeni sytuacją w NATO, któregoś pięknego poranku postanowili wycofać się z Europy (w całości lub częściowo) — nie zażądałoby od Moskwy niczego w zamian. W rezultacie mielibyśmy po dawnemu dywizje sowieckie na wschodzie — natomiast nie mielibyśmy dywizji amerykańskich na zachodzie.

Chciałbym przekonać cierpliwego Czytelnika, że żadne „wyzwolenie”, ewakuacje czy nawet gwarancje nie zmieniają na jotę faktu, że Rosja a nie Ameryka jest naszym potężnym sąsiadem, od którego postawy i polityki w znacznej mierze zależy nasze bezpieczeństwo. Nie możemy Rosji pobić i nie chcemy przed nią kapitulować. Jedynym rozwiązaniem jest tchnąć nową treść w naszą „misję wschodnią” i dążyć do takich przemian w Rosji, które umożliwiałyby nam zapoczątkowanie nowego rozdziału w dziejach polsko-rosyjskich.

Wielu mężów stanu w odróżnieniu od publicystów — nie docenia wagi upowszechniania koncepcji politycznych. Polityka wschodnia Piłsudskiego załamała się przede wszystkim dlatego, że współcześni Polacy, nawet jego zwolennicy, jej nie rozumieli. Jestem przekonany, że w przyszłości znajdą się polscy politycy, którzy podejmą koncepcję „misji wschodniej”. Celem serii artykułów, które poświęciłem temu problemowi jest poszerzyć krąg ludzi rozumiejących te sprawy.

W mojej publicystyce zajmowałem się więcej problematyką rosyjską niż niemiecką ponieważ doszedłem do wniosku, że pojednanie polsko-rosyjskie jest czymś niepomniernie bardziej złożonym i trudnym niż ułożenie stosunków polsko-niemieckich. Na

emigracji co roku ukazuje się nowa książka o Katyniu. O Oświęcimiu nie pisze nikt. Polacy łatwiej wybaczą Niemcom Oświęcim niż Rosjanom Katyń. To są imponderabilia, których nie ma się logiczna analiza. Życie ma nie wiele wspólnego z logiką i polityka ma nie wiele wspólnego z logiką. Niemniej stosowanie analizy i argumentacji logicznej jest jedyną metodą uracjonalnienia tak życia jak i polityki.

Problem polsko-rosyjski zaciemnia anty-komunizm. Różni panowie, którzy nie umieliby o idei Jagiellońskiej wypowiedzieć dwóch rozsądnych zdań — grzmią w sążnistych artykułach o konieczności rozbicia Związku Sowieckiego. Anty-komunizm w odróżnieniu od sowietologii będącej wiedzą polityczną — stał się wylęgarnią grafomanów, którzy nie tylko spłycili problematykę polsko-rosyjską lecz zagubili jej sens.

Likwidatorzy i zawodowi anty-komuniści nie rozumieją, że w europejskim bloku komunistycznym istnieje ferment narodowościowy a nie ideologiczny. Przykład Rumunii wykazuje jasno, że tylko komuniści mają możliwość wywalczenia pewnego stopnia niezależności państwowej. Żaden socjal-demokrata nie osiągnąłby dla Rumunii tego co osiągnął komunista — Nicolae Ceaușescu. Kontr-rewolucja nie tylko nie dałaby Rumunom niezależności lecz przeciwnie sprowadziłaby na ich kraj katastrofę.

Partie komunistyczne posiadają niewątpliwie możliwość zdobycia w danym kraju satelickim pewnego stopnia niezależności. Walcząc o cele narodowe tak w sensie politycznym jak i gospodarczym — komuniści zdobywają poparcie całego społeczeństwa. Zdobywszy owo poparcie i umocniwszy swoją pozycję *vis-à-vis* Moskwy — rządząca partia komunistyczna może podjąć program reform wewnętrznych.

Nie intelektualni rewizjoniści lecz komuniści-nacjoniści doprowadzą z czasem tak do przebudowy imperium satelickiego jak i Związku Sowieckiego. Rewizjoniści ideologiczni mają w przyszłości do odegrania kapitalną rolę, przede wszystkim w samej Rosji. W krajach satelickich rewizjoniści nie mogą liczyć nigdy na masowy oddźwięk. Na masowy oddźwięk może liczyć natomiast przywódca komunistyczny dążący do zdobycia niezależności dla swojego kraju. Walczyć skutecznie o niezależność może przywódca, któremu trudno zarzucić rewizjonizm. Nie można palić świeczki z obu końców i przeprowadzać rewizji zarówno na wewnątrz jak i na zewnątrz.

Powyższe uwagi stanowią podsumowanie doświadczeń dwóch „rewolucji” węgierskiej i rumuńskiej. Model rumuński jako uwieńczony sukcesem z całą pewnością znajdzie naśladowców.

Gdyby Ceausescu był rewizjonistą ideologicznym — Moskwa już dawno zorganizowałaby zjazd taki czy inny na którym większość „bratnich partii” potępiłaby go jako heretyka i socjal-demokratę. Jego politycznych żądań nikt by w Moskwie nie brał pod uwagę. Ponieważ jednak postawa ideologiczna przywódcy rumuńskiego jest nie do zaczepienia — jego żądań i argumentów Moskwa nie może lekceważyć.

Rewolucja-powstanie jako metoda zdobycia niepodległości posiada szanse sukcesu tylko wówczas, jeżeli działa na zasadzie naczyń połączonych. Gdyby rewolucja typu budapeszteńskiego wybuchła równocześnie w Warszawie i w Pradze a nie tylko w stolicy Węgier — szanse powodzenia byłyby znaczne. Lecz synchronizacja ruchów masowych jest niezmiernie trudna i powstańcy w Warszawie czy w Budapeszcie nie mogą mieć nigdy pewności, że ich akcja wywoła „pożar” w innych krajach satelickich.

Doświadczenia rumuńskie wskazują, że tylko ci przywódcy komunistyczni mogą domagać się ustępstw ze strony Sowietów — którzy dysponują zarówno poparciem społeczeństwa jak i poparciem zdyscyplinowanej partii. Wydaje się oczywiste, że domagać się pewnego stopnia niezależności może tylko państwo wewnętrznie uładzone i ustabilizowane. W wypadku rumuńskim owo „uładzenie” jest równoznaczne z rządami żelaznej ręki. Lecz większość Rumunów gotowa jest do czasu płacić tę cenę by zdobyć dla swego kraju maksimum osiągalnej niezależności gospodarczej i politycznej.

Bez względu na to czy Amerykanie opuszczą Europę czy jej nie opuszczą — NATO i Pakt Warszawski nie będą trwały wiecznie. Osobiście jestem przekonany, że Amerykanie pozostaną w Europie choć ich siły zbrojne na kontynencie ulegną na pewno wielkiej redukcji. Likwidacja paktów Warszawskiego i NATO, czy tylko stopniowe rozluźnienie więzi tych struktur, co już następuje po obu stronach barykady — przyniesie z sobą wzmożenie nacjonalizmów i dążenie do politycznej niezależności. W Polsce nie brak również „Rumunów” tak w wojsku jak i w aparacie partyjnym, choć Gomułka do nich nie należy.

Ów proces rozpadu struktur „zimno-wojennych” na terenie Europy zbiegnie się ze „zmianą warty” w państwach satelickich. Przewiduję, że w okresie najbliższych 8 czy 10 lat znikną ze sceny nie tylko Pakt Warszawski i NATO lecz i komuniści typu Gomułki. Pojawią się nowi ludzie, którzy w pełni wykorzystają doświadczenia rumuńskie i w zmienionych warunkach osiągną znacznie więcej niż Ceausescu.

Dla Rosji najbliższe 10 lat mogą okazać się najbardziej burz-

liwe i niebezpieczne w jej nowoczesnych dziejach. Triumf nacjonalizmu w państwach satelickich oraz znaczne uniezależnienie się tych państw od dyrektyw Moskwy — wywrze dominujący wpływ na rozwój sytuacji wewnętrznej w Związku Sowieckim. Ponadto problemu narodowościowego w ZSSR nie będzie można dłużej ignorować. Lecz to jest tylko jeden aspekt sytuacji. Jeżeli Amerykanie przestaną być *de facto* kontrolerem Niemiec — względnie gdy owa kontrola znacznie osłabnie — Moskwa będzie musiała wypracować nowy system bezpieczeństwa, względnie porozumieć się z Niemcami.

Pisma brytyjskie wysuwały propozycję „przetargu” Niemiec za Wietnam. Rosja dopomogłaby do zorganizowania neutralnego i z czasem zjednoczonego Wietnamu — Stany Zjednoczone dopomogłyby do zorganizowania neutralnych, z czasem zjednoczonych, Niemiec. Fakt, że tego typu propozycje wysuwają poważne pisma, jak londyński „The Observer”, dowodzi, że *status quo* powoli sypie się w gruzy.

Na powyższym tle należy rozpatrywać naszą „misję wschodnią” w jej nowoczesnym wydaniu.

Pokolenie stalinowskie w Rosji jest na odchodnym. Nasza polityka jest zaadresowana do młodszego pokolenia, które w najbliższej dekadzie obejmie ster agend państwowych. De-satelizacja i de-kolonizacja imperium sowieckiego jest sprawą przesądzoną. Jeżeli jednak przyszłe pokolenie przywódców rosyjskich wykaże zrozumienie nieuchronności tych przemian — przebudowa nie będzie oznaczać dla Rosji katastrofy ani degradacji w tabeli mocarstw. Polacy — jeżeli staną na wysokości zadania — będą mogli odegrać ogromną rolę w tym niezmiernie trudnym procesie europeizacji Rosji. Wydaje mi się bowiem, że tylko Polacy mają pewną szansę przekonania Rosjan, że de-kolonizacja i przebudowa Związku Sowieckiego — choć jest czymś całkowicie sprzecznym z tradycją rosyjską — nie jest wymierzona przeciwko Rosji. Polacy wszystkimi dostępnymi środkami winni rozładowywać rosyjski zastarzały kompleks anty-zachodni, który dziś jest historycznym anachronizmem.

Przede wszystkim winniśmy sami wydobyć się z politycznego letargu i odzyskać naszą inicjatywę na Wschodzie. Winniśmy zerwać ze schematem, który w stosunku do Rosji dzieli Polaków na dwa przeciwstawne obozy: serwilistów i likwidatorów. Ani jedni ani drudzy nie mają żadnej szansy odzyskania inicjatywy na Wschodzie i nigdy nie zdobędą statutu partnera Rosji. Choć tak serwiliści jak i likwidatorzy powołują się na historię, ani jedni ani drudzy nie są dziedzicami tradycji polskiej „misji na Wschodzie”. W gruncie rzeczy bowiem istotą owej misji nie był

nigdy program likwidacji Rosji lecz *czynny udział Polski w przebudowie i w zorganizowaniu europejskiego Wschodu*.

Koncepcja, którą wysuwamy, nie ma nic wspólnego z imperializmem nawiązuje jednak do najistotniejszego historycznego motywu tradycyjnej polskiej polityki wschodniej. Ów motyw po-
grzebali zarówno likwidatorzy jak i serwiliści pod tonami nienawistnej, zaślepionej bibuły propagandowej.

Ani serwiliści ani likwidatorzy nie mają Rosji niczego do zaofiarowania. Pierwsi gotowi są jej służyć na każdych warunkach — drudzy gotowi są sprzymierzyć się nawet z Niemcami przeciwko Rosji.

Polska *de facto* jest kluczem Europy do Rosji i kluczem Rosji do Europy. W przyszłości Rosjanie będą musieli albo porozumieć się z Polakami albo wyjść z Europy. Bez Polski nie zorganizują bowiem trwałego systemu bezpieczeństwa. Związek polsko-czechosłowacko-węgierski w sojuszu z przebudowaną przyszłą Rosją — tworzyłby ugrupowanie, które równoważyłoby z nawiązką najpotężniejsze nawet Niemcy. Co innego jest jednak sojusz czy układ ze związkiem czy federacją niepodległych państw, a co innego jest system „pasa satelickiego”, który w razie kryzysu nie zwiększy lecz przeciwnie pomniejszy bezpieczeństwo Rosji.

Polacy winni poczuć się na nowo historycznym narodem. We wszystkich obchodach millenijnych trudno dopatrzeć się renesansu Polski jako państwa historycznego. Wieczne deklamowanie o „Polsce walczącej”, o niepodległości i pięcio-przymiotnikowych wyborach — nie jest ani historią, ani polityką, ani programem. Historyczny naród musi mieć świadomość celu i dróg do owego celu wiodących, ponieważ państwo nie może być tylko osiedlem mieszkaniowym — choćby niepodległym i demokratycznie rządzonym. Państwo musi być czymś więcej. I tego „więcej” nie umieliśmy dotąd odnaleźć.

KOŃ PRZED WOZEM

Odwiedziło mnie sporo osób z kraju w tym garść młodych ludzi poniżej lat 25. Dokonałem zdumiewającego odkrycia. Owym młodzieńcom należałoby nieco przyciąć włosy i po tej operacji torpedą czasu można by ich spokojnie przewieźć w lata 20-te bieżącego stulecia. Są tak samo piękno-duchowscy i literaccy jak ich poprzednicy. Podobieństwa są wręcz niepokojące. Młodzież humanistyczna pochodzenia inteligenckiego stanowi kopię generacji poprzedniej.

Młody technolog pochodzenia robotniczego, który o „Zaczarowanym Guciu” nigdy nie słyszał, a na wzmiankę o Gombrowiczu wzruszył ramionami — gdy mu opowiedziałem o rozmowach z młodymi humanistami zauważył: „Urodzili się na śmietniku historii, wychowali się i uformowali na śmietniku historii i tam dokonają swego żywota”.

Mogłoby się wydawać, że i pod tym względem nic się nie zmieniło. Moi koledzy na uniwersytecie pochodzący z rodzin chłopskich i robotniczych — byli śmiertelnie serio. Nędza jest rzeczą serio. Lecz dziś poza ową rzeczowością i realizmem młodzi inteligenci chłopsko-robotniczego pochodzenia — wykazują pewność siebie i apetyt władzy, co stanowi nowy rys charakterystyczny.

Jeden z młodych humanistów, inteligent z dziada-pradziada, na wzmiankę o Kuroniu wybuchnął: „trzeba być takim Kuroniem, żeby po tylu latach i po tylu doświadczeniach próbować jeszcze raz!”

Jeżeli dziś w Polsce gorzej jest pod wieloma względami niż na Węgrzech, w Czechosłowacji czy nawet w Rumunii — to w pewnej mierze jest to po-klęskowy efekt spowodowany utratą pokolenia. Najwartościowsi reprezentanci swojej klasy, którzy

polegli w akcjach AK i w Powstaniu Warszawskim w wieku 20-25 lat — tworzyliby dziś wielotysięczną kadre dojrzałych ludzi pomiędzy 40 a 50 rokiem życia. Ocalał element najmniej ideowy, oportunistyczny, karierowiczowski. Stalin skazując to pokolenie na śmierć oddał Gomułce i jego partyjnej administracji niewymierną usługę. Osobiście jestem przekonany, że Październik miałby w Polsce zupełnie inny przebieg gdyby tego pokolenia wówczas nie brakło.

Młodzi humaniści pochodzenia inteligenckiego przypominają do złudzenia swoich ojców z lat 20-tych ponieważ sytuacja była wówczas podobna. Nikt z nas nie był w Legionach, a rządili nami panowie z „wojennymi” maturami z awansu legionowego. Nikt z nas nie wierzył w możliwość jakiegokolwiek zmiany i daleko bardziej interesował nas „Skamander”, „Wiadomości Literackie” i nowinki z Zachodu — niż naprawa Rzeczypospolitej.

Cechą po-szlacheckiej kultury był nie humanizm lecz humanistyczność — tzn. indywidualistyczne zainteresowanie sztuką — poezją, literaturą, malarstwem. W przedwojennym Krakowie jeżeli ktoś chciał być inteligentem nie mógł być tylko lekarzem czy tylko adwokatem. By w pełni należeć do klasy inteligencji trzeba było interesować się sztuką, kolekcjonować obrazy, prenumerować periodyki literackie, bywać w teatrze i td. Poczekalnie lekarzy krakowskich, salony notariuszy czy adwokatów zawieszane były od góry do dołu Wyspiańskimi, Fałatami, Malczewskimi i stanowiły swego rodzaju prywatne muzea.

To nie była tylko moda krakowska. W domach inteligenckich na zapadłej prowincji widywałem biblioteki kolekcjonowane latami, które mogłyby wprowadzić w zdumienie socjologa angielskiego czy amerykańskiego. Nie było kanalizacji, wody bieżącej, elektryczności — lecz na półkach stały tomy Dickensa w oryginale obok pięknych wydań francuskich i polskich. Nikogo nie raził ów zdumiewający kontrast pomiędzy prymitywizmem kultury materialnej a wysokim poziomem kultury duchowej. Łazienka czy kanalizacja nie świadczyły o niczym — nie miały nawet wartości „status symbol” jak dziś samochód.

Ci sami lekarze, prawnicy czy urzędnicy, którzy wykazywali wysoki poziom humanistyczny — byli przeważnie politycznymi analfabetami. Nigdy nie byłem konserwatystą, lecz po dwu dziesięciokach lat spędzonych w Anglii — choć nie stałem się konserwatystą — w pełni doceniam konserwatyzm brytyjski.

Polska szlachta i jej spadkobierczyni inteligencja nie wytworzyły żadnej doktryny konserwatywnej. Ziemiaństwo w okresie 2-giej Rzeczypospolitej w większości było zwyczajnie reakcyjne, stąd w Polsce konserwatyzm identyfikuje się z wstecznictwem

i reakcyjnością. Konserwatyści gdyby reprezentowali rozum, plan i siłę — mieliby szansę ułożenia stosunków z Rosją w innej płaszczyźnie zaoszczędzając nam serii katastrof, które w roku 1939 zakończyły się super-klęską.

Utrata bazy, tzn. własnej państwowości, doprowadziła do elefantiasis nadbudowy. Produkowaliśmy znakomitych pisarzy od Mickiewicza po Żeromskiego — mieliśmy legion Chrzanowskich, Kleinerów, Konopczyńskich i Pigoniów lecz tylko jednego Romana Dmowskiego. Piłsudski był zwycięskim wodzem, lecz nie był twórcą doktryny politycznej. Nigdzie na świecie nie sprawują rządów intelektualiści, profesorowie uniwersytetów czy pisarze. W Anglii jednak trzeba by długo szukać inteligenta, który intelektualnie mógłby sprostować prem. Wilsonowi. To jest człowiek akademicko świetnie wykształcony, czytany i zorientowany. Przeciętny inteligent brytyjski może się ze swoim premierem zgadzać lub nie zgadzać — nie ma jednak żadnych podstaw do przypuszczeń, że rządzą nim głupszy od niego. Podobnie prezydenci Johnson a przed nim Kennedy — górują nad przeciętnym inteligentem amerykańskim wykształceniem, doświadczeniem, myślowym horyzontem.

W Polsce natomiast od czasu upadku 1-szej Rzeczypospolitej — rządzący (z nielicznymi wyjątkami) wykazują niewspółmiernie niższy poziom od rządzonych. W Polsce Ludowej ów stan rzeczy doprowadzono do nienotowanej uprzednio doskonałości. Tłumami zachłannie czytających, oświeconych, wykształconych inteligentów — od 20 lat rządzi grupa niedouków i kulturalnych półanalfabetów.

Owo typowe dla inteligentów pogardliwe odwracanie się od polityki maskuje całkowitą bezradność. Ponieważ socjologia jest w modzie, co trzeci młody człowiek studiuje socjologię. Za kilka lat będziemy mieli tysiące magistrów i doktorów socjologii i równocześnie najbardziej nieudolne rządy i zacofane instytucje socjalne w całej Europie. To samo dotyczy spraw gospodarczych. W Polsce roi się od młodych dyplomowanych ekonomistów, planistów, statystyków — lecz zdobycie kawałka kiełbasy jest ciągle problemem.

Stosunek inteligentów polskich do demokracji wart jest szczególnego opracowania. Wszyscy są za demokracją lecz równocześnie znaczny procent nie wierzy w ewolucję. Dzieje demokracji w Anglii czy w Stanach Zjednoczonych nie są tajemnicą. Wiadomo powszechnie, że demokracja nigdzie nie została zadekretowana ani narzucona z zewnątrz, lecz przeciwnie, ewoluowała stopniowo pod naporem rządzonych a nie rządzących. W wielu wypadkach bardzo trudno jest przekonać Polaków krajowych, że

obalenie systemu komunistycznego bynajmniej nie gwarantuje rozwoju swobód demokratycznych. W okresie dwudziestolecia niepodległości komuniści nie sprawowali władzy, lecz — jak wiemy — z demokracją bywało bardzo rozmaicie. Ci, którzy sądzą, że w obecnych warunkach nie jest rzeczą możliwą pracować w kierunku ewolucyjnych przemian — winni sobie uświadomić, że w okresie po-komunistycznym, być może, w Polsce będzie jeszcze trudniej walczyć o demokrację niż dzisiaj. Propaganda antykomunistyczna ugruntowała w wielu ludziach najfałszywsze w świecie przekonanie, że wystarczy obalić komunizm, by objawiła się demokracja. Demokracja nigdzie się nie objawia tylko wszędzie i zawsze trzeba ją mozolnie i uporczywie wywalczać a ci, którzy rezygnują z walki i z naporu rządzeni są niedemokratycznie i to nie zawsze przez komunistów.

Młodzi inteligenci krajowi — którym Kuroń i Modzelewski wydają się naiwniakami — są w gruncie rzeczy późnymi wnukami inteligenckiego romantyzmu, choć zapewne nie chcieliby się przyznać do tej paranteli.

Autentyczni inteligenci przedwojenni ze szkoły romantycznej — przechowani w rezerwacie emigracyjnym — zwalczają również Kuronia, Modzelewskiego, ewolucjonizm, rewizjonizm i wszystko co zmierza do naprawy ustroju.

W londyńskim „Tygodniu Polskim” z dnia 11 września 1965 roku ukazał się artykuł pióra dra Stefana Mękarskiego pt. „Stawka na Rewizjonizm?”

W zakończeniu dłuższego wywodu dr Mękarski pisze m.in.:

„Nie należy przeoczyć, że w sporach z górą PZPR studenci marksistowsko-leninowscy i literaci partyjni lub prokomunistyczni reprezentują często element ideowy i etyczny. Martwi ich tępota i totalitaryzm partii. Chcieliby ją — choć to wygląda na kwadraturę koła — zdemokratyzować w ramach doktryny i narzuconego z zewnątrz systemu i uczynić formacją ogólnonarodową. Reprezentują w ten sposób model komunizmu najniebezpieczniejszy. Chociaż bowiem w zagadnieniach najistotniejszych, a więc w sprawie niepodległości i zależności od Rosji, model ten nie domaga się żadnej rewizji, to jednak rzetelnością swych pobudek w innych sprawach rozbraja, znieczula, zaprasza do kompromisu i oportunistu, zakłamanego, bo wspartego na motywacji o charakterze ideologicznym”.

Istnieje ścisła analogia pomiędzy młodymi inteligentami krajowymi, którzy odrzucają metodę ewolucyjną a „niezlomnymi” inteligentami na emigracji. Pierwsi sądzą, że zdemokratyzowanie ustroju poprzedzić musi upadek komunizmu — drudzy wierzą, że zdobycie niepodległości poprzedzić musi upadek komunizmu. Ani pierwsi ani drudzy nie mają żadnej recepty na obalenie ustroju komunistycznego. Tak jedni jak i drudzy reprezentują

klasyczny inteligencki patriotyzm, którego gramatyka składa się tylko z dwóch czasów: czasu przeszłego i czasu przyszłego. Ponieważ trybem działania politycznego jest zawsze czas teraźniejszy — tradycyjna postawa inteligencka jest *de facto* rezygnacją z działalności politycznej.

Na pewnej wyspie na morzach południowych mieszkańcy hołdują religii, którą antropologowie amerykańscy nazwali „Cargo Myth”. Istotą owego mitu jest wiara, że kiedyś do zagubionej wysepki przybije statek a biali ludzie wyładują zdumiewające *cargo* w postaci perkalu, konserw i innych pożądaných towarów. Wówczas nastąpi era absolutnej i sytej szczęśliwości.

Polska inteligencja w znacznym procencie hołduje również swoistemu *cargo myth*. Wierzimy (i czekamy), że „coś” się stanie — wojna, bankructwo komunizmu, rozkład Związku Sowieckiego — i nagle okręt wielkiej odmiany przybije do polskiego brzegu. Wówczas będziemy niepodlegli, suwerenni, wolni, demokratyczni, a może nawet mocarstwowi.

Dziś natomiast młodzi panowie odcytani w „Zaczarowanym Guciu” i w „Kosmosie” — sypiący jak z rękawa nazwiskami autorów francuskich, angielskich i amerykańskich — uważają za rzecz najnaturalniejszą w świecie, że rządzą nimi w dziedzinie kultury tępaki nie odróżniające Gombrowicza od Michała Anioła.

Weźmy inny przykład. Pewien dziennikarz krajowy, mówiący dobrze po angielsku, pilotował po Warszawie znajomych Szkotów, których znał z czasów wojny. „Paliłem się ze wstydu” — opowiadał mi, bo w jakimś lokalu podwarszawskim nie było wygodki. A raczej była wygodka lecz w takim stanie, że jego znajoma Szkotka nie mogła z niej skorzystać. „Po 20 latach jeszcze ciągle nie jesteśmy Europą” — zawyrokował mój znajomy dziennikarz z najszczerzym patetyzmem.

Lecz ten sam dziennikarz nie widzi żadnej przepaści pomiędzy Europą a warszawskim pismem któremu służy. Nie zdaje sobie sprawy, że cenzura, zamordyzm, gomulizm są daleko istotniejszym powodem do palenia się ze wstydu, niż nieszczerne polskie „stawojki”.

Lecz Europą w polskim wydaniu jesteśmy tylko my — inteligenci obczytani i oblatani, snobujący się wszystkim co zachodnie. Raz rządzą nami Austriacy i Rosjanie, innym razem sanacja, a kiedy indziej Gomulka i komuniści. Zawsze jest ów podział na „my” i „oni”. My przywodzimy a „oni” rządzą nami jak stadem baranów.

Gdyby druga Rzeczpospolita istniała 50 lat dłużej — inteligencja polska przemieniłaby się w prawdziwą *middle class*. W ostatnim dziesięcioleciu Polski niepodległej ewolucja w tym

kierunku była wyraźnie zarysowana. Komunizm uniemożliwił inteligencji przekształcenie się w nowoczesną *middle class*, która winna dostarczać przywódców politycznych, menadżerów przemysłowych, administratorów w służbie państwowej i tp.

Slogan i zasada „nie matura lecz chęć szczerą” w Polsce Gomułki obowiązuje nadal w całej rozciągłości. Z jakich warstw społecznych rekrutują się w PRL menadżerowie przemysłowi? Rewelacyjne światło na tę sprawę rzucił artykuł w „Polityce” z 11 września 1965 r. Cytuję dosłownie:

„Foteli dyrektorskich mamy w przemyśle 4656 (mowa o dyrektorach naczelnych). Nawet połowa dyrektorów nie ma wyższego wykształcenia. Nie jest ono może nieodzowne, kiedy cały pion techniczny i ekonomiczny znajduje się w fachowych rękach, a dyrektorowi naczelnemu pozostaje tylko ogólne kierownictwo.

Ale „naczelny inżynier” — to funkcja, nie zaś stopień zawodowy. Na 3479 naczelnych inżynierów — inżynierami jest zaledwie 2666, na 7533 głównych księgowych wyższe wykształcenie ma 1275.

Niestety, przypuszczenie, że cała reszta to posiadacze matur, okazuje się mylne. Arkusz statystyczny zawiera wiele rubryk stopniujących wykształcenie, dając tym samym możliwość każdemu, kto choć zawodową szkołę ukończył, odbić się od dwóch ostatnich rubryk: wykształcenie podstawowe i niepełne podstawowe. Niestety i one nie pozostały puste: 192 dyrektorów ma szkołę podstawową, 6 jej nie ukończyło. Analogicznie — 59 naczelnych inżynierów, do których zapewne mówi się per „panie inżynierze”, także nie wyszło poza siedem klas, a jeden i tej bariery nie osiągnął: 355 głównych księgowych ma szkołę podstawową, 5 jej nie ukończyło”.

Cytowany artykuł w „Polityce” przytacza obfitą dokumentację w tej sprawie, którą tutaj nie możemy się zająć. Chodziło mi jedynie o zilustrowanie ogólnej tendencji i zasady. W roku 1964 historia powtórzyła się z całą dokładnością. Wśród 420 nowych dyrektorów połowa nie posiada wyższego wykształcenia a 15-tu nowomianowanych „naczelnych inżynierów” nie ukończyło nawet 7-miu klas szkoły powszechnej.

W tym samym roku 1964 wyższe uczelnie wypuściły w świat 30 tysięcy dyplomowanych inżynierów i 7 tysięcy ekonomistów i prawników. Oczywiście wśród owych dziesiątków tysięcy inżynierów wykształconych w okresie 20-lecia PRL przeważają inteligenci robotniczo-chłopskiego pochodzenia.

Powyższy problem zostanie rozwiązany na drodze biologicznej. Generacja niedouków i „naczelnych inżynierów” bez ukończonej szkoły powszechnej musi po prostu wymrzeć. Wówczas okupacja Polski przez półanalfabetów dobiegnie kresu. Dopóki to nie nastąpi nie należy oczekiwać żadnych poważniejszych przemian.



Przytoczona w pierwszej części niniejszego rozdziału wypowiedź dra Męcarskiego stanowi klasyczną próbkę ideologii inteligenckiej.

Spór pomiędzy ewolucjonistami a likwidatorami genetycznie sięga okresu schyłkowego pierwszej Rzeczypospolitej. Przeciwnicy ewolucjonizmu mniemają, że naprawa ustroju tak w sensie społecznym jak i gospodarczym nie ma nic wspólnego z niepodległością. Przeciwnie, dr Męcarski sądzi, że rewizjonizm-ewolucjonizm „rzetelnością swych pobudek” rozbraja, znieczula i przysłania główny cel, to znaczy odzyskanie niepodległości.

W okresie gdy pierwsza Rzeczpospolita chyliła się ku upadkowi byłoby się nam opłacało dobrowolnie zrezygnować z części suwerenności na rzecz Rosji za cenę możliwości przeprowadzenia modernizacji gospodarki. Wszystkie insurekcje zawiodły, bo nie byliśmy zdolni do niepodległości ani społecznie ani gospodarczo.

Najfatalniejszym dziedzictwem przeszło półtorawiekowej niewoli jest tradycyjna wiara, która niezmiennie wolno zamiera — że wolność i niepodległość są całkowicie niezależne od ustroju społecznego i rozwoju gospodarczego. Tradycyjnie myślący inteligenci polscy wierzą w absolutny prymat postulatów niepodległości, który powinien być realizowany niezależnie od wszystkich innych celów i postulatów.

W roku 1939 Niemcy wytwarzali dokładnie 10 razy więcej stali niż Polska. Żaden romantyzm i bohaterstwo nie było w stanie wyrównać tego niedoboru. Chyląc czoło przed bohaterstwem żołnierzy należy zwalczać do upadłego pogląd, że bohaterstwem i ofiarnością można wyrównać brak stali i amunicji.

Mówiąc językiem marksistowskim należy stwierdzić, że niepodległość stanowi polityczną nadbudowę w stosunku do bazy gospodarczo-społecznej. Nie oznacza to, że baza automatycznie produkuje nadbudowę. Można wyobrazić sobie państwo wzorowo zorganizowane społecznie i wysoko uprzemysłowione a równocześnie pozbawione niepodległości na skutek zaborczej polityki potężnego sąsiada. Z drugiej jednak strony należy stwierdzić, że nawet przy najlepszej koniunkturze międzynarodowej państwo źle zagospodarowane i społecznie nie uładzone — nie ma żadnej szansy zdobycia statusu suwerennego.

Przeciwnicy ewolucjonizmu sądzą, że rozwiązania dotyczące uzdrowienia obecnego ustroju w Polsce są *de facto* szkodliwe, ponieważ odciągają naszą uwagę od jedyne go zadania — to znaczy zdobycia niepodległości. W tej perspektywie im model ustrojowo-gospodarczy jest lepszy, nowocześniejszy, sprawniej funkcjonujący — tym w gruncie rzeczy jest niebezpieczniejszy, bo

— jak głoszą nasi oponenti — „rozbraja, znieczula, zaprasza do kompromisu i oportunizmu”.

Postawmy kropkę nad tym „i”. Przeciwnicy ewolucjonizmu boją się autonomii. Boją się, że jeżeli sytuacja wewnętrzna w Kraju uległaby wybitnej poprawie — gdyby unowocześniono i zliberalizowano model ustrojowy — wówczas Polakom zaczęłoby się tak dobrze powodzić, że zrezygnowaliby z niepodległości państwowej zadawalając się autonomią.

Osobiście nie podzielam tych obaw. Przeciwnie, jestem przekonany, że jedyna realna droga wiodąca do niepodległości prowadzi poprzez autonomię. Polacy nigdy nie zrezygnują z niepodległości, lecz w pierwszej linii muszą zdobyć autonomię, której do tej pory nie mają. Przez autonomię rozumiem co najmniej status Finlandii.

Romantyczni niepodległościowcy od czasów przed-rozbiorowych po dzień obecny stawiają wóz przed koniem jeżeli wolno użyć obrazowego powiedzenia angielskiego. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że ten typ filozofii narodowej — od czasów pierwszego rozbioru po upadek Powstania Warszawskiego — prowadził nas od katastrofy do katastrofy. Musimy nauczyć się łączyć romantyzm z praktycznością a zacząć ową lekcję trzeba od postawienia konia przed wozem.

Spółeczno-narodowym zadaniem inteligencji jest reprezentować *common sense*. Wiedza i wykształcenie nie są *de facto* niczym innym jak oświeconym „zdrowym rozsądkiem”. Osobiście jestem przekonany, że inteligencja polska — ani nie po-szlachecka ani nie robotniczo-chłopska tylko ogólnie narodowa — na przestrzeni najbliższych dwóch dekad odzyska przodującą pozycję w Polsce. By to się stało, nie wystarczy by niedouki stanowiące dziś klasę rządzącą w Kraju wylądowały w „Alej Zasłużonych” na Powązkach. Jest rzeczą nieodzowną by inteligenci przełamali obręcz wyobcowania, która tylko w części spowodowana jest obecnym systemem. Niemniej istotnym składnikiem alienacji inteligencji jest anachronistyczna postawa wyrażająca się często wręcz infantylną pogardą w stosunku do problematyki polityczno-społecznej.

O Ziemi Odzyskanej i o granicy na Odrze i Nysie walczyć należy z konsekwencją i uporem. Lecz nie Niemcy są dziś naszymi okupantami, tylko owi dyrektorzy i „naczelnicy inżynierowie”, którzy nie ukończyli nawet szkoły podstawowej. Pomiedzy wczorajszymi a dzisiejszymi okupantami istnieje jednak zasadnicza różnica. Nikt mnie nie przekona, że Rosja domaga się od nas byśmy czołowe stanowiska w gospodarce narodowej obsadzali

pół-analfabetami. Godzimy się na to — bo w stosunku do rodzimych okupantów nie potrafimy się zdobyć ani na jedną dziesiątą oporu, który mobilizowaliśmy przeciwko Niemcom. Musimy raz wreszcie przełamać koszmarny, tradycyjny schemat: inteligent polski z karabinem w rękę to niepodległościowy bohater — za biurkiem, z piórem w rękę — to pokorny lojalista.

KURON I MODZELEWSKI

Dwa lata temu na łamach „Kultury” napisałem, że trudno uwierzyć by trzydziesto-milionowy naród przez 20 lat nie wyprodukował choćby jednej książki zawierającej krytyczną analizę systemu komunistycznego oraz zarysu programu alternatywnego. Jako tłumacz „Nowej Klasy” zazdrościłem Jugosłowianom Džilas, chociaż nie pod wszystkim co głosi Džilas mógłbym się podpisać. „List Otwarty do Partii” Kuronia i Modzelewskiego wydany przez „Kulturę” w serii „Dokumentów” zapełnia tę kompromitującą lukę i rehabilituje polski marksizm. Ukazanie się tej pracy potwierdza również naszą tezę, że marksizm wyzwolony z dogmatyki jest zdolny do ewolucji.

Na dobro książki Kuronia i Modzelewskiego należy również zapisać brak „drętej mowy”, zwartość i absolutną uczciwość intelektualną. Autorzy nie kokietują nikogo — ani Rosjan, ani Amerykanów, ani demokratów, ani niezależnej lewicy na Zachodzie. Formułują swoje przekonania z nieugiętą odwagą i z pogardą dla oczywistych konsekwencji, których w policyjnym państwie nie mogli uniknąć. Należy przed tym pochylić czoła ponieważ odwaga cywilna i nieprzekupność intelektualna są równie rzadkie na Wschodzie jak i na Zachodzie.

Jako analityczni socjologowie „nowej klasy”, którą przechrzcili na „centralną polityczną biurokrację” — autorzy „Listu Otwartego” górują nad Džilasem. Trzeba jednak dodać, że Džilas dysponował uboższym materiałem historycznym. Kuroń i Modzelewski mają do dyspozycji okres 20-tu lat „budowy socjalizmu” w PRL oraz bogaty materiał porównawczy.

O klasie komunistycznych biurokratów jako zbiorowym właścicielu wszystkich środków produkcji — trudno jest dziś powiedzieć coś nowego. Nowością jest natomiast zastosowanie marksis-

towskiej teorii „wartości dodatkowej” w odniesieniu do sytuacji robotników w państwie rzekomo socjalistycznym. Według Lenina teoria „wartości dodatkowej” stanowi podstawę „socjalizmu naukowego”. Lenin sądził, że przy pomocy tej teorii Marks wykazał, że ustroj kapitalistyczny różni się zasadniczo od poprzednich formacji społecznych formą wyzysku. Natomiast ani Marks ani Lenin nie przypuszczali zapewne, że dwóch młodych polskich marksistów wykaże czarno na białym, że robotnik w ustroju komunistycznym obrabowany został z „produktu dodatkowego”. W rezultacie wyzysk w systemie „dyktatury proletariatu” osiągnął nienotowaną w dziejach doskonałość.

Jak to wygląda w praktyce? W roku 1952 pracownik produkcyjny przemysłu wytwarzał przeciętnie produkt czysty wartości 51 tysięcy złotych. Natomiast w formie płacy roboczej otrzymywał przeciętnie 22.932 zł rocznie. Inaczej mówiąc, jedną trzecią dnia roboczego robotnik wytwarza minimum egzystencji dla siebie a przez pozostałe dwie trzecie dnia roboczego wytwarza „produkt dodatkowy”.

Na jakie cele przeznaczony jest produkt dodatkowy? Cytuję z pewnymi skrótami: Po pierwsze na akumulację, czyli na rozszerzenie produkcji. Po drugie na utrzymanie aparatu przemocy — wojska, policji politycznej, prokuratury, sądów, więzień. Temu samemu celowi służą wydatki na partię i kierowane przez nią organizacje, które dezorganizują wszelkie próby oporu i opozycji ze strony klasy robotniczej.

W oparciu o powyższą analizę autorzy dochodzą do następującego wniosku: w istniejącym systemie robotnik otrzymuje w formie płacy, usług i świadczeń tylko minimum egzystencji. „Produkt dodatkowy” jest mu odbierany przemocą. Oznacza to, że robotnik jest wyzyskiwany. Produkuje on minimum egzystencji dla siebie i całą potęgę państwa przeciwko sobie. Produkt jego własnej pracy przeciwstawia mu się jako siła obca i wroga.

Na równie gorzkie słowa zdobył się tylko Engels w swoim dziele „Położenie Klasy Robotniczej w Anglii” — lecz to był rok 1845.

Kuroń i Modzelewski reprezentują klasyczny pogląd marksistowski, że dochód narodowy wytwarzają wyłącznie pracownicy produkcyjni. Tu bierze swe źródło ich uraz do technokratów. W rzeczywistości jednak w ustroju prawidłowo funkcjonującym dochód narodowy wytwarzają wszyscy ludzie pracy a nie tylko robotnicy i chłopci. Czy lekarz, którego fachowej opiece robotnik zawdzięcza zdrowie i zdolność do pracy — nie jest współtwórcą dochodu narodowego?

W zautomatyzowanych zakładach przemysłowych w Stanach

Zjednoczonych — zatrudnionych bywa więcej wysoko kwalifikowanych technologów niż klasycznych robotników. Wówczas sytuacja odwraca się ponieważ w tego typu zakładzie przemysłowym pracownikami produkcyjnymi w sensie marksistowskim są w znacznie większej mierze technologowie i naukowcy-specjaliści niż robotnicy.

Gdy Marks i Engels formułowali swoje teorie — panowie w białych kołnierzykach — inżynierowie, dyrektorzy i tp. — organizowali i nadzorowali najemną siłę robotniczą nie biorąc bezpośrednio udziału w procesie produkcji. Od tych czasów w krajach wysoko uprzemysłowionych zaszły jednak wielkie zmiany.

Tezą centralną „Listu Otwartego” jest pogląd, że w obecnym państwie komunistycznym istnieje antagonistyczna sprzeczność pomiędzy klasowo pojętym celem produkcji robotników a klasowo pojętym celem produkcji biurokratów. Klasowym celem produkcji robotników jest konsumpcja. Innymi słowy, dobrobyt klasy robotniczej. Rządząca biurokracja, której oczywiście nie zbywa na niczym — uważa konsumpcję klasy robotniczej za zło konieczne. Dla tych panów jest to po prostu składnik kosztów produkcji. Robotnik musi mieszkać i jeść lecz tylko po to, by mógł pracować i reprodukować swoją klasę społeczną tzn. dostarczać panującej biurokracji nowych pokoleń robotników.

Aparat administracyjny i partyjny ma na celu zapewnienie sprawnego funkcjonowania powyższego systemu. Partia organizuje posłuch i dyscyplinę i równocześnie dezorganizuje każdy przejaw opozycji czy buntu.

W ocenie autorów „Listu Otwartego” zniesienie wyzysku oznacza stworzenie takiego systemu, w którym klasa robotnicza będzie panować nad swoją pracą i jej produktem. Robotnicy zatem mają wyznaczać cele produkcji społecznej, decydować o podziale i wykorzystaniu dochodu narodowego, określać rozmiar i kierunki inwestycji i td. W sumie robotnicy sprawować będą władzę ekonomiczną, społeczną i polityczną.

W każdym państwie musi istnieć aparat władzy. Jak będzie funkcjonował aparat administracyjno-polityczny w proponowanej przez Kuronia i Modzelewskiego „demokracji robotniczej”? Pierwszym i podstawowym ogniwem maszyny administracyjnej będą Rady Robotnicze. Dyrektor i dyrekcja w każdym przedsiębiorstwie zostaną podporządkowani Radom Robotniczym. Samorząd robotniczy ograniczony do szczebla fabryki czy zakładu przemysłowego stałby się nieuchronnie fikcją i dlatego — w opinii autorów „Listu Otwartego” — konieczne jest aby klasa robotnicza poza radami w zakładach przemysłowych zorganizowała się w przedstawicielstwa załóg fabrycznych, tj. w system Rad Dele-

gatów Robotniczych z Centralną Radą Delegatów Robotniczych na czele.

Przedstawiony schemat stanowi kościec modelu „Demokracji Robotniczej”. Jak w takiej sytuacji uniknąć monopartii i dyktatury robotników, która z reguły wyrodnieje w dyktaturę nad robotnikami? Kuroń i Modzelewski odpowiadają: klasa robotnicza musi się zorganizować na zasadzie wielopartyjności. Co oznacza wielopartyjność robotnicza w praktyce? Prawo każdej grupy politycznej posiadającej oparcie w środowisku robotniczym do głoszenia swego programu. Dobrze — lecz co mają robić grupy polityczne, które nie mają oparcia w środowisku robotniczym? Ugrupowania prawicowo-narodowe, których osobiście nie jestem sympatykiem — w demokracji robotniczej znalazłyby się prawdopodobnie poza nawiasem życia społecznego. Na powyższy zarzut Kuroń i Modzelewski odpowiadają: nie mówimy o państwie ponad klasowym lecz o klasowej demokracji robotniczej.

Autorzy „Listu Otwartego” wyzwolili się z dogmatyki lecz nie z utopijności pewnych koncepcji marksistowskich. Rady Robotnicze w fabrykach są niewątpliwie znakomitym pomysłem. Sytuacja ulega jednak radykalnej zmianie gdy robotnika odrywa się od jego warsztatu pracy i przekształca się go w członka Centralnej Rady Delegatów stanowiącej organ najwyższej władzy w państwie. W takim układzie robotnik przestaje być robotnikiem i staje się pół-inteligentem. Kuroń i Modzelewski sądzą, że organizując specjalne kursy z zakresu ekonomii i nauk politycznych można robotników przygotować do roli zarządców gospodarki w skali państwowej. To jest naiwna i bardzo niebezpieczna utopia. Historyczny schemat rewolucji rosyjskiej stanowi w tej sprawie klasyczny przykład. Robotnicy zdobywają władzę, ponieważ jednak do sprawowania władzy nie są fachowo przygotowani w niezmiernie krótkim czasie wydają sami siebie w ręce biurokratów. Biurokraci, którzy rządzą rzekomo w imieniu robotników przekształcają się z kolei w nową klasę wyzyskiwaczy. Nie ulega dla mnie wątpliwości, że w projektowanej „demokracji robotniczej” sprawy potoczyłyby się identycznie. Wokół robotników zasiadających w Centralnej Radzie Delegatów narósłby bardzo szybko nowy aparat biurokratyczny, który górując nad delegatami przygotowaniem fachowym — uzależniłby ich od siebie.

Jeżeli przyjmiemy za Kuroń i Modzelewskim, że likwidacja wyzysku musi oznaczać pełnię władzy robotniczej tak w sferze gospodarczej jak społecznej i politycznej — to należy stwierdzić, że w ogóle nie ma możliwości zniesienia wyzysku robotników. Robotnicy nigdzie bowiem na świecie nie rządzą i nigdy rządzić nie będą. Wszędzie rządzą fachowcy i specjaliści,

którzy tworzą aparat administracyjny. W ustrojach demokratycznych ów aparat w pewnej mierze odpowiedzialny jest przed parlamentem — w ustrojach komunistycznych aparat władzy nie jest odpowiedzialny przed nikim.

Historyczna ironia rewolucji komunistycznych polega na tym, że przywódcy przewrotu, przy pełnym poparciu klasy robotniczej, likwidują instytucje demokratyczne, które choć zazwyczaj dalekie od doskonałości — bardziej potrzebne są klasie robotniczej niż jakiegokolwiek innej warstwie społecznej. W chwili gdy przywódcy siedzą pewnie w siodle i klasę robotniczą trzymają już mocno w ryzach — okazuje się, że związki zawodowe są fikcją a strajk jest zdradą stanu. Robotnicy stają się bezbronni jak w żadnym innym ustroju a wytworzona sytuacja jest po prostu zaproszeniem do wyzysku.

Gdzie leży błąd? Nim odpowiemy na to pytanie spójrzmy na sytuację w Anglii. Związki zawodowe stały się w tym kraju częściowo instrumentami rządu. Premier Wilson jest brytyjskim socjalistą, lecz stojąc na czele rządu reprezentuje nie interesy klasy robotniczej tylko interesy Wielkiej Brytanii. I w tym charakterze domaga się od robotników i ich związków zawodowych by przyjęli bez sprzeciwu jego politykę czasowego zamrożenia płac robotniczych. Ceną za współudział choćby pośredni w zarządzaniu gospodarką narodową musi być zaakceptowanie przez związki zawodowe ogólnonarodowego a nie klasowego punktu widzenia.

W „demokracji robotniczej” zakładając, że nie doszłoby do dyktatury biurokracji — Centralna Rada Delegatów Robotniczych nie mogłaby reprezentować interesów klasy robotniczej, musiałaby bowiem reprezentować interesy całego społeczeństwa i państwa. Kuroń i Modzelewski zauważyliby w tym miejscu, że nie planują ustroju ponad klasowego lecz mówią wyłącznie o klasowej demokracji robotniczej. Państwo klasowe nie może być państwem demokratycznym gdyż identyfikację interesów ogólnonarodowych z interesami klasy panującej zapewnić można tylko policją jak w PRL.

Łatwo sobie wyobrazić sytuację gospodarczą w modelu ustrojowym proponowanym przez Kurońa i Modzelewskiego, w której interes państwowy nakazywałby zamrożenie płac robotniczych — co zawsze i wszędzie jest sprzeczne z ściśle klasowo pojmowanym interesem robotników.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałem wykazać, że robotnik, który porzuca fabrykę i zasiada za biurkiem ministerialnym — przestaje być wyłącznie reprezentantem interesów klasy

robotniczej i staje się funkcjonariuszem państwowym. Państwo demokratyczne jest formułą kompromisową interesów wszystkich warstw społecznych. Podporządkowanie państwa jednej klasie społecznej — czyli urzeczywistnienie modelu klasowej „demokracji robotniczej” — byłoby do osiągnięcia tylko na drodze przymusu i całkowitego zrezygnowania z demokracji.

I jeszcze jeden punkt. W okresie „wiosny w październiku” — odwiedził mnie pewien znany dziennikarz warszawski, który w rozmowie dwukrotnie podkreślił, że pochodzi z klasy robotniczej. W jego ustach brzmiało to równie snobistycznie jak uwaga praktykanta przedwojennego MSZ-u, że jest spokrewniony z Zamoyskimi.

Moim ostatnim obozem wojskowym był Calveley, gdzie po przybyciu z Włoch czekaliśmy na demobilizację. Celem wypróbowania mojej, w owym czasie wielce wątpliwej, angielszczyzny — zbliżyłem się z kilku robotnikami, którzy pracowali w Calveley przy rozbiórce baraków i hangarów. Któregoś dnia w rozmowie zauważyłem uprzejmie, że klasa robotnicza w Anglii wywalczyła sobie wyjątkową pozycję. Jeden z robotników spojrział na mnie i powiedział: „kto na Boga chce być w klasie robotniczej?”.

Robotnicy wykwalifikowani w Anglii, którzy stanowią większość — skalą zarobków i stylem życia przynależą do *lower middle-class* a nie do klasy robotniczej. Ci zaś, którzy jeszcze nie są w *lower middle-class* pragną się do niej dostać. W demokracjach sterlingowych i dolarowych — o awansie społecznym decyduje skala zarobków (*income bracket*). W rezultacie, robotnik ceni wyżej możliwości zwiększenia swych dochodów niż solidarność z klasą robotniczą, którą stara się porzucić.

Marksistowska mistyka proletariatu zakłada, że robotnicy są „solą ziemi” i w perspektywie światowej rewolucji stanowią nowe wydanie „narodu wybranego”. Można zrozumieć genezę tej koncepcji zapoznając się z sytuacją społeczno-gospodarczą z pierwszej połowy XIX wieku. Lecz dziś w zachodnich krajach wysoko uprzemysłowionych klasyczna „klasa robotnicza” zanika a w jej miejsce powstaje inteligencja i semi-inteligencja techniczna, która socjalnie i finansowo przynależy do *lower middle-class*.

W europejskim bloku komunistycznym nowa klasa wyzyskaczy przywróciła sytuację sprzed stu laty. Polska klasa robotnicza nim zdobędzie możliwości przekształcenia się w inteligencję i semi-inteligencję techniczną, musi wprawdzie odzyskać podstawowe prawa, które jej odebrano. Z chwilą jednak gdy robotnicy w Polsce zdobędą uprawnienia przysługujące robotnikom na Zachodzie — nie zadowolą się marksistowskim statusem „soli ziemi”

tylko domagać się będą dobrobytu materialnego i awansu społecznego.

Na Zachodzie jesteśmy pragmatykami i dlatego pierwsze pytanie w tej sprawie należy sformułować następująco: Czy protest jest celowy?

Skazanie Daniela i Siniawskiego wywołało w Związku Sowieckim falę protestów w formie listów, memoriałów i deklaracji. Wybór tych materiałów ukaże się w formie książkowej w Stanach Zjednoczonych.

Pewien procent ludzi tak na Wschodzie jak i na Zachodzie rozumie następująco. Protesty są nie tylko bezcelowe lecz i szkodliwe. Rząd sowiecki nie może wypuścić uwięzionych pisarzy na wolność, czy skrócić im wyroków — ponieważ wyglądałoby, że uległ naciskowi. Protesty więc zamiast polepszyć pogorszyłyby sytuację uwięzionych.

Trudno odmówić logiki temu rozumowaniu. Należy jednak dodać, że jest to rozumowanie krótkowzroczne i nie historyczne. Protestują zawsze nie-konformiści — to znaczy ludzie, którzy myślą inaczej niż rząd, a często inaczej niż większość współobywateli. Większość wszędzie jest konserwatywna. Postęp i reformy w Stanach Zjednoczonych i na Zachodzie były zawsze inicjowane i wywalczone przez niekonformistyczne mniejszości. Na Zachodzie ów proces stałego postępu i reformy odbywa się nie dramatycznie — bo opozycja w stosunku do rządu i wolność słowa są instytucjami legalnymi. Nie-konformiści mogą walczyć o swoje koncepcje otwarcie, bez obawy uwięzienia czy prześladowań.

Z historycznego punktu widzenia wypada stwierdzić, że rzeczy, które dziś wydają się nam najoczywistsze w świecie jeszcze wczoraj były projektem kontrowersyjnym, wysuwany przez nie-konformistów. Tak było ze wszystkim — od zniesienia niewolnictwa po 8-godzinny dzień pracy. Projekt reformy o który dziś walczą nie-konformiści ściągając na siebie gromy oburzenia — w następnym pokoleniu staje się normą powszechnie przyjętą i obowiązującą.

Nie-konformiści ściągają na siebie nie tylko gromy oburzenia lecz czasem więzienie i śmierć. Rehabilitują ich za życia a niekiedy w kilkanaście lat po śmierci. Jeden z największych nie-konformistów jakiego wydała ludzkość — Sokrates — czekał na oficjalną rehabilitację 2327 lat! W roku 1928 najwyższy sąd ateński wznowił proces Sokratesa i po dokładnym rozpatrzeniu sprawy anulował wyrok wydany w Atenach w roku 399 przed narodzeniem Chrystusa.

Pierwsze zdanie skargi przeciwko Sokratesowi brzmiało: „Oskarża się Sokratesa, że nie uznaje bóstw uznawanych przez państwo i deprawuje młodzież”.

W bloku państw komunistycznych niemal w dwa i pół tysiąca lat od śmierci Sokratesa zamyka się ludzi w więzieniu za nie uznawanie „bóstw” uznawanych przez państwo! Problem jest ten sam co wówczas — to znaczy zagadnienie upaństwowionej filozofii.

Lecz wróćmy do głównego tematu naszych rozważań. Czy warto protestować jeżeli wiadomo z góry, że protestem niczego się nie osiągnie? Ludzie postępowi i o cywilnej odwadze spełniają podwójną funkcję w każdym społeczeństwie. Wysuwają plany reform, krytykują a w obliczu jawnej krzywdy czy bezprawia głośno protestują. W ramach czasokresu jednego pokolenia nie można wymierzyć wpływu działalności tych ludzi. Nie-konformiści nie tylko krytykują i protestują lecz również radykalizują klimat społeczny i na tym polega ich druga funkcja socjalna. Weźmy bezpośredni przykład. Kuroń i Modzelewski siedzą w więzieniu. Zarówno ich protest jak i krytyka systemu nie przyniosły bezpośrednich rezultatów. Lecz zapoczątkowany przez nich ruch intelektualny rośnie i przybiera na sile, zwłaszcza w środowisku młodzieży uniwersyteckiej. 21 października 1966 odbyło się na Wydziale Historii U.W. zebranie ZMS w którym wzięło udział ponad 600 studentów. Zebrani zwrócili się do ministra sprawiedliwości domagając się uwolnienia Kuronia i Modzelewskiego oraz uchwalili rezolucję w której stwierdzono między innymi, cytując dosłownie:

„Program VIII Plenum nie był realizowany konsekwentnie a w ostatnich latach nastąpiły zjawiska, które muszą wzbudzić niepokój. Przeszkody na jakie napotyka dalszy postęp kultury związane są przede wszystkim z tym, że w wielu dziedzinach zahamowane zostały kroki zmierzające do poszerzenia demokracji socjalistycznej. Sprawy te powinny być przedmiotem swobodnej dyskusji, również na łamach prasy, nie widzimy zatem potrzeby istnienia cenzury prewencyjnej. Jesteśmy też przekonani, że w społeczeństwie socjalistycznym nie powinny obowiązywać przepisy prawne stworzone w okresie stanu wyjątkowego, a zwłaszcza dekret o przestępstwach szczególnie niebezpiecznych w okresie odbudowy państwa (tzw. Mały Kodeks Karny), wreszcie uważamy, że dla autentycznego rozwoju ruchu młodzieżowego niezbędne jest pozostawienie młodzieży prawa decydowania o kształcie i formach tego ruchu oraz stworzenie warunków dla pryncypialnej dyskusji na wszystkie zasadnicze tematy, dla poszanowania niezależnej myśli politycznej i społecznej, zaangażowanej w budowę naszego ustroju”.

Kim są ci młodzi ludzie, którzy uchwalili powyższą deklarację? To są przyszli gospodarze Polski, którzy za lat 15 zaczną obejmować kierownicze stanowiska w kraju. Kuroń i Modzelew-

ski, choć siedzą w więzieniu, wpływają bezpośrednio na formowanie się poglądów i przekonań przyszłych gospodarzy Polski. Dlatego niech nikt nie odważy się mówić, że ich odwaga i uczciwość intelektualna poszła na marne. Protest w słusznej sprawie — projekt reformy zmierzającej do usunięcia krzywdy społecznej — nigdy nie idą na marne choć nie zawsze przynoszą natychmiastowe rezultaty.

Powtarzam jeszcze raz — ludzie głoszący z odwagą swe przekonania — ludzie, którzy w obliczu jawnej krzywdy zdobywają się na protest — spełniają dwie podstawowe funkcje społeczne. Wywierają nacisk na rząd oraz wpływają na atmosferę społeczną w której wychowuje się młode pokolenie to znaczy przyszły rząd polski.

Wydaje mi się, że głosy krytyki jakie padają pod adresem młodzieży są przesadzone. Potępiicielom młodych należy zwrócić uwagę na fakt następujący. Młodzi nie wychowują się w próżni tylko w atmosferze społecznej wytwarzanej przez starsze pokolenie. Wśród starszego pokolenia ludzi o cywilnej odwadze Kuroń, Modzelewskiego czy Kołakowskiego jest niezmiernie mało. Na obronę starszych można powiedzieć, że z nadmiarem wydatkowali zapasy swej odwagi w czasie okupacji, wojny i powstania. Niemniej, ci starsi, którzy krytykują młodzież — powinni wpierv krytycznie spojrzeć na samych siebie.

Lecz to tylko uwaga na marginesie. Wszystkie owe dyskusje i ferment — zwłaszcza wśród młodzieży uniwersyteckiej — wirują wokół jednego problemu: co należy rozumieć przez socjalizm? Istnieją dwa typy socjalizmu — „odgórny” i „oddolny”. Charakterystyczną ironią losu zwolennicy „odgórnego” socjalizmu wstępują w ślady utopistów, od których się oficjalnie odłączają. Robert Owen, urodzony w roku 1801 — jeden z czołowych utopistów — głosił, że ustrój socjalistyczny mogą zrealizować tylko bogaci i potężni, ponieważ oni posiadają środki i władzę. Przedstawiciele „nowej klasy” w Polsce reprezentują identyczny pogląd. Uważają — podobnie jak Owen — że strajki są niedopuszczalne ponieważ socjalizm może być tylko zadekretowany z góry. W Polsce Ludowej i w innych krajach bloku wschodniego — w gabinetach ministrów i w salach szkolnych winny wisieć portrety Owena a nie Marksa. Owen bowiem, a nie Marks, był głównym reprezentantem socjalizmu „odgórnego”.

Ktoś może zapyta dlaczego socjalizm „odgórny” trzeba odpisać na straty? Doświadczenie historyczne poucza nas, że każdy socjalizm „odgórny” wyrodnieje w totalizm. Klasa rządząca identyfikuje socjalizm z własnym interesem. Naczelnym interesem kla-

sy rządzącej jest utrzymać się przy władzy. Temu celowi podporządkowane jest wszystko z socjalizmem włącznie. Gdy Gomułka pracował w Jedliczu jako robotnik, był przeciwnikiem cenzury prasowej i zwolennikiem wolności słowa. Lecz dziś ten sam Gomułka nałożył prasie kaganiec. Nikt mnie nie przekona, że towarzysz Wiesław doszedł do przekonania, że cenzura jest instrumentem budowy socjalizmu. Cenzura i wszystkie ograniczenia wolności choć są zabójcze dla socjalizmu — są konieczne by PZPR utrzymać się mogła przy władzy. Zwyródnienie o którym mówiłem powyżej polega na tym, że gdyby interes socjalizmu w Polsce wymagał odejścia obecnego kierownictwa z Gomułką na czele — PZPR zrezygnuje z budowy socjalizmu byle utrzymać się przy władzy.

RELIGIA A POLITYKA

*Only those who have the courage
not to be certain are truly free.*

Frederic Morton.

O religii nie można mówić obiektywnie, ponieważ teologia, nawet na najwyższym poziomie nie jest nauką w tym sensie jak matematyka, fizyka czy chemia. Dlatego podejmując dyskusję w tej sprawie należy zacząć od przedstawienia własnego poglądu. W gruncie rzeczy bowiem — wbrew temu co mówi Kardynał Heenan — każdy z nas jest swoim własnym teologiem.

W moim przekonaniu ateizm jest fikcją. Nie spotkałem w życiu ani jednego prawdziwego ateisty. Przed kilku laty BBC nadało dialog pomiędzy Bertrendem Russell'em a jednym z wybitnych angielskich jezuitów. Russell przyciśnięty do muru wycofał się ze swojego ateizmu i oświadczył, że jest agnostykiem. Agnostyk nie jest ani teistą ani ateistą i rezerwuje swój sąd.

Nie ma żadnych dowodów na to, że Bóg istnieje. Natomiast za jego istnieniem przemawia „wiedza wrodzona”, której nikt w całości nie jest w stanie w sobie zniweczyć.

Jest rzeczą charakterystyczną, że ateiści odczuwają potrzebę bezustannego umacniania się w obranym poglądzie i w swych pismach ustawicznie powracają do centralnej tezy. „The Humanist” — organ „The British Humanist Association” (prez. prof. A. Ayer) — połowę każdego numeru poświęca apologetyce ateizmu. Freud nazwał religię „neurozą ludzkości”. Doświadczenia kliniczne wykazały jednak, że uświadomienie sobie własnej neurozy nie prowadzi do jej uleczenia. Ateiści analizują i zwalczają swoją „neurozę” — lecz obsesja z jaką to czynią budzi wątpliwości czy terapia jest w pełni skuteczna.

W rzeczywistości ateizm jest taką samą formą fideistycznego eskapizmu jak zorganizowana religia. Akceptując bez zastrzeżeń katolicyzm — brzemie wątpliwości porzucamy u progów kościoła. Akceptując ateizm — brzemie wątpliwości wyrzucamy na śmietnik. Eskapizm niestety jest iluzją, ponieważ nie można uciec przed samym sobą.

Gdyby ateizm był odpowiedzią na wszystkie wątpliwości i niepokoje — nie byłoby problemu. Ludzie podzieliliby się na dwa obozy — wierzących i ateistów i wszyscy byłiby zadowoleni w ramach swojego poglądu na świat. W gruncie rzeczy jednak, tak zorganizowana religia jak i zorganizowany ateizm dostępne są dla mniejszości o fideistycznej dyspozycji psychicznej. Dla większości ludzi myślących ani zorganizowana dogmatyczna religia ani zorganizowany dogmatyczny ateizm (marksizm) są nie do przyjęcia. I tu zaczyna się problem.

Pierwszym przykazaniem jest uczciwie myśleć — to znaczy myśleć zgodnie z sumieniem i rozeznanem. Tylko człowiek mający odwagę uczciwie myśleć zdobędzie się na odwagę przeciwstawienia się złu.

Jeden z moich kolegów szkolnych — lekarz praktykujący na zapadłej prowincji — opowiedział mi klasyczny wypadek, jeden z tysięcy. U swej pacjentki, chłopki, matki trojga nieletnich dzieci — stwierdził w początkach ciąży nieomogę nerek. Zaproponował przerwanie ciąży. Spowiednik pacjentki kategorycznie sprzeciwił się zabiegowi. W rezultacie kobieta umarła bezpośrednio po porodzie, osierocając troje małych dzieci.

Ów ksiądz nie miał odwagi zdobyć się na racjonalne, uczciwe myślenie i skutek tego podpisał wyrok śmierci na matkę trojga dzieci. Katolicy w większości nie znają lub nie pamiętają słów św. Tomasza z Akwinu, że lepiej jest człowiekowi umrzeć w ekskomunie niż w niezgodzie ze swoim sumieniem. Większość katolików poczytuje sobie za „heroiczną cnotę” wbrew swemu sumieniu i rozeznanu ugiąć się przed dogmatem. W moim przekonaniu człowiek czyniący oczywistą krzywdę nie może zasłaniać się dogmatem czy przepisem kościoła ani na tym ani na tamtym świecie.

Naczelną ludzką cnotą jest odwaga, bo tylko odważni bywają intelektualnie uczciwi sami z sobą — a trzeba być uczciwym samemu z sobą by się zdobyć na uczciwość wobec innych.

Ów *double thinking*, który akceptuje wielu katolików (pogląd naukowy — jedna szufladka, — pogląd religijny — druga szufladka) działa intelektualnie deprawująco.

Dziś nie ulega najmniejszej wątpliwości, że człowiek nie został stworzony — jak głoszą wszystkie wielkie religie — tylko wyewo-

luował stopniowo z niższych form zwierzęcych. Dla celów klasyfikacji i systematyki przyjmujemy, że osobnik człękoksztalny, który zaczął wytwarzać prymitywne narzędzia — był już człowiekiem. Jest oczywiste, że gdy człowiek zaostriął pierwszy kamień — Bóg nie tchnął w niego duszy nieśmiertelnej — musieliśmy bowiem przyjąć, że ludzie zostali wywianowani w nieśmiertelność w pewnym określonym pokoleniu. Wydaje się pewne, że duch, dusza, *mind* — ewoluowały w człowieku powoli i stopniowo i ów proces trwa nieprzerwanie po dzień dzisiejszy. Jeżeli człowiek wyewoluował z niższych form zwierzęcych — nie mógł popełnić grzechu pierworodnego. Jeżeli nie popełnił grzechu pierworodnego — nie ma powodu go chrzczyć i td. i td.

Światły katolik odpowie na to, że biblijna relacja o stworzeniu świata i człowieka jest przypowieścią, pełną symbolicznych porównań i obrazów. Niemniej w oparciu o owe parabole wypracowano z biegiem stuleci szereg dogmatów, nakazów i zakazów.

Kościół katolicki do dziś podtrzymuje doktrynę o piekle, które jest Oświęcimm podniesionym do n-tej potęgi. Doktryna piekła przekreśla ideę chrześcijańskiego zbawienia. Osobiście nie reflektuję na niebo, jeżeli w niebie miałaby mi towarzyszyć świadomość, że w piekle cierpią potępieni niewypowiedziane męki bez kresu i nadziei. By uwierzyć w tego rodzaju porządek rzeczy musiałbym wpierw całkowicie zwątpić w istnienie Boga — co w moim wieku — myślę — już mi nie grozi. Koszmarne absurdy wymyślają tylko ludzie — nigdy Pan Bóg.

Od czasów Kopernika ziemia przestała być centrum wszechświata. Lecz dopiero w ostatnich dekadach weszliśmy w epokę kosmiczną. Jest wielce prawdopodobne, że w naszym systemie słonecznym życie istnieje tylko na naszej planecie. Astronomowie zgodni są jednak w przekonaniu, że w wszechświecie istnieją setki milionów planet na których mogło powstać i rozwinąć się życie — w wielu wypadkach, być może, w wyższych formach niż na ziemi. Fred Hoyle, znakomity astronom i matematyk brytyjski wyraził pogląd, że ani my, ani nasi ewentualni kosmiczni sąsiedzi nie przewyżcimy przestrzeni ze względów biologicznych. Nie można planować podróży międzyplanetarnych, które musiałyby trwać setki lat. Lecz kiedyś z cywilizacjami poza-ziemskimi możemy nawiązać kontakt radiowy i telewizyjny. Ci, którzy w tym miejscu uśmiechną się sceptycznie, niech postawią sobie pytanie jakby przyjęli 20 lat temu przepowiednię, że w roku 1965 na łamach prasy światowej ukaza się autentyczne fotografie powierzchni Marsa.

Chrześcijaństwo jest religią klasycznie ziemską i nie jest przy-

gotowane do przyjęcia poglądu kosmicznego. Człowiek z innej planety nie mógłby zostać chrześcijaninem, ponieważ cała saga chrześcijańska jego nie dotyczy. Nie jego pra-rodzice popełnili grzech pierworodny, nie za niego umierał Chrystus na krzyżu — nie jemu obiecano zbawienie. A przecież prawdziwa religia musi być prawdziwa i uniwersalna wszędzie. Zarówno na ziemi jak i na milionach planet w kosmosie. Bóg nie przynależy do żadnej religii ani ziemskiej ani poza-ziemskiej i jest jeden i ten sam w całym wszechświecie.

W mojej opinii nie ma żadnego kryzysu religijności. Kryzys dotyczy wyłącznie zorganizowanych religii. „Materia wyparowała” jak mówi Koestler, klasyczna granica oddzielająca przyrodę organiczną od nieorganicznej traci na znaczeniu, duch, dusza, *mind* — nabierają nowego wyrazu w świetle teorii ewolucyjnych. Pomiędzy religijnością a nauką nie ma dziś żadnej podstawowej sprzeczności. Trzeba tylko uznać, że główną i najwspanialszą „księgą objawioną” jest nauka. Żadna doktryna religijna nie może być wyższa od prawdy. Bóg jest czystą prawdą i tylko poprzez naukę można poznać jego dzieło, a poprzez dzieło jego samego. Rozum ludzki jest ułomny, lecz wszystko inne jest niepomniernie bardziej ułomne. W gruncie rzeczy nie ma żadnej metafizyki — jest tylko fizyka. Nauki ścisłe odkryły przed nami wszechświat i zbliżyły nas do prawdy w nieporównanie większym stopniu niż wszyscy mistycy i metafizycy ostatnich dwóch tysięcy lat.

Fatalną spuścizną mistyków jest pogląd, że w tych sprawach istnieje droga „na skróty”, droga „na przełaj”. Jeżeli ktoś nic nie wie o fizyce, matematyce, astronomii, biologii — w gruncie rzeczy nic nie wie o Bogu. Ignorantstwo jest drogą do bałwochwalstwa i praktyk kultowych, które mogą być „opium dla tłumów” lecz o Bogu nie mówią niczego. Bóg jest czymś niepomniernie bardziej wspaniałym niż sobie to wyobrażają teologowie.

Prawdziwą teologią są nauki ścisłe, ponieważ poprzez wiedzę dokonuje się dzieło objawienia, tzn. proces stopniowego poznania prawdy.

Każdy dogmat doktrynalny, który jest sprzeczny z udokumentowanym poglądem naukowym jest w gruncie rzeczy herezją, ponieważ herezją jest wszystko to co nie odpowiada prawdzie. Nie ma dwóch objawień — religijnego i naukowego, ponieważ nie może być dwóch różnych prawd. Zorganizowane religie a kościół katolicki w szczególności — nie chcą przyznać nauce statusu narzędzia objawienia. Kościół zainteresowany jest w nauce tylko o tyle o ile dane odkrycie czy teoria naukowa jest zgodna z doktryną.

O. Teilhard de Chardin pojmował naukę jako instrument

objawienia. O. Teilhard był niewątpliwie naukowcem i prorokiem chrześcijaństwa, lecz nie dokonał rewolucji w kościele do jakiego należał.

Zorganizowane religie jeśli mają przetrwać — muszą przyjąć pogląd że objawienie nie jest rzeczą ostateczną i daną — lecz z woli Boga prawda musi być zdobywana ewolucyjnie krok po kroku. Nasz umysł podlega stałemu rozwojowi poprzez wiedzę. Nie każdy może być Teilhard'em lecz każdy może czytać jego dzieła. Trzysta lat temu największy mistyk nie mógł wyprodukować koncepcji Boga i systemu takiej głębi i horyzontów — ponieważ wówczas najświętsi ludzie nie dysponowali wiedzą, którą zdobył Teilhard de Chardin.

Sytuacja uległa odwróceniu. Dawniej nauka była podejrzana i kościoł dopatrywał się w niej źródeł herezji. Dziś triumf nauki jest całkowity i dogmaty doktrynalne uważane są często za źródło poglądów nieodpowiadających prawdzie — a więc w istocie swej stanowiących herezję.

W krajach Zachodu maleje procent ludzi uczęszczających do kościołów. Nie oznacza to bynajmniej, że maleje procent ludzi religijnych. Natomiast maleje procent ludzi, którzy są w stanie pogodzić akceptację dogmatów z intelektualną uczciwością. Bóg nie jest koncepcją fideistyczno-statyczną, lecz przeciwnie jest koncepcją dynamiczną i otwartą. O planiście możemy się tylko dowiedzieć poprzez odszyfrowywanie jego planów. Fakt, że stale choć mozolnie postępujemy na drodze ku odszyfrowaniu owego planu — jest zasadniczą cechą naszego człowieczeństwa. Ustawiczna ewolucja nauki i naszych umysłów wyodrębniła gatunek ludzki ze świata zwierzęcego i stanowi sens „boskiej przygody”, która jest wyłącznie udziałem człowieka.

Teilhard — którego dzieła nie znalazły uznania ani u jego zakonnych przełożonych ani w kurii rzymskiej — wykazał, że chrześcijaństwo może nie tylko inkorporować w swój system cały dorobek nauki współczesnej — lecz pokusić się również o filozoficzno-religijną syntezę, której świecka filozofia nie dostarcza.

Wydaje mi się, że to jest jedyna droga otwarta przed chrześcijaństwem. Ludzie nie wyprą się nauki — raczej wyprą się chrześcijaństwa. Jeżeli zorganizowane religie nie uznają prymatu nauki jako głównego źródła poznania prawdy — co oczywiście pociągnąć by musiało za sobą daleko idące reformy — kościoły będą pustoszały. W jeszcze większym stopniu niż dotychczas upowszechni się przekonanie, że w dzisiejszym świecie tylko w ramach prywatnej religijności możliwe jest zharmonizowanie doświadczenia religijnego z poglądem naukowym.

W tych rozważaniach na czoło wybijają się dwa zagadnienia.

Uczciwości w sensie intelektualnym i uczciwości w sensie etycznym.

Fundamentem każdej postawy religijnej jest uczciwość intelektualna i etyczna. Uczciwym intelektualnie jest człowiek, który daje świadectwo prawdzie nawet wbrew doktrynie religijnej. Prawdą jest pogląd, który podlega sprawdzeniu i udowodnieniu. W wypadkach w których badanie naukowe poparte sprawdzonymi faktami przeczy doktrynie religijnej — można zaakceptować tezę ortodoksyjną tylko poprzez *brain-washing*, co jest operacją intelektualnie nieuczciwą. Człowiek przyjmuje daną tezę religijną ze strachu, na skutek perswazji — lub najczęściej z obawy przed wyłączeniem z Kościoła. Spotkałem wielu katolików, którzy mi mówili, że byliby najchętniej agnostykami, gdyby mieli odwagę żyć i umierać poza ramami Kościoła.

Uczciwość intelektualna wymaga odwagi lecz dopóki nie chcemy Boga identyfikować z „Wielkim Bratem” z powieści Orwella — uczciwość intelektualna stanowić musi podstawę naszego stosunku tak do Boga jak i do ludzi. Nic bardziej nie deprawuje moralnie i intelektualnie jak akceptowanie tezy, w którą na dnie duszy się nie wierzy. To jest równoznaczne z zaparciem się człowieczeństwa.

Podstawą wszelkiej etyki jest zasada, że nikogo nie wolno krzywdzić. Jeżeli dany czyn nie przynosi krzywdy naszym bliźnim ani nam samym — uznać go można za etycznie neutralny.

Żaden dogmat czy teza religijna nie mogą powodować oczywiście krzywdy bo wówczas dany przepis religijny należałoby uznać za sprzeczny z etyką.

W kraju w którym śmierć z głodu jest zjawiskiem znanym a chroniczne niedożywienie objawem powszechnym — przepis religijny zabraniający zabijania krów jest nie tylko nonsensem lecz krzywdzącym nonsensem.

Zakaz przerywania ciąży nawet w umotywowanych wypadkach — jest również krzywdzący, a tym samym nie etyczny. Przepis zabraniający stosowania środków antykoncepcyjnych w obecnej ludnościowej sytuacji świata jest absurdalny i społecznie szkodliwy.

Można by wymienić wiele innych przykładów, lecz ograniczam się do najbardziej jaskrawych. Kardynałowie sądzą, że laik nie powinien być swoim własnym teologiem. Jednak ci sami kardynałowie pragną być naszymi ginekologami i socjologami, pomimo że w tych dziedzinach są całkowitymi laikami.

Żadna etyka — chrześcijańska czy jakakolwiek inna — nie może sankcjonować krzywdy indywidualnej czy społecznej powołując się na wskazania doktryny religijnej.

Pierwszym obowiązkiem człowieka wobec Boga i ludzi jest zachować bezkompromisową uczciwość intelektualną i etyczną. To co się określa spokojnym sumieniem jest tylko i wyłącznie na tej drodze do osiągnięcia.



Korespondenci pism zagranicznych zwracają uwagę na manifestacje zbiorowego życia religijnego w Polsce. W przeciwieństwie do Anglii — religijność w naszym kraju jest zjawiskiem masowym. Neal Acherson, korespondent angielskiego tygodnika „The Observer”, napisał niedawno, że Polska jest bardziej katolicka niż Hiszpania i bardziej pobożna niż Irlandia.

Jednak większość obcych obserwatorów nie zdaje sobie w pełni sprawy z socjologicznych przemian zachodzących w Polsce. Niezmienione pozostają formy tradycji lecz treść ulega głębokim przeobrażeniom. By wymierzyć w pełni głębie owych socjologicznych przemian wystarczy uzmysłwić sobie fakt, że ponad 50% ludności Polski żyje dziś w miastach. Ostoją tradycyjnego katolicyzmu była zawsze wieś. Polska wieś dostarczała w przeszłości — choć nie arcybiskupów i kardynałów — lecz księży — armii wiejskich proboszczów. Dziś wstatystyce powołań Polska spadła w Europie omal na ostatnie miejsce.

Socjologowie katoliccy podkreślają w swych studiach, że młodzież wiejska lądując w miastach porzuca tradycyjną obyczajowość i skalę wartości. Młoda inteligencja polska — w przeważającym procencie pochodzenia robotniczo-chłopskiego — w opinii socjologów katolickich pozostawia wiele do życzenia. Młodzież wyznaje „ideologię konsumpcyjną”, co ją odcina zarówno od religii jak i od marksizmu. Młodych fascynuje postęp technologiczny, dobrobyt, i amerykańska „uroda życia”. Motocykl, barek w ścianie, płytoteka — według krakowskiego „Życia Literackiego” symbolizują *affluent society* w oczach młodego pokolenia.

Przyziemny materializm zarzucają u nas młodzieży nieodmiennie ci, którym materialnie doskonale się powodzi. Identyfikowanie ubóstwa z ideowością jest tradycyjnym rysem polskim i wschodnim. Gomułka, którego nieuctwo w sprawach gospodarczych kosztuje Polskę miliardy, jest „ideałem”, ponieważ żyje skromnie i co wieczór osobiście wystawia puste butelki po mleku za drzwi swego mieszkania. Dobrobyt wielu deprawuje — lecz nędza deprawuje znacznie bardziej i powszechniej, („Jak się chce w Polsce żyć przyzwoicie... nie można być przyzwoitym” — mówi współczesne porzekadło warszawskie).

Ks. A. Boniecki na łamach „Tygodnika Powszechnego” w

oparciu o badania katolickich socjologów — stwierdził, że wśród młodej inteligencji uległ przemianom typ motywacji religijnej. Ci inteligenci, którzy są religijni nie wiążą dziś religijności z lojalnością wobec norm grupy do której należą, jak np. rodzina czy naród.

Jeżeli istotnie tak jest, należy uznać to za ewolucję w kierunku pożądanym. Nacjonalizm w sojuszu z fanatyzmem religijnym daje w rezultacie anty-tezę religii i patriotyzmu. Motywowanie polskości katolicyzmem i katolicyzmu polsnością — prowadzi do fanatyzmu, totalizmu — nietolerancji, agresywnej reakcji w najgorszym wydaniu. Nacjonaści wychodzą zawsze z założenia, że co dobre dla nacjonalistycznych ambicji — to dobre i dla kościoła, łącznie z biciem Żydów, masowym paleniem cerkwi i tp. i tp. Zarówno katolicy jak i komuniści pragną uczynić z nacjonalizmu główny motyw wyznawczy swojej ideologii.

W Polsce nigdy nie było antyklerykalizmu. Określenie „katolicki antyklerykał” w języku polskim brzmi wręcz absurdalnie. Polak antyklerykalizm kojarzy automatycznie z „żydo-komuną”, z masonerią z... propagandą świadomego macierzyństwa zmierzającą do „ludobójstwa”. (Jest rzeczą charakterystyczną, że w pewnych kołach katolickich w Kraju potępiono ograniczanie urodzin jako akcję sprzeczną z polskimi interesami w obliczu rewizjonizmu niemieckiego!)

Z tych samych przyczyn w Polsce nie było nigdy liberalizmu — tak jak się go pojmuje na Zachodzie. Człowiek o postawie liberalnej jest z definicji nastrojony antyklerykalnie. Liberałowie nie walczą przeciw religii — natomiast przeciwstawiają się politycznym ambicjom kościoła, które w przeszłości często zagrażały wolności. Lecz w Europie zachodniej to wszystko są dzieje starożytne. Liberalizm jest postawą kulturalną niemal powszechną i dzięki temu wielka dyskusja religijna zapoczątkowana przez Jana XXIII toczy się na Zachodzie w atmosferze swobody i powagi.

W interesie religii leży rozdział pomiędzy państwem a kościołem. Religia państwowa — panująca i prawnie uprzywilejowana — z *religii przemienia się w ideologię*.

W szkołach państwowych nauka religii winna być przedmiotem dostępnym dla wszystkich, lecz nie obowiązującym. Z życia religijnego winien być usunięty wszelki przymus administracyjny. Obecnie „katecheci” marksizmu-leninizmu dysponują przymusem administracyjnym. Katecheci katoliccy byliby gotowi zająć ich miejsce z władzą stosowania przymusu łącznie. Uczyniliby to jutro gdyby mogli.

Osobiście ufam, że z owego okresu ucisku ideologicznego —

który trwa w Kraju od lat 20 — Polacy wysnują wniosek, że wolność i sprawiedliwość społeczna gwarantować może tylko państwo całkowicie laickie — wolne od serwitutów zarówno religijnych jak i ideologicznych.

Źródłem ucisku nie jest ustrój tylko monopol ideologiczny. Możemy mieć ustrój społeczno-gospodarczy jak najbardziej socjalistyczny — nie oznacza to jednak by jedna partia wyznająca określoną ideologię decydowała o wszystkim — od długości sznurówadeł zaczawszy a na literaturze i malarstwie skończywszy. Państwo rzetelnie demokratyczne nie może być konstytucyjnie ani katolickie ani marksistowsko-leninowskie. Rzeczpospolita — jak głoszą wszystkie kolejne konstytucje — jest dobrem wszystkich obywateli. Ponieważ nie wszyscy obywatele są katolikami i nie wszyscy są marksistami — państwo winno stać ponad partiami, ideologiami i wyznaniami. Tym bardziej, że prawdziwych katolików jest niepomniernie mniej niż wykazują statystyki, a marksistów jest również niepomniernie mniej niż wykazują statystyki. Tylko w państwie laickim i w pełni demokratycznym mielibyśmy możliwość przekonania się ilu mamy prawdziwych katolików i prawdziwych marksistów.

Nie można skutecznie zwalczać państwowej ideologii proponując w zamian inną państwową ideologię. Katolicy polscy winni zdać sobie sprawę, że każda upaństwowiona religia przeistacza się w ideologię i staje się złem. Za swój ideał katolicy powinni uznać państwo chrześcijańskie w treści a laickie w formie ustrojowej. Dysponujemy dziś olbrzymim materiałem historycznym i porównawczym. Dla nieuprzedzonego obserwatora jest oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że w aspekcie socjalnym działalność religijna podlega tym samym prawidłom co działalność polityczna. Tylko w ramach państwa laicko-demokratycznego tak partie polityczne jak i wyznania religijne mają możliwość swobodnego rozwoju.

Ponieważ mamy nieprzepartą słabość do wodzów — gen. Franco dla wielu Polaków na emigracji stanowi ideał katolika i antykomunisty. W rzeczywistości wygląda to jednak nieco inaczej. W „World Marxist Review” (Vol. 8, No. 6.) czołowy hiszpański ideolog komunistyczny, Santiago Alvarez, pisze dosłownie: „Katolicy są dziś naszymi głównymi sojusznikami w walce przeciwko gen. Franco. I to jest fakt, który stanowi najbardziej charakterystyczny i pocieszający element obecnej sytuacji w Hiszpanii”.

Gdy Kuronia i Modzelewskiego po wyroku wyprowadzano z sali sądowej, tłum ludzi powitał ich „Międzynarodówką”. Ową pieśń śpiewali zgodnie komuniści i nie-komuniści. Nie-komuniści

chcieli w ten sposób zmanifestować solidarność z młodymi ideowymi komunistami, których w kajdanach prowadzono do więzienia, jak w przedwojennej „pańskiej” Polsce. Owa manifestacja była przebłyskiem sojuszu nie-komunistów z postępowymi komunistami przeciwko reżymowi, który jest doktryną totalistyczno-polityczną.

W Hiszpanii katolicy sprzymierzają się z komunistami w walce z dyktaturą. W Polsce katolicy i nie-komuniści manifestują solidarność z młodymi ideowymi komunistami przeciwko dyktaturze. Dyktatura jest wrogiem zarówno katolicyzmu jak i ideowego komunizmu. Dyktatura jest bowiem wrogiem nie tylko wolności słowa lecz i wolności sumienia.

Nie można jednak domagać się liberalizmu od przeciwników ideowych jeżeli samemu potępia się liberalizm. Nie można komunistom zarzucać, że dla swych celów wykorzystują nacjonalizm — jeżeli samemu eksploatuje się nacjonalizm w nie mniejszej skali. Nie można domagać się od przeciwników tolerancji, jeżeli samemu jest się tolerancyjnym tylko wówczas, gdy się jest bezsilnym.

Katolicy w Polsce mogliby odegrać wielką rolę w przebudowie ustroju. Lecz stosując sąd generalizujący — w odniesieniu do jednostek niesprawiedliwy — trzeba stwierdzić, że mamy dwie kategorie polskich katolików. Postępowi i „otwarcy” wykazują często skłonność nie tylko do kompromisu lecz i do kolaboracji. Natomiast niezłomni w wierze i w obyczajach są ciasni, konserwatywni i reakcyjni.

Katolicy nie stanowią wyjątku. Takich się ma katolików jaką się ma kulturę polityczną. Ponieważ jesteśmy politycznie niewyrobieni nie umiemy łączyć niezłomności z postępowością — wierności zasadom ze zmysłem do kompromisu — umiłowania tradycji z szerokim horyzontem intelektualnym. Postępowiec bez moralnego stosu pacierzowego jest jednostką ujemną. Człowiek niezłomny lecz ciasny i parafiański jest również jednostką ujemną.

KONTAKTY

CZĘŚĆ TRZECIA

Jaki programy Europy? Na to pytanie nie ma jednomyślnych odpowiedzi. Jedni z nas są za federacją, inni za Europą wielonarodową, inni za Europą wielokulturową — i tak dalej. Ale jest jedna rzecz, na którą wszyscy się zgadzają: Europa musi być silna i jednolita.

Najważniejszą rolę w tym procesie odegrać musi Unia Europejska. Jest to jedyna organizacja, która ma prawo do tego, aby być silna i jednolita. To ona musi być w stanie zapewnić nam bezpieczeństwo i dobrobyt.

Polityka jest bardzo ważna. „Rozmowa z” jest ważnym narzędziem politycznym. „Rozmowa z” to również jest narzędziem politycznym. „Rozmowa z” to również jest narzędziem politycznym. „Rozmowa z” to również jest narzędziem politycznym.

Problemy nie polega na tym, czy Europa będzie miała silny czy słaby system organizacyjny. Problem natomiast polega na tym, czy Europa będzie miała silny czy słaby system polityczny. To jest najważniejsze.

Amerykanie zwrócić się w Europie powinni przede wszystkim do naszego systemu politycznego. W pierwszym rzędzie powinniśmy — Amerykanie i Amerykanie — przede wszystkim zwrócić się do naszego systemu politycznego. To jest najważniejsze.

Właściwie mówiąc, to w naszych myślach i uczuciach jest Europa. To jest najważniejsze. To jest najważniejsze. To jest najważniejsze. To jest najważniejsze.

PUNKT ODNIESIENIA

Jakiej pragniemy Europy? Na to pytanie nie ma jednoznacznej odpowiedzi. Jedni z nas są za federacją, drudzy za Europą „ojczyzną ojczyzn”, trzeci — obawiam się najliczniejsi — zgodziliby się na każdą koncepcję, która zamykałaby przed Rosją europejskie wrota szczelnie i skutecznie.

Napoleon został pobity czysto europejskimi siłami. Hitlera nie zdołaliśmy pobić czysto europejskimi siłami i w konsekwencji — choć Niemcy zostały pokonane — równowaga europejska nie została odbudowana.

Polityka jest funkcją siły. „Równowaga sił” jest wyrazem rzeczywistego układu sytuacji. „Równowaga sił” w polityce jest odpowiednikiem pola grawitacyjnego w fizyce. „Równowagi sił” nie można niczym zastąpić ponieważ w polityce nie wynaleziono do tej pory namiastki siły.

Problem nie polega na tym czy Europa będzie miała taką czy inną formę organizacyjną. Problem natomiast polega na tym czy Europa bez udziału mocarstw czy mocarstwa poza-europejskiego jest zdolna do wytworzenia normalnego systemu równowagi sił.

Amerykanie zjawili się w Europie ponieważ czysto europejski system równowagi sił załamał się. W pierwszym okresie powojennym — Stany Zjednoczone i Rosja Sowiecka przyjęły postawę gwarantów ochraniających Europę przed odrodzeniem się niemieckiego niebezpieczeństwa. Lecz ta sojusznicza sielanka trwała bardzo krótko.

Podkreślałem wielokrotnie, że w oczach Moskwy i wschodniej Europy *de facto* kontrolerem Niemców są Amerykanie. Wycofanie się prez. de Gaulle z NATO spowoduje z całą pewnością wzrost niemieckich papierów politycznych w Waszyngtonie. Jedno jest całkowicie pewne: nie ma dla nas powrotu do sytuacji

sprzed Monachium. Nie możemy mieć Europy zarówno bez Rosji jak i bez Ameryki. Można sobie wprowadzić wyobrazić „czystą” Europę w której Niemcy byłyby równoważone przez sojusz francusko-brytyjski. To jest jednak spekulacja czysto teoretyczna ponieważ powiązania W. Brytanii ze Stanami Zjednoczonymi są tak wielkie i różnorodne, że w konsekwencji każda brytyjska wersja Europy byłaby wersją atlantycką.

Europa zachodnia „zwarta, silna, gotowa” z kwitnącym NATO uzbrojonym po zęby — harmonizowałaby z polskimi interesami pod jednym warunkiem: gdyby podjęła inicjatywę w naszej — wschodnio-europejskiej sprawie. Osobiście w to nie wierzę. NATO nie zostało rozbrojone przez Francję tylko przez Rosję. Sowiety musiałyby zainscenizować serię kryzysów w Berlinie na nienotowaną skalę — by ożywić wygasłe poczucie zagrożenia. Bez poczucia zagrożenia, które tchnąć w narody zachodniej Europy mogą tylko Sowiety — NATO skazane jest na wegetację.

Rosja broni swojego wschodnio-europejskiego imperium prostą i skuteczną taktyką. Demonstracyjnie nie wykorzystuje ani wojny wietnamskiej ani kryzysu w NATO by poprawić swą pozycję w Europie. Dzięki tej taktyce Rosjanom powiodło się rozładować niemal całkowicie poczucie zagrożenia wśród narodów zachodnio-europejskich. Któżby chciał psuć ów idylliczny pokój jakże korzystny dla rozwoju gospodarczego — wysuwając żądania dotyczące egzotycznych krajów jak Polska czy Węgry? Zanik poczucia zagrożenia powoduje postępującą anemię sił NATO a owa „demobilizacja” z góry uniemożliwia wysuwanie jakichkolwiek żądań pod adresem Rosji. Pokojowość w stosunku do zachodniej Europy stanowi dla przywódców sowieckich najlepszą gwarancję, że zachodnia Europa nie upomni się o swą wschodnią ubogą krewną.

Nie ma jednak róży bez cierni i nie ma Europy bez Niemców. NATO bez Francji przekształci się w trój-przymierze amerykańsko-brytyjsko-niemieckie. W takiej sytuacji zwyczajka politycznych akcji niemieckich jest nieunikniona. Amerykanom będzie coraz trudniej występować w podwójnej roli sojusznika i kontrolera Niemiec.

Znany historio-filozof brytyjski prof. Toynbee przemawiając w radio bawarskim powiedział, że świat może uniknąć katastrofy tylko wówczas jeżeli wszystkie narody przyjmą dobrowolnie amerykańsko-rosyjskie światowe przywództwo. Tak oto jałtański dialog z 1945 r. pomiędzy Rooseveltem a Stalinem po latach przekształcił się w uniwersalistyczną koncepcję.

System jałtański zakładał centralistyczne hegemonie w odnośnych strefach wpływów — amerykańską na Zachodzie — sowiec-

ką na Wschodzie. Po jednej strony barykady dominowane przez Amerykanów NATO — po drugiej stronie Pakt Warszawski dominowany przez Rosjan.

Gdzie jest de Gaulle Paktu Warszawskiego? Gdzie jest przywódca wschodnio-europejski który by się wyłamał spod hegemonii sowieckiej?

Nie znamy planów prez. de Gaulle'a — wydaje się jednak, że swój exodus z NATO mógł zdyskontować we Wschodniej Europie. Reorganizację NATO można było uzależnić od analogicznej reorganizacji Paktu Warszawskiego. Jeżeli się chce zreformować system jałtański to musi się to czynić po obu stronach jałtańskiego muru.

System jałtański można zmienić i niewątpliwie należy zmienić. Równocześnie jednak byłoby naiwnością przypuszczać że Amerykanie i Rosjanie wycofają się z Europy. Amerykanie jeżeli będą do tego zmuszeni opuszczą Francję lecz nie kontynent europejski. Możemy przeorganizować system podwójnej hegemonii lecz pozbycie się obu hegemonów przekracza możliwości narodów europejskich.

Już dziś można stwierdzić, że pozycja Francji zbliża się do statusu semi-neutralnego. Prez. de Gaulle uważa — nie bez słuszności — że maksimum suwerenności w Europie może zapewnić polityka poprawnych stosunków z obu hegemonami z wyłączeniem uczestnictwa w paktach wojskowych jednej ze stron. Sowiety uważają NATO za sojusz „agresywny” — w konsekwencji państwo członek NATO w oczach Moskwy z definicji należy do wrogiego obozu.

Lecz co my, wschodni Europejczycy na tym zyskujemy? Czy Polska może wystąpić z Paktu Warszawskiego powołując się na przykład Francji?

O zjednoczeniu Europy napisano setki artykułów i kilkanaście interesujących książek. Fakt, że w tej sprawie nic się nie dzieje ilustruje charakterystyczny immobilizm polityki europejskiej. Zaczęłoby się coś dziać gdyby w tej sprawie podjęli rozmowy Amerykanie i Rosjanie.

Europę dzielą Niemcy. Materiałem z którego zbudowano „żelazną kurtynę” w 50% jest problem niemiecki. Wszystko co stało się na wschodzie Europy włącznie z granicą na Odrze i Nysie — miało za cel zabezpieczyć Rosję przed Niemcami. Jeżeli ktoś chce zlikwidować system satelicki i zjednoczyć Europę — musi Rosji zaproponować inny system zabezpieczający ją przed Niemcami. To jest punkt pierwszy i podstawowy na którym należy oprzeć realną analizę problemu zjednoczenia Europy.

Jest naiwnością tłumaczyć Rosjanom, że od Zachodu nic im

nie zagraża albowiem sędziami w tej sprawie mogą być tylko Rosjanie i wschodni Europejczycy, nikt inny. Jesteśmy przywiązani do sowieckiego rydwanu łańcuchem niemieckim. By odzyskać swobodę ruchu trzeba wprawdzie skruszyć ów łańcuch. Rosjanie zgodziliby się na de-satelizację tylko wówczas gdyby nowy system pewniej zabezpieczał ich przez Niemcami niż obecny.

Musimy pogodzić się z faktem, że Rosja jest w Europie i w niej pozostanie. Zachód mógł nie wysuwać hasła „bezwarunkowej kapitulacji” — mógł zawrzeć odrębny pokój z pokonanymi lecz nie powalonymi Niemcami — mógł powstrzymać się od równania z ziemią miast niemieckich i za tę cenę nie dopuścić Rosji do Europy.

Polacy w początkowym okresie rewolucji mogli poprzeć siły Białych Rosjan i być może — przeważać szalę. Nie twierdzę, że należało popierać kontrrewolucję czy układać się z Niemcami. Twierdzę natomiast, że istniały takie możliwości.

Przegraliśmy z Rosją na Wschodzie, bo to co dla nas było ideą jagiellońską — w oczach Litwinów, Ukraińców czy Białorusinów było czystym imperializmem. Polski imperializm przegrał na rzecz imperializmu rosyjskiego, ponieważ Rosja jest potężniejsza.

Sowieccy żołnierze rosyjscy pod Bramą Brandenburską nie wyskoczyli jak Minerwa z głowy Jowisza, lecz stanowią epilog dwu-wiekowego procesu historycznego.

Gdybyśmy dziś byli — już nie mówię pod Smoleńskiem — lecz w Wilnie i we Lwowie — żołnierzy sowieckich nie byłoby w Berlinie. Niemcy jednak byłiby wówczas nie tylko w Gdańsku i w Wrocławiu lecz prawdopodobnie w Katowicach i w Poznaniu. I o tym nie wolno zapominać!

Należy zakończyć status okupacyjny w centrum Europy i „zakołować” Rosję Sowiecką w nowym układzie starając się usilnie wpływać na jej ewolucję. Tempo owej ewolucji w znacznej mierze zależeć będzie od systemu bezpieczeństwa na kontynencie.

Chińczycy zamiast ryżu produkują kosztowne broń atomową ponieważ spodziewają się inwazji amerykańskiej z godziny na godzinę. Zdaniem amerykańskich rzeczoznawców być może dopiero trzecie pokolenie przywódców chińskich uwierzy, że Amerykanie nie planują inwazji Chin. To samo można powiedzieć o Rosjanach. Myślę, że dopiero trzecie pokolenie uwierzy, że Niemcy nie planują i nie mogą planować odwetu. I z tych przyczyn dla Moskwy zagadnienie bezpieczeństwa w ramach polityki europejskiej stanowi problem centralny.

W ocenie Moskwy i narodów wschodnio-europejskich — jed-

nostronna pokojowa deklaracja ze strony Niemiec, choćby najbardziej uroczysta, nie stanowi gwarancji bezpieczeństwa. Niemcy zdetonowali dwie wojny światowe depcząc wszystkie prawa boskie i ludzkie.

Problem niemiecki jest nie do rozwiązania w ramach czysto europejskich. I to stanowi o końcu Europy dawnego stylu. 75-cio milionowe, zjednoczone Niemcy, trzecią potęgę gospodarczą świata mogłaby pomieścić tylko zjednoczona cała Europa oparta o gwarancję sowiecko-amerykańską.

Przez „gwarancję” rozumiem szerszy układ sowiecko-amerykański, który normowałby sytuację na tym odcinku globalnego frontu. Rosjanie być może zgodziliby się na pewną formę zjednoczenia niemieckich republik i przyznaliby większą swobodę państwom satelickim — pod warunkiem, że ogólna równowaga sił sowiecko-amerykańska na terenie Europy nie uległaby zachwianiu a nowy układ stwarzałby lepsze warunki bezpieczeństwa.

W Monachium, we wrześniu 1938 r., europejscy mężowie stanu po raz ostatni bez udziału Amerykanów i Rosjan decydowali o losach Europy. Wyobraźmy sobie dziś przy stole obrad przedstawicieli rządów niemieckiego, włoskiego, francuskiego i brytyjskiego. O handlu, przemyśle i wymianie kulturalnej ci panowie mogliby owocnie dyskutować. Lecz los polityczny Europy jako całości i sprawa wojny czy pokoju — są już poza zasięgiem ich decyzji. Więc po co się okłamywać?

Należy wyodrębnić następujące istotne punkty:

a) — Europejczycy, tak zachodni jak i wschodni, muszą zdać sobie sprawę z faktu, że epoka europejskiej polityki bezpośredniej dobiegła kresu. Żadna europejska konferencja ani żaden europejski traktat nie zjednoczą Europy. Na szczęblu polityki światowej państwa europejskie mogą prowadzić tylko politykę pośrednią. Przez „politykę pośrednią” należy rozumieć formy nacisku i wpływu na Waszyngton i Moskwę. Gdyby Europa zachodnia przemawiała w Waszyngtonie jednym głosem wywierałaby możny wpływ na bieg polityki światowej.

Problem zjednoczenia naszego kontynentu widziany z Moskwy i z Waszyngtonu nie jest „sprawą europejską” tylko jednym z elementów polityki globalnej. Żadne z państw europejskich nie prowadzi polityki globalnej. Dlatego państwa europejskie nie mogą we własnym zakresie dokonać zjednoczenia kontynentu czy zadecydować o politycznych losach Europy jako całości.

Gdyby pewnego dnia na Kremlu zjawił się Gomułka i oświadczył, że przemawia w imieniu Polski, Węgier, Czechosłowacji i Rumunii — prawdopodobnie zostałby uwięziony pod zarzutem

organizowania antysowieckiego spisku. Lecz państwa zachodnio-europejskie bez najmniejszego ryzyka mogłyby w Waszyngtonie w określonych sprawach prezentować solidarny front. Dlaczego tak się nie dzieje? W Londynie, w Rzymie, w Paryżu politycy w większej mierze uwarunkowani są przeszłością niż teraźniejszością. Nie jesteśmy w pełni przystosowani do nowej historycznej sytuacji. Może nie tylko w Chinach wiązać należy nadzieje z trzecim pokoleniem...

b) — Planując określony program — czy tylko dyskutując na temat pewnego rozwiązania politycznego — trzeba zacząć od uzgodnienia terminologii.

W chwili obecnej nie ma w obiegu bardziej wieloznacznego określenia jak „zjednoczenie Europy”. Zjednoczona Europa zachodnia, „Europa po Ural”, zjednoczenie dwóch Republik niemieckich, Niemcy w granicach z 1937 r., „wyzwolenie” krajów satelickich plus demokratyczne wybory, odepchnięcie Rosji Sowieckiej na linię graniczną z 1939 r., Polska w granicach przedwojennych powiększona o Ziemię Odzyskane i td. i td.

Terminem „zjednoczenie Europy” ludzie współcześni zwykli określać naręcza „pobożnych życzeń”, często sprzecznych i wyłączających się wzajemnie.

Byłoby rzeczą wskazaną ustalić minimalny, jednoznacznie zdefiniowany, program „zjednoczenia Europy” by ludzi oswoić z rzeczywistością. Europejczycy nie mogą podjąć rozmów z Amerykanami na powyższy temat, a Waszyngton nie może wszcząć w tej sprawie żadnych negocjacji dopóki zachodni plan zjednoczenia Europy nie jest ściśle sprecyzowany.

c) — Niemcy są źródłem największych trudności i nadziei w sprawie zjednoczenia Europy. Gdyby nie było dwóch republik tylko jedno państwo niemieckie po tej stronie barykady — o zjednoczeniu Europy nie mówiliby nikt poza emigrantami z krajów satelickich. Dopóki Niemcy są podzielone — bez państw wschodnio-europejskich można się obejść. Z chwilą gdy na horyzoncie zarysowałaby się wizja 75 milionowych zjednoczonych Niemiec — trzydziestokilkumilionowa Polska nabrałaby natychmiast nowego znaczenia. W takiej sytuacji Europa wschodnia stałaby się funkcjonalnie potrzebna Europie zachodniej a zwłaszcza Francji.

Emigranci zza „żelaznej kurtyny” nie mogą wywierać skutecznego nacisku politycznego. Natomiast Niemcy zachodnie, których status stale rośnie — mogą wywierać potężny nacisk w kierunku zjednoczenia Europy. Niestety Niemcy — zarówno naród jak i rząd — nie dojrżeli do zjednoczenia. W Niemczech bardzo mało

ludzi zdaje sobie sprawę z faktu, że Europejczycy — w przeciwieństwie do Amerykanów — bardziej boją się zjednoczonych Niemiec niż Rosji Sowieckiej. Uznanie granicy na Odrze i Nysie jest niezbędne by uspokoić Europę zachodnią — nie Sowiety. Żadne z państw zachodnio-europejskich łącznie z Francją i Wielką Brytanią, nie poprze niemieckich dążeń zjednoczeniowych — dopóki rząd w Bonn nie uzna granicy na Odrze i Nysie.

Nie wszyscy Niemcy rozumieją, że zjednoczenie republik niemieckich nie może być wyizolowane z problemu zjednoczenia Europy. Na kontynencie nikt nie pragnie zjednoczonych Niemiec w przepołowionej Europie. Zjednoczenie nie może oznaczać przesunięcia „żelaznej kurtyny” na granicę Odry i Nysy. Powyższe postulaty nie są dyktowane sympatią dla Polski czy krajów Europy wschodniej. W tym wypadku nie chodzi o Polskę czy Czechosłowację lecz wyłącznie o pozycję Niemiec w Europie.

Jeżeli równowaga amerykańsko-sowiecka miałaby być utrzymana — zjednoczone Niemcy nie mogłyby sprzymierzyć się ani z Ameryką ani z Sowietami. W konsekwencji Niemcy musiałyby przyjąć status neutralny względnie semi-neutralny.

W sumie należy stwierdzić, że negocjowane zjednoczenie Europy — jeżeli w ogóle jest możliwe, to tylko za cenę poważnych ofiar ze strony Niemiec.



Pewne koncepcje polityczne — jak np. zjednoczenie Europy — spełniają ważną funkcję nawet wówczas gdy w danym momencie nie są realne. Pobudzają bowiem tok myślowy dziesiątków tysięcy ludzi w pożądanym kierunku i tym samym przyspieszają ewolucję. Przez „realizm” rozumiemy w polityce określony stopień ewolucji.

W Polsce — powiedzmy dla przykładu — nie mieliśmy nigdy uporządkowanej demokracji parlamentarnej. To nie oznacza, że demokracja parlamentarna jest nie realna czy bez sensu. Oznacza to tylko, że stopień ewolucji społecznej w Polsce był zbyt niski by demokrację parlamentarną uczynić zjawiskiem realnym.

Osobiście i prywatnie nie wierzę w negocjowane zjednoczenie Niemiec i Europy. Kongres Wiedeński, Wersal, Jałta — wielkie przemeblowania Europy i świata odbywały się zawsze bezpośrednio po wojnach. Dopóki przemysł i miasta niemieckie leżały w gruzach a krajem rządzili dowódcy zwycięskich armii — Niemcom można było narzucić wszystko. Dziś na to jest za późno. I punkt najistotniejszy. Zjednoczenie Europy nie jest

potrzebne ani Amerykanom ani Rosjanom. Potrzebne jest tylko Europejczykom. Europejczycy po obu stronach granicy nie pracowali do tej pory metod nacisku i wpływu na swoich hegemónów. Rządy zachodnio-europejskie mimo, że są w nieporównywalnie lepszej sytuacji niż rządy satelickie — w istotnych sprawach nie mają wiele więcej do powiedzenia w Waszyngtonie niż Gomułka w Moskwie.

Istnieją trzy możliwe rozwiązania problemu zjednoczenia Europy: układ negocjowany — konflikt wojenny — przekształcenie koegzystencji we współpracę.

Z owych trzech możliwości ostatnia wydaje mi się najbardziej prawdopodobna choć odległa. „Zimną wojnę” wygrywa nie Rosja lecz Europa. Dzieje się to wolno, ewolucyjnie lecz konsekwentnie. Dla Stalina nie istniał problem ofensywy Zachodu. Europejskie partie komunistyczne były bardziej stalinowskie niż sowieccy bolszewicy. Mur odcinający Sowiety od wpływów kulturalnych Zachodu był całkowicie szczelny. Rosja weszła głęboko w Europę lecz dziś można uznać za pewne, że nie Rosja skomunizuje europejski Zachód tylko raczej Zachód zeuropeizuje Rosję.

Intelektualiści, pisarze, inteligenci w całym europejskim bloku wschodnim są zafascynowani Zachodem. Kogo na Zachodzie fascynuje sowiecki komunizm? Nie fascynuje nawet zachodnio-europejskich komunistów. Tego rodzaju proces jeżeli trwa latami musi w końcu wyrazić się konkretnymi przemianami.

Pewien stopień europeizacji komunizmu jest warunkiem nieodzownym przemiany koegzystencji w współpracę. Pokojowa koegzystencja wystarcza by utrzymać *status quo*. Lecz w ramach polityki koegzystencji nie jest rzeczą możliwą budowanie zjednoczonej Europy. Do tego trzeba coś więcej. Rosjanie na terenie europejskim muszą być zdolni do prawdziwej współpracy z Amerykanami by rozwiązać problem niemiecki, który stanowi klucz do zjednoczonej Europy.

Można przyjąć pogląd, którego nie podzielam — że na skutek wewnętrznych trudności w Sowietach nastąpi kryzys, który będzie można wykorzystać i wyrzucić Rosjan ze środkowo-wschodniej Europy. Kryzys — o ile nie jest upadkiem — stanowi etap ewolucyjny. Rewolucja technologiczna oraz styk z kulturą europejską na szerokim froncie powodują wstrząs społeczny, który będzie się pogłębiał. Jestem przekonany, że w najbliższych latach będziemy świadkami dramatycznych wydarzeń w Rosji Sowieckiej — nie przewiduję jednak upadku i bankructwa. Skłonny jestem przypuszczać, że za 50 lat od dziś w Rosji panować będzie system gospodarczo-społeczny mało podobny do współczesnego ustroju sowieckiego — lecz nazwa i tradycja pozostaną. Ewolu-

cja nie wyłącza czasowych nawrotów do praktyk stalinowskich. Istotą ewolucji jest przełamywanie się reakcji i postępu.

Na Zachodzie sterujemy ku rządów prezydenckim i administracyjnym — różnice pomiędzy partiami politycznymi tracą swą dialektyczną przeciwstawność — interesujemy się ekonomią i dobrobytem, a wybory — przypominają turniej statystyków. Cyfry, cyfry, cyfry.

Lecz Rosja Sowiecka jest w pełnym płomieniu dialektycznej epoki. Słowa: wolność, równość, sprawiedliwość — tętnią tam żywą krwią współczesnego pokolenia.

Terc, Arzak, list 25 intelektualistów sowieckich — to wszystko byłoby bezpośrednio odczute i zrozumiane w pewnych kołach Zachodu pół wieku temu.

Ludzie patrzą na proces Terca i Arzaka jak na fotografię głodnych dzieci w Indiach. Gdzieś są głodni, są nawet głodni wolności. Lecz tak głód wolności jak i chleba dla człowieka Zachodu jest pojęciem nieznanym w rzeczywistym kontekście. To są zjawiska zimno-wojenne i przedmiot studiów dla kremlinologów.

Polacy winni wystrzegać się antropologicznego podejścia do „ludzi sowieckich”. Dla nas to nie są szczepy nad Amazonką, których prymitywną kulturę studiuje się z naukowym obiektywizmem. Ci ludzie najdosłowniej walczą w naszej sprawie. Owych 25-ciu intelektualistów sowieckich, którzy ostrzegali przed rehabilitacją Stalina — podjęło osobiste ryzyko w kwestii równie istotnej w Moskwie, jak w Warszawie.

Lecz to tylko uwagi na marginesie. Chciałbym zakończyć ten rozdział stwierdzeniem, że w gruncie rzeczy jesteśmy podwójnymi emigrantami — z Polski, której nie ma i z Europy której nie ma. Nie odbudujemy ani drugiej Rzeczypospolitej ani dawnej Europy. Zjednoczona Europa jeżeli kiedyś powstanie stanowić będzie całkowicie nowy układ odniesienia.

ZJEDNOCZENIE EUROPY A IDEOLOGIA

Zastanawiałem się wielokrotnie z jaką radą wystąpiłbym pod adresem moich rodaków, gdybym był politycznym pisarzem niemieckim.

Federalna Republika winna mieć niezbyt liczną lecz na najwyższym intelektualnym poziomie, rewizjonistyczną partię komunistyczną. Ostatecznie nikt nie ma po temu większych tytułów i tradycji. Zachodnio-niemiecka partia komunistyczna przyciągałaby postępowych intelektualistów komunistycznych z NRD, a z czasem mogłaby wywierać znaczny wpływ na wschodnio-europejskie partie komunistyczne. Nie będąc partią rządzącą partia komunistyczna zachodnio-niemiecka mogłaby wysunąć bez utraty twarzy plan zjednoczenia Niemiec pod przewodnictwem ogólnoniemieckiego rządu, w którym komuniści mieliby zapewnioną pewną ilość stanowisk ministerialnych. Pod względem ustrojowym Niemcy wschodnie stanowiłyby oddzielną prowincję z przewagą komunistów w administracji. Rozwiązanie po tych liniach „chroniłoby twarz” Moskwy i można by je zaprezentować jako sukces. Zjednoczone Niemcy nie byłyby wprowadzie komunistyczne lecz posiadałyby partię komunistyczną biorącą udział w rządzie.

Przyznaję, że powyższa koncepcja w warunkach zachodnio-niemieckich jest dziś nierealna. Lecz równocześnie należy stwierdzić, że żadna z wysuwanych koncepcji nie jest realna i dlatego Gromyko mógł spokojnie stwierdzić, że o zjednoczeniu Niemiec nie może być mowy.

Literatura polityczna dotycząca zjednoczenia Europy jest olbrzymia i rośnie z każdym miesiącem. Na temat rządu światowego napisano również wiele doskonałych studiów. ONZ posiada także bogatą literaturę i gorących wyznawców.

Osobiście jestem zwolennikiem zarówno zjednoczonej, całej

Europy jak i rządu światowego. W miarę upływu czasu skłaniam się jednak coraz bardziej do opinii amerykańskiego pisarza politycznego F. L. Schumana, że wszystkie „dobrowolne wysiłki zmierzające do zjednoczenia Europy miały tylko ograniczony i czasowy skutek — ponieważ współcześni ludzie są bardziej oddani swych lokalnym interesom i lojalnościom niż jakiegokolwiek uniwersalnej wizji”.

Uniwersalizm leży w grobie również i po tamtej stronie „żelaznej kurtyny”. Jego grabarzem — tak na Wschodzie jak i na Zachodzie — jest nacjonalizm. Państwo narodowe stanowi jeszcze ciągle ideał wszystkich narodów we wszystkich częściach świata.

Czy państwo komunistyczne jest do pogodzenia z koncepcją państwa narodowego? Czy państwo komunistyczne, mimo odmiennego ustroju, ma prawo domagać się tradycyjnej lojalności od swoich obywateli?

Odpowiedź emigracyjnego publicysty na powyższe pytania byłaby prawdopodobnie stronnicza. Zasięgnijmy więc opinii obiektywnego rzeczoznawcy przedmiotu. Wybitny socjolog brytyjski prof. Ernest Gellner — w książce pt. „Thought and Change” problem lojalności politycznej ujmuje w sposób następujący:

„A social order has rightful claims upon the loyalty of the members of the society under two conditions:

a) It is bringing about, or successfully maintaining, an industrial affluent society;

b) Those in authority are co-cultural with the rest of the society”.

Żaden Polak, socjolog czy nie socjolog, marksista czy nie marksista — niczego podobnego nigdy by nie napisał. W przytoczonych tezach nie ma bowiem słowa o niepodległości, wolności, sprawiedliwości — bez której to trójcy żadna państwowo-ustrojowa definicja w wydaniu polskim obejść się nie może. A przecież w tych dwóch punktach bez rytualnej frazeologii powiedziane jest wszystko. I dlatego, że powiedziane jest wszystko należy stwierdzić, że „social order” Polskiej Ludowej nie odpowiada definicji lojalności Gellner’a.

Marković — śladem Džilasa — widzi w biurokracji partyjnej nową klasę wyzyskiwaczy, która budując „socjalizm państwowy” restauruje równocześnie ustrój klasowy w jego najbardziej ujemnym wydaniu. O ile diagnoza prof. Marković’a jest kryształowo jasna i słuszna — o tyle przepisana przez niego terapia pozostawia wiele do życzenia.

Wyobraźmy sobie dla przykładu, że socjalistyczny rząd brytyjski jednego dnia znacjonalizował wszystkie środki produkcji

i dystrybucji. Anglia byłaby wówczas w sensie gospodarczym „Great Britain Limited”, a rząd prem. Wilsona stanowiłby radę dyrektorów tej gigantycznej firmy. Lecz nawet wówczas w Anglii nie można by mówić o „nowej klasie” właścicieli i wyzyskiwaczy. Rząd socjalistyczny w następnych wyborach mógłby ponieść klęskę i „Great Britain Ltd.” musiałby przekazać konserwaty-
stom.

W Związku Sowieckim czy w Polsce nie ma tej alternatywy. Właścicielem wszystkich środków produkcji jest aparat partyjny. Zarząd spółki pn. „Polska Ludowa” — w sensie personalnym może ulegać zmianom, lecz kolektywny właściciel jest zawsze ten sam.

Marksistom nie ma powodu tłumaczyć, że problem własności środków produkcji jest zagadnieniem kluczowym socjalizmu. W systemie jednopartyjnym aparat i biurokracja staje się *de facto* właścicielem wszystkich środków produkcji i nie jest w stanie tej sytuacji uniknąć. Gdyby istniały legalnie dwie partie socjalistyczne wówczas partia znajdująca się przy władzy byłaby czasowym zarządcą a nie właścicielem znacjonalizowanej gospodarki.

Pomijam fakt, że jednopartyjny, kolektywny właściciel przed nikim nie odpowiada i nie może być ani usunięty ani wywłaszczony. W historii znane są wypadki dobrotliwych i mądrych tyranów, którzy nie odpowiadając przed nikim i przez nikogo nie kontrolowani zarządzili z troską o dobro swych poddanych. Lecz to wszystko nie ma nic wspólnego z socjalizmem. Marks twierdził, że „własność jest złodziejstwem”. Owego złodziejstwa nie może być winna partia, która mieni się partią marksistowską.

Jeszcze raz należy podkreślić, że w systemie jedno-partyjnym biurokracja i aparat tworzący „nową klasę” stają się *de facto* właścicielami środków produkcji bez względu na wolę i intencję. System jedno-partyjny wyłącza inną możliwość.

Mit uniwersalizmu upadł lecz komuniści zwlekają z wyciągnięciem wniosków. Rezygnując z uniwersalizmu trzeba by podać rewizji doktrynę o współpracy z „niewierzącymi”. Bo tylko uniwersaliści liczyć mogli na likwidację zarówno kapitalizmu jak i wszystkich heretyckich wier politycznych.

Komuniści są zaskoczeni nową sytuacją. Boją się, że oficjalne odrzucenie mitu uniwersalnego pozbawiłoby ich ideowej tożsamości. Mści się obecnie hamowanie całymi latami swobodnego rozwoju myśli marksistowskiej. Komuniści, którzy uważali się za maszynistów parowozu Historii utracili prawo jazdy, ponieważ nie rozumieją mechanizmu współczesnej maszyny historycznej.

Przeczytałem powtórnie małą książeczkę nieodżałowanej pamięci prof. Stanisława Ossowskiego pt. „Marksizm i Twórczość

Naukowa w Społeczeństwie Socjalistycznym". Praca Ossowskiego wydana została 10 lat temu w Bibliotece „Po Prostu”.

Przez owe 10 lat w Polsce Ludowej nie tylko nie rozwinięto marksizmu lecz go dosłownie zagubiono. Obraz współczesnej sytuacji stanowi dokładną antytezę wskazań prof. Ossowskiego. Lecz Ossowski jeszcze dojdzie do głosu.

W chwili obecnego kryzysu ogromną rolę mogłyby odegrać partie komunistyczne na Zachodzie. Lecz sceptycyzm komunistów na Zachodzie posunięty jest tak daleko, że nie wierzą w możliwość przetrwania drugiego przełomu na wzór XX Zjazdu. Komuniści zachodni boją się, że odstępstwo od dogmatów, które utraciły wszelki sens — w konsekwencji zatarłoby różnicę pomiędzy nimi a „reformistami”.

Lista dogmatów, które winny być poddane rewizji jest bardzo długa. Wydaje mi się jednak, że ewolucja komunizmu zależeć będzie od rewizji tylko dwóch dogmatów, które posiadają znacznie podstawowe.

I. — Doświadczenia wykazały, że dogmat „dyktatury proletariatu” wyraża się w praktyce w rządy aparatu i biurokracji. Trzon programu socjalistycznego dotyczący własności środków produkcji — zostaje unicestwiony. W modelu ustrojowym typu PRL — powyższa sprzeczność jest nie do rozwiązania. Dziłasa można ogłosić zdrajcą i odstępcą — należy jednak stwierdzić, że jugosłowiańscy teoretycy marksistowskie — jak cytowany w tym szkicu prof. Marković — przejęli od Dziłasa analizę i diagnozę po-kapitalistycznego „socjalizmu państwowego”.

Samorząd typu jugosłowiańskiego zmierza do rozwiązania tych sprzeczności. Z całą pewnością nie jest to ani jedyna ani wystarczająca droga do przywrócenia sensu słowu „socjalizm”.

Należy jednak podkreślić, że marksiści jugosłowiańscy, w przeciwieństwie do marksistów polskich, widzą jasno sytuację. Podstawą terapii jest trafna diagnoza.

Różnica pomiędzy właścicielem a administratorem polega na tym, że administratora można odwołać a właściciela nie można odwołać. Różnica pomiędzy reprezentacją demokratyczną a oligarchią polega na tym, że reprezentację można odwołać a oligarchii nie można odwołać. Biurokracja i aparat partyjny PRL — ponieważ wśród nich nie ma ich odwołać — nie są ani reprezentantami społeczeństwa, ani nie są administratorami majątku narodowego. Ludzie ci są *de facto* właścicielami i sprawują dyktatorską władzę nie w oparciu o mandat społeczny.

Wyjście z tego błędnego koła możliwe jest tylko poprzez stworzenie alternatywy. Krokiem w tym kierunku byłoby ulegali-

zowanie opozycji partyjnej. Fakt, że Chruszczow przeżył swój upadek i pobiera pensję państwową — stanowi „wielki skok” na drodze do ulegalizowania opozycji w ramach partii.

Problemu „socjalizmu państwowego” przeanalizowanego przez marksistowskich teoretyków jugosłowiańskich — nie można dłużej ignorować. Ci uczeni z całą pewnością nie proponują „drugiego etapu” i nie są „inspirowani przez agencje wywiadu amerykańskiego”. Jedynym ich motywem jest troska o socjalizm.

II. — Komuniści winni wyciągnąć praktyczne konsekwencje z upadku utopii uniwersalnej. Utopistów mamy po obu stronach barykady. Utopią jest bowiem zarówno likwidacja komunizmu jak i likwidacja kapitalizmu. „Żelazna kurtyna” w sensie ideologicznym stanowi sumę irracjonalnego utopizmu tak wschodniego jak i zachodniego.

Utopistów określić również można mianem likwidatorów. Jedni bowiem głoszą likwidację kapitalizmu — drudzy likwidację komunizmu. Likwidatorzy wschodni żywią likwidatorów zachodnich i na odwrót.

„Żelazna kurtyna” nie jest instrumentem propagandy i nie można jej zburzyć jednego dnia. Gdyby p. Moczar wylądował w Londynie — „żelazną kurtynę” przywiózłby ze sobą. „Żelazna kurtyna” stanowi typ mentalności, która cechuje dogmatyków po obu stronach granicy.

Uniwersalistyczna utopia zakłada triumf komunizmu w skali światowej. Nie ma powodu współpracować z tymi, którzy są w drodze na śmietnik Historii. Nie ma powodu studiować osiągnięć nauki burżuazyjnej, która skazana jest na zagładę. Nie ma powodu układać się z kościołem, który jako religia i instytucja dobiega swego kresu.

W moim przekonaniu dogmatycy i utopiści stanowią w europejskim ruchu komunistycznym mniejszość. Niemniej, w praktyce, komuniści zachowują się tak jakby nic się nie zmieniło.

W kontekście realnej polityki utopia w wydaniu chińskim oznacza chiński imperializm a utopia w wydaniu sowieckim oznacza rosyjski imperializm. Dogmat „dyktatury proletariatu” wyrodził się w totalistyczny „socjalizm” państwowy. Dogmat uniwersalizmu wyrodził się w zaborczy imperializm.

Trzeba być ostrożnym z uogólnieniami — tym bardziej, że pojęcia i terminy — w miarę jak posuwamy się z Zachodu na Wschód — zmieniają swą treść i tło skojarzeniowe. Myślę jednak, że można śmiało zaryzykować twierdzenie, że wszystkie narody bez względu na kolor skóry — przywiązują podstawową wagę do pewnych form wolności na wewnątrz i do pewnego minimum niezależności na zewnątrz. Komunizm w zwyrodniałych formach

totalistycznego „socjalizmu państwowego” na wewnątrz i imperializmu na zewnątrz jest nie do pogodzenia z owymi zasadniczymi ludzkimi dążeniami.



Ernest Gellner w swej dwu-punktowej tezie, cytowanej w pierwszej części tego rozdziału twierdzi, że dany ustrój ma prawo domagać się lojalności od społeczeństwa pod warunkiem, że buduje lub podtrzymuje dobrobyt i zamożność dla wszystkich.

W Sowietach podjęto rozmaite reformy, pisze się o liberamizmie, o motywie zysku i tp. Lecz decentralizacja oznaczać by musiała delegowanie władzy, a każda władza nawet ta, która nie pochodzi od Boga — w ostatecznym rozrachunku jest władzą polityczną. Decentralizacja — choć dyktowana rozbudową wielkoprzemysłowej gospodarki — w ustroju socjalizmu państwowego jest zagadnieniem w pierwszej linii politycznym.

Centraliści spodziewali się znaleźć narzędzia umożliwiające makro-ekonomiczne, centralne zarządzanie w cybernetyce i komputerach. Ideałem aparatchyków byłoby „dośćnąć Amerykę” na polu produkcyjnym a równocześnie zachować pełnię scentralizowanej władzy.

Jednak najlepsi sowieccy matematycy, jak Kantorowicz, którzy pracują nad zagadnieniami planowania przy użyciu zespołu komputerów — wydali opinię, która grzebie nadzieje centralistów. Nie ma systemu komputerów, który mógłby zapewnić sprawne funkcjonowanie centralistycznego makro-ekonomicznego planowania. (Cytuję za prof. Alec Nove „Plan, Profits and Marx”).

Gospodarka sowiecka będzie musiała ulec stopniowej decentralizacji ze względów praktycznych. Dylemat klasy rządzącej jest nieco paradoksalny. Decentralizacja pociąga za sobą osłabienie dyktatury — lecz bez decentralizacji nie ma widoków wyjścia z serii permanentnych kryzysów i rosnących deficytów. Z drugiej strony, jeżeli klasa rządząca „centralizm demokratyczny”, czyli totalną dyktaturę, uzna za element istotniejszy niż uzdrowienie gospodarki — Rosja nie stanie się nigdy „drugą Ameryką” co również pociągnęłoby za sobą osłabienie pozycji klasy rządzącej.

Drugi punkt tezy Gellnera mówi o wspólnocie kulturalnej rządzących i rządzonych. Jest oczywiste, że neo-stalinizm reprezentowany przez Gomułkę i jego aparat nie jest *co-cultural with the rest of the society*. Tylko socjalizm zaakceptowany a nie narzucony odpowiadałby postulatowi Gellnera.

Punktem wyjścia tych rozważań były projekty zjednoczenia Europy. I na tej płaszczyźnie drugi punkt tezy Gellnera w pełni

obowiązuje. Można jednoczyć czy nawet federalizować państwa o różnych ustrojach lecz o tej samej kulturze. Ustrój państwa europejskiego musi się „mieścić” w kulturze europejskiej.

Dogmatycy komunistyczni stawiają znak równania pomiędzy kulturą europejską (zachodnią) a kulturą burżuazyjną. Ten pogląd byłby usprawiedliwiony gdyby komuniści *à rebours*, tzn. antykomunistyczni dogmatycy po tej stronie ideologicznej granicy stanowili większość i sprawowali władzę. O ile jednak dogmatycy w rządzących partiach komunistycznych są przy władzy — o tyle dogmatycy w zachodnich ugrupowaniach politycznych stanowią znikomą mniejszość, pozbawioną wpływu i znaczenia.

Scalenie Europy musi poprzedzić proces „europeizacji” komunizmu. Dogmatycy i likwidatorzy po obu stronach linii granicznej muszą zniknąć ze sceny.

Państwa Zachodu a w szczególności Stany Zjednoczone celową polityką mogłyby wydatnie przyspieszyć ów proces.

Trzeba odważnie wyeksploatować mit o „nie-interwencji”. Wszystkie państwa komunistyczne ze Związkiem Sowieckim na czele głoszą z fanatyzmem zasadę „nie mieszania się w sprawy wewnętrzne innych państw”. W rzeczywistości Sowiety interwenują wszędzie gdzie mogą od Budapesztu zaczawszy a na Kubie i Wietnamie skończywszy. To samo dotyczy Chińczyków. Amerykanie swoimi wpływami obejmują trzy czwarte globu. Nie interwenują tylko ci, którzy są zbyt słabi by prowadzić jakąkolwiek niezależną zagraniczną politykę.

Przy różnych okazjach amerykańscy mężowie stanu zwykli głosić, że chcieliby widzieć Polskę w większym stopniu niezależną od Moskwy i cieszącą się ustrojem wewnętrznym zgodnym z wolą społeczeństwa.

To są konwencjonalne przedwyborcze frazesy a nie program. Amerykanie winni sprecyzować minimalne cele, osiągalne bez wojny, których urzeczywistnienie pozwalałoby na włączenie — choćby luźne — krajów wschodniej Europy do systemu ogólnoeuropejskiego.

Odrzucenie polityki *liberation* wyłącza planowanie odbudowy demokracji parlamentarnej w dającej się przewidzieć przyszłości. Trzeba więc konsekwentnie i metodycznie dążyć do od-dogmatyzowania obecnego ustroju i doktryny. „Odwilż” jest pociągnięciem taktycznym jeżeli nie jest równoznaczna z utratą gruntu przez dogmatyków. „Zmiana kursu” jest tylko wówczas prawdziwą zmianą kursu gdy pociąga za sobą poważniejsze zmiany w kierownictwie partii. „Liberalizacja” jest tylko wówczas autentyczną liberalizacją gdy postępowcy w partii nie tylko dochodzą do głosu lecz i do władzy.

W płaszczyźnie polityki realnej Amerykanie winni zawsze dawać do zrozumienia, że ze stalinowcami i neo-stalinowcami nie zamierzają rozmawiać. Powinno być wiadome, że szanse danego układu, umowy czy pożyczki zależą od składu politycznego polskiej delegacji.

Udzielając pomocy na większą skalę, Amerykanie winni domagać się nie „liberalizacji” lecz konkretnej reformy wysuwanej przez anty-dogmatyków. Komuniści anty-dogmatycy winni w ocenie polityki amerykańskiej mieć pierwszeństwo przed bezpartyjnymi oraz przed członkami „partii licencjonowanych”. Przebudowy modelu ustrojowego tak w Polsce jak i w innych krajach wschodnio-europejskich dokonać mogą tylko anty-dogmatycy komuniści, a nie ludzie bezpartyjni czy członkowie „partii transmisyjnych”.

Polityka interwencji wymaga taktu, dyskrecji i znakomitego rozeznania w sytuacji. Lecz Rosjanie pierwsi dostarczyli wielu przykładów, że ten typ polityki — umiejętnie stosowany — przynosi nader konkretne rezultaty.

Nawet przy stosowaniu największej dyskrecji po pewnym czasie byłoby wiadomo, że Amerykanie aktywnie popierają anty-dogmatyków, którzy oczywiście byłiby tym wysoce zakłopotani. Powstaje więc pytanie czy tego typu poparcie nie przyniosłoby więcej szkód niż korzyści?

W szerokich masach polskiego społeczeństwa pro-amerykański sentyment jest bardzo żywy — lecz 20 lat kampanii oczerniającej Stany Zjednoczone przyniosło pewne rezultaty — zwłaszcza w kołach inteligenckich.

Amerykanom nie byłoby łatwo przekonać anty-dogmatyków i rewizjonistów, że nie zamierzają sprzedać im *American way of life* — że natomiast, mając w Polsce do wyboru komunizm anty-dogmatyczny i neo-stalinizm — zdecydowani są poprzeć wersję bardziej postępową i europejską.

Anty-dogmatycy są z definicji ideologicznie anty-chińscy więc umacnianie ich wpływów jest w bezpośrednim interesie amerykańskim.

Margines możliwych reform leży w Polsce odłogiem. To nie Rosja lecz Gomułka i jego administracja stanowią bezpośrednią przeszkodę do podjęcia pewnych koniecznych reform i przemian. Polscy anty-dogmatycy mają duże doświadczenie i nie zaryzykowałiby programu, który mógłby... uruchomić czołgi sowieckie. Lecz pomiędzy jałowym dogmatyzmem Gomułki a czołgami sowieckimi — jest olbrzymie i całkowicie niewykorzystane pole manewru.

Poza tym jaka jest alternatywa?

Zasada nie-interwencji oznaczać by musiała w warunkach polskich akceptowanie obecnego neo-stalinowskiego modelu i premiowanie tych, którzy w obawie przed utratą władzy i przywilejów — uniemożliwiają podjęcie najkonieczniejszych reform. Bezzwrotne pożyczki i innego typu „zastrzyki dolarowe” — przy rezygnacji z polityki interwencji — stanowiłyby *de facto* amerykańską pensję dla członków polskiej „nowej klasy”.

SPOTKANIE W TORGAU

Piszemy o zjednoczeniu Niemiec jako o istotnym problemie europejskim. Lecz wydaje się, że nikt już dziś nie pamięta genezy tego zjawiska.

W mojej książce niemieckiej* opisując konferencję w Monachium podkreśliłem, że była to ostatnia prawdziwie europejska konferencja bez udziału Rosji i Ameryki. Niemcy były zjednoczone i uzbrojone i Hitler wyciągnął wówczas logiczny wniosek, że jeżeli Europa ma być rządzona przez Europejczyków to owymi Europejczykami muszą być Niemcy.

Narody Europy miały do wyboru albo poddać się hegemonii Niemiec, które były najsilniejszym mocarstwem na kontynencie albo przywrócić zwichniętą równowagę sił przy pomocy pozaeuropejskich partnerów.

Epilogiem Monachium było Torgau. W miejscowości tej, leżącej w środku Niemiec i w środku Europy, spotykały się w dniu 25 kwietnia 1945 r. armie dwóch pozaeuropejskich potęg: Związku Sowieckiego i Stanów Zjednoczonych. Konsekwencją owego spotkania był podział Niemiec.

Patrząc na ewolucję problemu niemieckiego należy stwierdzić, że zjednoczenie Niemiec spowodowało ich podział. Europa bowiem nie jest w możności pomieścić zjednoczonych i uzbrojonych Niemiec. O zjednoczonych, atomowo uzbrojonych Niemczech w ramach niezależnej (zarówno od Rosjan jak i od Amerykanów) Europy — mogą mówić tylko ci, którzy są gotowi zaakceptować hegemonię Czwartej Rzeszy.

Czytelnik zauważy może w tym miejscu, że naród niemiecki

* *Kehrt Deutschland in den Osten zurück?* Colloquium Verlag. Berlin 1961. Str. 111.

uległ przemianom. Nie wątpię w to ani na chwilę. Wyobraźmy sobie jednak następującą sytuację. Przez ubiegłe 15 lat Polska była na łasce i niełasce nie Rosji Sowieckiej lecz demokratycznych, uzbrojonych, zjednoczonych Niemiec. Jak ukształtowałby się wówczas nasz los? Oczywiście nie byłoby Gestapo, obozów koncentracyjnych i tp. Lecz utracilibyśmy ziemie zachodnie, poznańskie, Gdańsk, Śląsk i wegetowalibyśmy w granicach zbliżonych do granic „Generalnej Gubernii”. Mając stuprocentową przewagę, którą od lat w stosunku do nas dysponuje Rosja — Niemcy zrealizowaliby swój maksymalny program. W miniaturowej Polsce moglibyśmy wskrzesić przedwojenną konstytucję, lecz wątpię czy moglibyśmy wskrzesić cokolwiek innego. Bylibyśmy nie państwem lecz państwkiem satelickim niezdolnym do życia.

Niemcy zjednoczone zostały siłą. Podzielone zostały również siłą. Sądzę, że poza *lunatic fringe* i „National-Demokratische Partei” — nikt dziś w Niemczech zachodnich nie wierzy w powtórne zjednoczenie Niemiec siłą.

Były kanclerz Adenauer udzielił wywiadu korespondentowi „New York Times”. Komentując ów wywiad „New York Times” podkreślił, że sędziwy przywódca Chrześcijańskich Demokratów nie jest w stanie uwolnić się od podejrzenia, że pomiędzy Moskwą a Waszyngtonem istnieje porozumienie w sprawie zachowania *status quo* w Europie.

Adenauer nie jest w tym poglądzie odosobniony. Oczywiście to jest nieporozumienie, gdyż nie ma żadnej ugody pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Ludzie natomiast — zwłaszcza starszego pokolenia — nie mogą zrozumieć, że siły militarnej nie można dziś wymieniać na efekty polityczne z równą łatwością jak ćwierć wieku temu. Ci zaś, którzy to rozumieją — choć mówią „A” wzdragają się powiedzieć „B”. Jeżeli siła militarna utraciła swą pierwotną zamienialność na efekty polityczne — negocjowanie z pozycji siły przestało być równoznaczne z negocjowaniem siłą.

Gdzie biorą swe źródło owe podejrzenia Adenauera i wielu innych? Potencjał atomowy w sensie politycznym jest siłą statyczną, nadającą się do obrony *status quo* lecz nie do jego zmiany.

Małe wojny broniąmi konwencjonalnymi można prowadzić w Azji czy w Afryce, lecz nie w Europie a szczególnie nie w Niemczech, gdzie Amerykanie sąsiadują bezpośrednio z armią sowiecką. Wietnam jest nie do pomyślenia w Europie.

W przyszłości możemy mieć całą serię małych i większych wojen konwencjonalnych w Azji, w Afryce a może nawet w Ameryce Południowej — lecz w moim przekonaniu, Europa ma przed sobą dziesięciolecie „murowanego” pokoju.

Rosja jest usytuowana w Europie jak nigdy w swych dziejach. *Stalemate* atomowy, który cementuje obecną sytuację — faworyzuje Rosjan na niekorzyść Amerykanów i Niemców. Rosjanie nie mają powodu ryzykować wojny atomowej by zmienić sytuację, która jest dla nich niezmiernie korzystna. Zmiana *status quo* leży w interesie Niemców i Amerykanów a nie Rosjan i dlatego Amerykanie a nie Rosjanie musieliby podjąć ryzyko wojny atomowej, gdyby chcieli radykalnie zmienić *status quo* w Europie środkowej i wschodniej. Stany Zjednoczone — ufajmy — zaryzykowałyby wojnę w obronie *status quo*. Lecz z całą pewnością nie zaryzykują katastrofy atomowej by *status quo* zmienić. Na powyższej analizie opieram przypuszczenie, że Europa przez długi okres czasu będzie korzystała z pokoju narzuconego równowagą atomową amerykańsko-sowiecką.

Jeżeli naszym celem, jako Europejczyków — jest przywrócić Europie niezależność — to w żadnym wypadku nie możemy wracać do układu, który w przeszłości spowodował podział Niemiec i podział Europy.

Rozdział niniejszy nie jest poświęcony wyłącznie sprawie Niemiec. Problem niemiecki służy w tym wypadku raczej do zilustrowania tezy, że na skutek specyficznych warunków potężne narody europejskie nie mogą podejmować inicjatyw, które stosują — powiedzmy — Wietnamczycy. Łatwo sobie wyobrazić wstrząs w Waszyngtonie czy w Moskwie gdyby pewnego wieczoru Niemcy zachodni zaczęli przez mur berliński przerzucać uzbrojonych partyzantów na teren NRD. W przeciwieństwie do Wietnamu Amerykanie nie tylko nie zaoferowaliby żadnej pomocy lecz niewczesnych partyzantów rozbiliby siłą. W tej sprawie Amerykanie liczyć mogą na wzajemność ze strony Sowietów. Moskwa nie dopuści do powstania w NRD. Powstanie w NRD na poważniejszą skalę skomplikowałoby sytuację Amerykanów w Niemczech zachodnich.

Gdybym miał w jednym zdaniu ująć różnicę pomiędzy Europą 1938 a Europą 1966 — stwierdziłbym, że dziś żadne z państw europejskich nie może we własnym imieniu prowadzić wojny.

Mimo, że w Europie istnieją dziesiątki niezadowolonych problemów z dwoma Berlinami na czele — trwa pokój, bo taka jest wola (i interesy!) naszych protektorów.

Nasi protektorzy gotowi są ponieść pewne ofiary w celu zachowania pokoju. Prez. Eisenhower z całą pewnością gorąco sympatyzował z powstańcami węgierskimi. Lecz poświęcił owe sympatie dla wyższej, poza-europejskiej racji stanu, związanej z pokojową koegzystencją, amerykańsko-sowiecką.

Europejczycy, a zwłaszcza Niemcy, nie zdają sobie na ogół

sprawy, że pomiędzy Ameryką a Rosją na terenie Europy — z wyjątkiem Berlina nie ma ważniejszych kwestii spornych i obecna sytuacja ku zadowoleniu Moskwy i Waszyngtonu może trwać bez większych zmian przez następne 50 lat.

Niewątpliwie układ obecny jest bez precedensu czego wyrazem są różnorakie reakcje i postawy. Wśród Europejczyków wyodrębnić można trzy typy postaw politycznych. Do pierwszej kategorii należą „likwidatorzy”, którzy głoszą konieczność likwidacji komunizmu siłą. Pod tym programem podpisują się nieliczni fanatycy i radykalni nacjonaści. Do drugiej kategorii zaliczyć należy historycznych anachronistów. Politycy tej szkoły powołują się na tradycje, prawa historyczne i tp. — zapominając, że historia o której mówią dobiegła kresu w Hiroszynie. Trzecią kategorię tworzą ewolucjoniści, którzy usiłują planować i rozumować w oparciu o obiektywne warunki.

Program „likwidatorów” reprezentujących *lunatic fringe* czy to w wydaniu niemieckim, amerykańskim czy emigracyjnym — może być interesujący raczej dla psychiatry niż dla publicysty.

W przeciwieństwie do „likwidatorów” historyczni anachroniści są poważnymi politykami, którzy nominalnie odrzucają rozwiązanie wojenne. Odrzucają wojnę lecz nie są w możności zrezygnować z celów politycznych, które osiągnąć można tylko na drodze wojennej.

Postulat restauracji Niemiec w granicach z 1937 r. jest nie do zrealizowania bez wojny. Anachronistom historycznym wydaje się jednak, że wysuwając tego typu żądania wzmacniają swoją pozycję w przyszłych negocjacjach. Publicyści niemieccy (życzliwie nastroszeni w stosunku do Polaków) wysuwają zawsze argument, że uznanie granicy na Odrze i Nysie dziś, osłabiłoby pozycję przetargową Niemiec w przyszłych negocjacjach pokojowych.

Anachronizm historyczny posiada wszystkie cechy jakże dobrze nam znanej patriotycznej niezłomności. Rezygnacja z granic 1937 r. byłaby równoznaczna nie tylko z przyznaniem się do klęski. Owa rezygnacja byłaby równoznaczna z uznaniem nieodwracalności przemian jakie dokonały się w Europie. Przebrnąć przez tego typu zapory psychologiczne można by tylko wykazując Niemcom beznadziejność „niezłomności” i równocześnie ukazując im perspektywy ewolucyjnych rozwiązań.

Historyczni anachroniści rozumują klasycznie: najpierw trzeba odbudować kraj i życie gospodarcze, a następnie, w oparciu o tę bazę — stworzyć potężną nadbudowę militarną. Niemcy uważali zawsze, że polityka zagraniczna jest ubocznym produktem siły wojskowej.

Tym razem wygląda to wszystko nieco inaczej. Niemcy są nie tylko problemem europejskim lecz również problemem dwóch poza-europejskich mocarstw, których armie spotkały się w Torgau.

Podstawowe pytanie brzmi: czy problem niemiecki będzie rozwiązany w ramach polityki europejskiej czy w ramach polityki amerykańsko-sowieckiej? W moim przekonaniu historyczni anachioniści pracują na rzecz rozwiązania amerykańsko-sowieckiego, które dla Niemców byłoby niekorzystne a dla Europy katastrofalne.

Przed wielu laty na tych łamach podkreślałem, że przyjdzie chwila kiedy żądania niemieckie będą coraz trudniej zaspokoić. Dziś Niemcy są drugim po Ameryce przemysłowym mocarstwem zachodniego świata i można już im tylko oferować dwie rzeczy: broń atomową i zjednoczenie. Wszystkiego innego mają w nadmiarze.

Niemcy mogą mieć broń atomową za zgodą Ameryki w opozycji do Rosji, lub w sojuszu z Rosją w opozycji do Stanów Zjednoczonych. Nie osiągną jednak nigdy statusu mocarstwa nuklearnego, jeżeli zarówno Waszyngton jak i Moskwa będą temu przeciwnie.

Zjednoczenie Niemiec zależy wyłącznie od Rosji. Sowiety sprzeciwiają się zjednoczeniu Niemiec również i z tego względu, że Stanom Zjednoczonym byłoby niepomierne trudniej hamować nuklearne ambicje Niemiec zjednoczonych niż podzielonych.

Niemcom nie wolno wytwarzać broni atomowych na terenie Federalnej Republiki. Lecz teoretycznie mogą produkować broń nuklearną poza obrębem NRF, mogą być członkiem wielonarodowej nuklearnej siły zbrojnej, mogą bardziej intymnie niż dotychczas współpracować z amerykańskimi jednostkami wyposażonymi w broń atomową i t.p., i t.p. Niewątpliwie w tej dziedzinie istnieje cały wachlarz możliwości i Rosjanie zdają sobie z tego sprawę.

Wszystkich nas cechuje „europocentryzm”. Złożyły się na to stulecia tradycji i historii. Jak zauważył słusznie pewien wybitny reporter amerykański w Europie 200 lat to jest krótki okres czasu, lecz 200 mil to wielki szmat przestrzeni. W Ameryce, 200 mil to krótki spacer, lecz 200 lat to cała historia.

Europa obserwowana z Moskwy czy z Waszyngtonu stanowi odcinek globalnego frontu. W danym momencie względy taktyczne mogą skłonić zarówno Rosję jak i Amerykę do szukania trwałego odprężenia na odcinku europejskim.

Dla Rosji Europa zachodnia to nie jest ani Francja ani Wielka Brytania tylko Niemcy. Sowiety nie chcą zjednoczenia Niemiec gdyż im Niemcy będą potężniejsze tym trudniej przyjdzie odma-

wiać im statusu mocarstwa nuklearnego. Lecz można wyobrazić sobie sytuację w której Rosjanie odwrócą problem. Zgodzą się na zjednoczenie w zamian za de-atomizację Niemiec.

Ideałem z punktu widzenia Rosji są Niemcy podzielone i atomowo rozbrojone. Alternatywą są Niemcy choćby zjednoczone lecz definitywnie odcięte od broni atomowej.

Politycy, których określiłem mianem historycznych anachronistów pracują *de facto* na rzecz rozwiązań jałtańskich. Wysuwając postulaty, których bez wojny nie można zrealizować panowie ci, któregoś dnia wymuszą na Waszyngtonie i Moskwie nową Jaltę.

Plany de Gaulle'a zakładają równoczesne rozwiązanie problemu Niemiec z „de-satelizacją” krajów Europy wschodniej. To jest niewątpliwie rozwiązanie europejskie i ewolucyjne. Lecz nad tym planem wisi niemiecki znak zapytania.

Zamysł de Gaulle'a stoi i upada postawą Niemiec. Nikt nie może oczekiwać od Rosji akceptacji planów francuskich jeżeli nie akceptują ich Niemcy. Teza oficjalnej polityki niemieckiej o granicach z 1937 r. nie tylko jest nie do pogodzenia z planem de Gaulle'a lecz stanowi jego zaprzeczenie. Najpierw dla planów francuskich trzeba zjednać Niemców a dopiero w następnej kolejności Rosjan.

Oceniane z perspektywy Moskwy plany de Gaulle'a są niestety rachunkiem bez gospodarza. Niemcy zgłaszają pretensje nie tylko do polskiego Wrocławia lecz i do sowieckiego Królewca. Rosjanie zdają sobie również sprawę z faktu, że de Gaulle czy jego następcy nie są w możności ani Niemcom zagrozić ani niczego na nich wymusić. Natomiast dyktat amerykańsko-sowiecki à la Jalta Niemcy musieliby przyjąć.

Choć zabrzmiał to paradoksalnie twierdzę, że dopóki Niemcy hołdują polityce historycznego anachronizmu i stawiają sobie za cel budowę IV Reichu — dla Rosji gwarantem bezpieczeństwa w Europie jest Ameryka a nie Francja. Bez zgody Ameryki Niemcy nie będą mieli nigdy broni atomowych i wbrew woli Waszyngtonu IV Reich nie powstanie.

Anachroniści niemieccy — podobnie jak anachroniści polscy nie mają żadnych planów ani żadnej polityki. O ile jednak rojenia emigracyjnych anachronistów są nieszkodliwe o tyle rojenia Bonn uniemożliwiają ewolucyjną, pokojową przebudowę Europy. Dopóki wszystkie polityczne partie niemieckie, parlament, rząd i kanclerz głoszą zgodnie tezę o granicach z 1937 r. — dopóty plan prez. de Gaulle'a, czy jakiegokolwiek inny plan, przebudowy Europy nie ma żadnych szans sukcesu.

Czy jest rzeczą możliwą przekonać Niemców, że w gruncie

rzeczy marzenia o IV Reichu przynoszą sprawie niemieckiej więcej szkody niż korzyści?

Należałoby zastosować równocześnie dwie metody. Francuzi winni starać się wytłumaczyć Niemcom, że podtrzymywanie tezy o zjednoczeniu w granicach z 1937 r. wyłącza rozwiązanie europejskie. Pozostaje więc tylko rozwiązanie jałtańskie, które jeżeli da Niemcom zjednoczenie utrwali równocześnie „żelazną kurtynę” na granicy Odry i Nysy. Rozwiązanie jałtańskie oznaczałoby z całą pewnością od-atomizowanie Niemiec i wydatne ograniczenie zbrojeń konwencjonalnych.

Druga metoda winna polegać na uznaniu granicy na Odrze i Nysie przez wszystkie państwa europejskie z Francją na czele.

Londyński „The Times” stwierdził, że żaden myślicy Niemiec nie może mieć wątpliwości w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Niemcy sądzą jednak, że uznanie tej granicy stanowi atut, który winien być zagrany w właściwej chwili. Uznanie tej granicy — pisze „The Times” — już dawno przestało być atutem i bez jasnej decyzji w tej sprawie nie może być mowy o zjednoczeniu.

Na całym Zachodzie wszyscy podpisują się pod poglądem wyrażonym przez czołowy dziennik brytyjski lecz nikt oficjalnie nie uznał granicy na Odrze i Nysie.

Oficjalne uznanie granicy na Odrze i Nysie nie jest potrzebne Polsce, ponieważ granicy tej nic nie zagraża. Oficjalne uznanie tej granicy przez mocarstwa Zachodu *potrzebne jest Niemcom* by politykę niemiecką wyprowadzić z *fools paradise* na realne tory.

IV Reich — jak podkreślają to zachodnio-niemieccy socjologowie — nie jest programem politycznym tylko narodowym „wielkim ideałem”. Owe nacjonalistyczne „wielkie ideały” spełniały w przeszłości ponurą rolę i nie można głosić, że Niemcy radykalnie się zmienili dopóki ów agresywny „idealizm” nie zostanie w całości wykorzeniony.

„The Times” w cytowanym artykule pisze, że nie można liczyć na postępy w kierunku zjednoczenia dopóki sprawa Odry i Nysy nie jest wyjaśniona. Odpowiedzialność w tym wypadku obciąża w większym stopniu mocarstwa zachodnie niż Niemcy. Gdyby wszyscy sojusznicy Niemiec uznali tę granicę — „wielki ideał” IV Reichu zmarłby naturalną śmiercią zamykając rozdział historycznego anachronizmu w polityce niemieckiej.



Tak jak hegemonia hitlerowskich Niemiec była konsekwencją Monachium — tak Torgau przypieczętowało Jaltę. Okres zapo-

czątkowany w Torgau trwa do tej pory. Jednostki sowieckie i amerykańskie stoją twarzą w twarz w środku Europy.

Posługuję się terminem ewolucjonizm w braku lepszego określenia. Terminologię dla procesów zachodzących obecnie ukują historycy w następnym stuleciu. Jednak świadomość przemiany bez względu na termin, posiada podstawowe znaczenie. Brak owej świadomości powoduje, że oscylujemy pomiędzy dwoma biegunami — *appeasementu* z jednej strony i anachronistycznych rojeń z drugiej strony. W pośrodku leży właściwy i jedyny teren naszego działania to znaczy — obiektywne warunki.

Wiele istotnych przemian w historii Europy było bezpośrednimi lub pośrednimi konsekwencjami wojen. Wojny światowe były wojnami europejskimi w obu wypadkach wywołanymi kryzysem na naszym kontynencie.

Epoka wojen europejskich należy do przeszłości. Jak wykazał Budapeszt o wojnie i pokoju w Europie decydują Waszyngton i Moskwa. Z punktu widzenia naszych protektorów sytuacja w Europie jest względnie ustabilizowana. Punkty zapalne konfliktu leżą poza Europą, przede wszystkim w Azji. Rosjanie liczą, że pomoc Zachodu tak materialna jak i „duchowa” dla „trzeciego świata” okaże się zbyt wątpliwa i doprowadzi do kryzysów, które stworzą koniunkturę dla inicjatywy Moskwy.

Zarówno Amerykanie jak i Rosjanie rozluźniliby swą kontrolę nad kontynentem gdyby „podwójną hegemonię” — by użyć określenia de Gaulle’a — można było zastąpić czymś innym. Jeżeli Europejczycy nie wypracują alternatywy doczekamy się formalizacji Torgau. Wypracowanie i realizacja planu alternatywnego nie leżą w sferze rzeczy możliwych dopóki w Niemczech nie dokona się zasadnicza przemiana: od anachronizmu ku ewolucjonizmowi.

Owa przemiana dokonałaby się w Niemczech niepomiaralnie szybciej gdyby mocarstwa zachodnie w sprawie niemieckiej przemawiały jednym głosem.

U dna sprawa jest prosta. Jeżeli w przyszłości mamy negocjować z Rosją plan alternatywny obejmujący zjednoczenie Niemiec przy równoczesnym rozwiązaniu problemu wschodniej Europy — to pomiędzy Zachodem a Sowietami nie może być w Europie terytorialnych nieporozumień. Dla Rosji i dla Ameryki byłoby z korzyścią wyłączyć Europę ze sfery bezpośredniego konfliktu — lecz Sowiety nie zgodzą się nigdy na plan obejmujący Niemcy zgłaszające pretensje do terytoriów sowieckich czy polskich. Rosja jeżeli zgodzi się na plan rekonstrukcji Europy to tylko pod gwarancją, że „Nowa Europa” nie będzie anty-rosyjska. Być może za kilka lat okaże się rzeczą możliwą przekonać przywód-

ców na Kremlu, że liberalizacja stosunków w Europie wschodniej stanowiłaby poważny krok naprzód ku Europie bardziej zharmonizowanej lecz nie anty-rosyjskiej. Lecz nikt nigdy nie przekona Rosjan, że oficjalna ideologia IV Reichu w granicach z 1937 r. jest do pogodzenia z wizją Europy, która nie byłaby anty-rosyjska.

Warunkiem wstępnym rekonstrukcji Europy, zjednoczenia Niemiec i zmiany statusu państw Europy wschodniej jest definitywne i formalne pogrzebanie ideologii IV Reichu. W moim przekonaniu to zadanie przekracza możliwości Francji. Niemcy ugną się jedynie przed zjednoczonym frontem państw zachodnich. Mówienie o „zdradzie Niemiec” przez ich obecnych sojuszników jest nonsensem. O zdradzie można by mówić tylko wówczas gdyby Amerykanie i zachodnio-europejscy sojusznicy Federalnej Republiki zobowiązali się dopomóc Niemcom do restauracji IV Reichu. Lecz nie tylko nikt się nie zobowiązał, lecz *de facto* wszyscy owej restauracji są przeciwni. Owo nie solidaryzowanie się z rewizjonizmem niemieckim jeżeli ma mieć wartość w ocenie krajów Europy wschodniej, musi być sformalizowane.

Jeżeli tego nie dokonamy wszystkie projekty rekonstrukcji Europy zawisną w próżni. Przyszli historycy odnotują, że wygraliśmy wojnę przeciwko Niemcom lecz dzięki Niemcom przegraliśmy pokój w Europie.

ZJEDNOCZENIE NIEMIEC I EUROPY A POLSKA

Czytelnicy, którzy interesują się piłką nożną wiedzą, że drużyny piłkarskie należą do różnych lig. Przejście z jednej ligi do drugiej wymaga pewnej ilości zwycięskich spotkań.

W porównaniu z obu super-mocarstwami, tj. Stanami Zjednoczonymi i Związkiem Sowieckim — wszystkie państwa europejskie należą do „drugiej ligi”. W dawnych czasach państwo „drugiej ligi” miało możliwości wejścia do „pierwszej ligi”. Najczęściej odbywało się to na drodze „zwycięskich spotkań” jak w piłce nożnej. Niemcy po-wersalskie z samego dna tabeli ligowej przedzierzgnęły się z czasem w championa „pierwszej ligi”.

System nie był idealny — wiemy to dobrze z bolesnych doświadczeń. Lecz dziś nie ma w ogóle żadnego systemu gry.

Jest naiwnością przypuszczać, że można zamrozić historię i utrwalić podział Europy.

Gdyby nie było NRD — pozycja Gomułki byłaby nieporównanie silniejsza niż jest dzisiaj. Niemcy zjednoczone po Odrę i Nysę byłyby również państwem „drugiej ligi” natomiast w Europie nie istniałaby tzw. „kwestia niemiecka”. Amerykanie i Rosjanie narzuciliby Niemcom uznanie obecnej granicy polsko-niemieckiej a Europę wschodnią odpisaliby na straty. Nikt by już więcej nie mówił o podziale Europy a „żelazna kurtyna” byłaby nowym wydaniem carskiej granicy. Zachodnim Europejczykom owa granica wydawała się dziwna i egzotyczna lecz ją akceptowali.

Podział Europy oznacza podział Niemiec. W tej sprawie nie należy mieć żadnych złudzeń. Z naszego punktu widzenia jest korzystne, że przywódcy sowieccy odrzucają wszystkie koncepcje czysto niemieckiego rozwiązania. Przesunięcie bowiem „żelaznej

kurtyny" na granicę Odry i Nysy utrwaliłoby ją — być może — na dziesiątki lat.

Marksieści stale głoszą, że oni jedni odczytują właściwie procesy historyczne. Gdyby tak było, Gomułka i jego doradcy musieliby uznać za pewnik, że wcześniej czy później Niemcy zostaną zjednoczone. Podziału Niemiec na dalszą metę nie da się utrzymać i wskutek tego polityki opierającej się na podziale Niemiec nie da się również utrzymać. W rzeczywistości w ramach polityki podziału Europy nie można skutecznie walczyć ani o międzynarodowe uznanie granicy na Odrze i Nysie, ani nie można wypracować systemu zabezpieczającego nas przed Niemcami.

Gomułka stwierdził, że skoro obecnie Niemcy nie uznają granicy na Odrze i Nysie — zjednoczone Niemcy tym bardziej by jej nie uznały. Skoro obecne, podzielone Niemcy są militarystyczne — zjednoczone Niemcy byłyby jeszcze bardziej militarystyczne.

Tego typu stopniowanie doprowadziłoby nas do planu Morgenthau'a, który przed dwudziestu laty proponował przemianę Niemiec w kraj pastwisk i mleczarń. Można było również rozparcelować Niemcy na trzy lub cztery państewka. Lecz dziś na tego typu plany i inicjatywy jest za późno.

Ostatnie 50 lat historii europejskiej stanowią rejestr prób akomodacji Niemiec w ramach Europy. W rezultacie, po upływie dwóch dekad od dnia zwycięstwa, które zakończyło drugą wojnę światową — nie w Azji lecz w Europie stoją na przeciwko sobie dwie armie dysponujące najstraszliwszymi broniąmi.

Nie będzie trwałego pokoju w Europie dopóki kwestia niemiecka nie zostanie rozwiązana i dopóki Niemcy nie zostaną włączone w nowy system zjednoczonej Europy.

Podstawowy błąd jaki w ocenie zagadnienia niemieckiego popełniają polscy dogmatycy komunistyczni — polega na identyfikacji interesów polskich i rosyjskich *vis-à-vis* Niemiec.

Rytuał jest ten sam lecz interesy są różne. Tak w Moskwie jak i w Warszawie mówi się w kółko o imperializmie, militarystyce i odrodzonej potędze Niemiec zachodnich. Tak w Moskwie jak i w Warszawie rozwiązanie kwestii niemieckiej ustawia się rytualnie w ulbrichtowskiej perspektywie. Lecz na tym analogie się kończą.

Rosja jest super-mocarstwem atomowym a Polska jest średniej wielkości państwem satelickim. Celem Sowietów nie jest de gaulle'owska Europa po Ural — tylko rozciągnięcie wpływów sowieckich aż po Atlantyk. Zbliżenie z Francją rozluźnia i tak już „rozwodnione” NATO lecz jest pozbawione praktycznego znaczenia.

Głównym i jedynym celem zainteresowań Rosji w Europie są

Niemcy. Gdyby Sowiety dobrowolnie wycofały się z NRD — spacyfikowałyby Europę. NATO zbankrutowałoby jako bezcelowa instytucja. Znikłyby wszystkie agencje, Free Europe, radiostacje — cały gigantyczny aparat zimno-wojenny zakwaterowany w Niemczech. Sowiety otrzymałyby wszystkie możliwe gwarancje dotyczące „od-atomizowania” Niemiec, a Europa wschodnia zostałaby ochoczo uznana za wieczyste lenno Rosji. Mężowie stanu i prasa zachodnia prześcigałaby się w sławieniu wielkodusznej pokojowości Rosji.

Dlaczego Rosjanie nie podejmują inicjatywy w powyższym kierunku? Wymienić należy trzy przyczyny: 1) Sytuacja ideologiczna nie sprzyja tego typu posunięciu, 2) NRD jest poważnym dostawcą przemysłowym, 3) Związek Sowiecki nie chce pozbyć się najistotniejszego atutu jakim dysponuje w grze o Europę.

Powtarzam jeszcze raz. Gdyby Rosja nie miała określonych planów w stosunku do Europy a chciała jedynie zabezpieczyć swe zdobycze — mogłaby „cesją” 17 milionów Niemców zalegalizować swe władztwo nad 100 milionami wschodnich Europejczyków.

Rosjanie zdają sobie sprawę, że dopóki „kwestia niemiecka” nie jest załatwiona — w Europie wszystko jest prowizorium. Jak wiadomo prowizoria wykazują czasem zdumiewającą trwałość. Dzieje się to wówczas, gdy toczy się walka o nowy system, który prowizorium miałby zastąpić.

Dalekofalowym celem Rosji jest porozumienie z Niemcami i wyparcie Amerykanów z kontynentu.

„Podwójna hegemonia” (Sowiety plus Stany Zjednoczone), podział państw według „klucza ligowego”, rosnący wpływ wydarzeń w Azji na politykę super-mocarstw w stosunku do Europy — wszystko to powoduje, że należy unikać operowania sztancami w rodzaju Rapallo, które należą do innego świata. Skojarzenia i analogie, które owe sztance ewokują utrudniają obiektywną analizę.

Związek Sowiecki potrzebuje pomocy wielkiego, wysoko uprzemysłowionego mocarstwa w celu „dośćnięcia Ameryki”. Zjednoczone Niemcy byłyby idealnym partnerem, który za cenę otwarcia rynków rosyjskich dopomógłby Związkowi Sowieckiemu w dokonaniu drugiej rewolucji przemysłowej.

Niemcy w przeciwieństwie do Amerykanów nie wysuwają nigdy żądań ideologicznych tylko terytorialne. Z chwilą gdy znaleziono by formułę umożliwiającą zjednoczenie obu niemieckich republik — nowe Niemcy z punktualnością i dokładnością wykonywałyby swe zobowiązania wynikające z umów i kontraktów

— nie domagając się od Moskwy ani liberalizacji ani dopuszczenia zachodnich książek, ani dyskusji w sprawach kulturalnych. I z tego punktu widzenia Niemcy byłyby również idealnym partnerem.

„Od-amerykanizowanie” Europy możliwe jest tylko poprzez porozumienie rosyjsko-niemieckie. Sojusz z Francją nie daje tych możliwości. Natomiast „oś” Berlin-Moskwa zapewniałaby kontynentowi pełną stabilizację. Byłoby to również rozwiązanie logiczne ponieważ hegemonię sprawowałyby dwa najpotężniejsze narody europejskie.

Po Monachium Hitler doszedł do wniosku, że jeżeli Europa ma być rządzona przez Europejczyków to tymi Europejczykami muszą być Niemcy. Od Stalingradu stało się oczywiste, że jeżeli Europa ma być rządzona wyłącznie przez Europejczyków — to tymi Europejczykami muszą być Rosjanie i Niemcy.

Zawsze i wszędzie rządzą najsilniejsi i przed tym faktem nie ma ucieczki. Gdyby Amerykanie pewnego dnia wynieśli się z Europy — w krótkim czasie doszłoby nie do wojny niemiecko-rosyjskiej, lecz do porozumienia niemiecko-rosyjskiego.

Hasło: „Europa dla Europejczyków” — jest hasłem antypolskim. W Europie rządzonej przez dwa najpotężniejsze narody europejskie tzn. Rosjan i Niemców, byłby, być może, ład i bogactwo lecz niepodległej Polski nie byłoby z całą pewnością.

Zarówno w mojej książce pt. „Ewolucjonizm” jak i w dziesiątkach artykułów — podkreślałem, że nasze stosunki z Rosją posiadają kardynalne znaczenie dla naszego losu i polityki. Nie zjednoczone Niemcy lecz Polska winna być czołowym partnerem Rosji.

Polityka bilateralna 2-gą Rzeczpospolitą doprowadziła do katastrofy. Satelictwo to jest bilateralizm doprowadzony do monopolitycznej perfekcji.

Gomułka i jego doradcy nie rozumieją, że obecność Amerykanów w Europie jest nieodzowna, by zapewnić nam możliwość osiągnięcia pozycji pełnoprawnego partnera Rosji. W Europie „europejskiej” bez Amerykanów partnerem Rosji Nr 1 będą Niemcy.

W wieku XIX-tym wszystko co działo się w Azji było determinowane polityką stolic europejskich. W drugiej połowie bieżącego stulecia — wydarzenia w Azji w coraz większym stopniu wpływają na politykę europejską. Być może o zjednoczeniu Niemiec przesądzi polityka Pekinu.

W kontekście europejskiej polityki Niemcy nie mają żadnych możliwości nacisku w stosunku do Sowietów. Lecz należy odnotować pewne przemiany. W okresie pierwszej dekady powojennej

w Niemczech panowały nastroje pacyfistyczne. Dziś armia niemiecka jest 8-krotnie większa od armii brytyjskiej. Dulles i Adenauer dokonali re-militaryzacji Niemiec.

Niemcy są drugą po Ameryce gospodarczą potęgą świata Zachodu. Lecz w przeciwieństwie do Anglosasów, Niemcy nie umieją jeszcze potęgi przemysłowej przemieniać na efekty polityczne. Przyjdzie jednak moment, że i tego się nauczą.

Na terenie europejskim Niemcy w stosunku do Sowietów są bezsilni — lecz poprzez politykę azjatycką mogliby wywierać na Moskwę możny wpływ.

Chiny potrzebują obrabiarek, instalacji fabryk, nowoczesnej aparatury technologicznej, doradców i specjalistów od „cudów gospodarczych”. Niemcy mogłyby to wszystko zaofiarować Pekinowi w znacznie lepszej jakości niż Sowiety, bez jakichkolwiek ideologicznych komentarzy i konsekwencji. Chiny są wysoko-atutową kartą, którą Niemcy dysponują w grze z Rosją.

Rosjanie liczą, że Niemcy zachodnie z uwagi na Waszyngton — nie podejmą polityki zbliżenia z Chinami. Lecz ów system wzajemnej asekuracji gra tylko do czasu. Może przyjść chwila że Niemcy, rozczarowani „zjednoczeniową polityką” Zachodu, dadzą Moskwie do zrozumienia, że albo Kreml zmieni radykalnie swe stanowisko w sprawie zjednoczenia Niemiec albo Niemcy zmienią radykalnie swą politykę w stosunku do Chin.

Dla Rosji zbliżenie niemiecko-chińskie jest kombinacją polityczną innej kategorii niż sojusz amerykańsko-niemiecki. W tym miejscu dotykamy najsubtelniejszego problemu europejskiego. Dopóki Niemcy nie są sojusznikiem Rosji — Amerykanie w Europie są z punktu widzenia Moskwy nieodzowni jako kontrolerzy Niemiec. Kontrolerzy amerykańscy nie dopuszczają do pełnej atomowej emancypacji Niemiec, nie dopuszczają do zbliżenia Bonn z Pekinem, nie dopuszczają do demonstracji w Berlinie i td.

Ideałem rozwiązania problemu Europy byłoby doprowadzić do zjednoczenia Niemiec (bez czego nie może być zjednoczonej Europy) zatrzymując równocześnie na kontynencie Amerykanów jako sojuszników-kontrolerów zjednoczonych Niemiec. Alternatywą jest czysto europejska Europa, co w praktyce musiałoby oznaczać porozumienie rosyjsko-niemieckie z wszystkimi jego konsekwencjami.

W polityce i w historii nie ma cudów. Na dalszą metę w Europie możemy uniknąć hegemonii dwóch najpotężniejszych narodów europejskich, tj. Rosjan i Niemców, tylko wówczas, jeżeli powiedzie się nam wbudować na stałe Amerykę w system europejski.

Zjednoczenie Niemiec oraz trwałe włączenie Amerykanów

w system naszego kontynentu — to są dwa problemy, które zadecydują o losie Europy i Polski.

Zakończmy te rozważania wyodrębnieniem najistotniejszych punktów:

I. Niemcy wcześniej czy później zostaną zjednoczone. Kto myśli inaczej nie myśli historycznie. Zjednoczenie Niemiec może przynieść albo znaczną poprawę sytuacji polskiej — albo stać się grobem wszystkich naszych nadziei. Gdyby zjednoczenie nastąpiło w konsekwencji zbliżenia niemiecko-rosyjskiego — położenie Polski uległoby katastrofalnemu pogorszeniu.

II. Polacy — zarówno marksiści jak i nie marksiści — przywykli do lakmusowej analizy: białe albo czarne — nie rozumieją dialektyki „podwójnej hegemonii”. Rosjanie w Europie liturgicznie są anty-amerykańscy lecz w rzeczywistości w pełni oceniają funkcję czynnika amerykańskiego w obecnym układzie europejskim. Amerykanie są sojusznikami-kontrolerami Niemiec i Rosjanie zdają sobie doskonale sprawę, że Waszyngtonowi bardziej zależy na pokojowej koegzystencji z Rosją w Europie, niż na zjednaniu sobie Niemiec.

III. Ci wszyscy, którzy — jak piszący te słowa — są zwoleńnikami trwałego porozumienia polsko-rosyjskiego na rozsądnych warunkach — popełniają często kardynalny błąd identyfikując interesy Rosji w stosunku do Niemiec z analogicznymi interesami polskimi.

Rosjanie mają w stosunku do Niemiec alternatywę, której my nie mamy. Rosja jest tak potężnym mocarstwem, że kiedyś może się pokusić o zastąpienie w Niemczech kontrolerów amerykańskich kontrolerami rosyjskimi. Kontrolując Niemcy, Moskwa kontrolowałaby całą kontynentalną Europę. Oznaczałoby to pełną realizację sowieckiego planu atlantyckiego. Oczywiście dla Niemców zmiana kontrolerów musiałaby oznaczać wydatne zyski terytorialne, być może z rewizją granicy na Odrze i Nysie włącznie. (Kto mógłby wówczas mieć pretensje do Rosji? To tylko Polacy uważają, że naczelnym obowiązkiem amerykańskich czy brytyjskich mężów stanu jest dbać o polskie interesy. Po śmierci Churchilla wszystkie artykuły w prasie emigracyjnej były napisane wyłącznie pod tym kątem widzenia. Rosjanie są w pełni uprawnieni by dążyć do takiego rozwiązania problemu Europy, które by zaspakajało w pierwszej linii rosyjskie a nie polskie interesy).

IV. Zjednoczenie Niemiec leży w polskim interesie pod warunkiem, że oznaczać będzie zjednoczenie Europy bez zmiany systemu „kontrolerów”. Innymi słowy zjednoczone Niemcy muszą być albo neutralne albo pozostać sojusznikiem Stanów Zjednoczonych. Zjednoczenie Europy nie może oznaczać likwidacji systemu równowagi rosyjsko-amerykańskiej tylko przeciwnie, pełne jej utrwalenie. Los Europy w ostatecznym rozrachunku zależy od współpracy dwóch peryferyjnych super-potęg, tj. Rosji i Ameryki. Ewolucyjna erozja „żelaznej kurtyny” w sensie ideologiczno-ustrojowym nie może wyrazić się w ewakuacji Amerykanów z kontynentu europejskiego. Ameryka niezbędna jest w Europie nie jako agencja anty-komunistyczna lecz jako atlantyckie mocarstwo, utrzymujące naturalną równowagę sił. Bez Amerykanów równowaga zostałaby zastąpiona przewagą czyli hegemonią.

V. Dialektyka „podwójnej hegemonii” — w sensie ideologicznym zawsze konfliktowa — w sensie politycznym na pewnych odcinkach światowego frontu działa konstruktywnie. Ponieważ tak w Moskwie jak i w Waszyngtonie obowiązuje liturgia ideologiczna — Polakom komunistom i nie komunistom nie zawsze przychodzi łatwo odróżnić plewy propagandy od ziarn polityki.

W naszej sytuacji pro-rosyjskość nie może oznaczać anty-amerykańskości, ponieważ tylko Amerykanie są w możności stworzyć warunki (w Europie) dla racjonalnej polskiej pro-rosyjskiej orientacji. To może się wydać paradoksem tylko tym, którzy nie rozumieją mechaniki „podwójnej hegemonii” — będącej — należy to podkreślić — instytucją bez precedensu w historii świata. Ameryka musi kontrolować Niemców, by Polska miała szansę zdobycia statusu pełnoprawnego partnera Rosji.

VI. Od konferencji w Monachium Europa jest niezdolna do wytworzenia czysto europejskiego systemu „równowagi sił”.

Przez zjednoczenie Europy należy rozumieć: a) zjednoczenie dwóch republik niemieckich, b) zniesienie „żelaznej kurtyny”, c) utrwalenie europejskiego systemu *balance of power* pomiędzy Rosją a Stanami Zjednoczonymi.

Przez zniesienie „żelaznej kurtyny” nie należy rozumieć wygaśnięcia ideologicznego konfliktu, co jest mrzonką — lecz odrzucenie przez obie strony postaw dogmatyczno-likwidatorskich.

Przez zjednoczenie Europy nie należy rozumieć uniformizmu w sensie ustrojowo-ideologicznym lecz współpracę państw o różnych ustrojach i ideologiach. Konflikt jest elementem twórczym pod warunkiem, że przez konflikt obie strony rozumieją współzawodnictwo a nie likwidację przeciwnika.

VII. Zjednoczona Europa jeżeli ma uniknąć hegemonii jednego mocarstwa — względnie hegemonii dwóch najsilniejszych narodów europejskich — musi pozostać na stałe domeną aktywnych wpływów zarówno rosyjskich jak i amerykańskich.

Europa zunifikowana ustrojowo i kulturalnie — poddana jednolitej politycznej hegemonii — straciłaby swój charakter pola starcia ideologii i cywilizacji i przestałaby być Europą w przeciągu 20-tu lat.

NIEMCY — MIĘDZY ROSJĄ A AMERYKĄ

Siłą Polski bywała zawsze słabość jej sąsiadów. Cesarskie Niemcy pobite, carska Rosja w stanie rozkładu — oto sytuacja wyśniona przez wieszczów.

Na daleką metę jestem optymistą. W moim przekonaniu zarówno Niemcy jak i Rosja minęły swój „szczyt imperialny”.

W roku 1939 — w 20 lat po klęsce — Niemcy z entuzjazmem i zapałem podejmowały nową wojnę światową. Dziś pomimo, że również upłynęło już 20 lat od klęski — nie byłoby możliwe zmobilizować Niemców na wzór roku 1939. W znacznej mierze jest to kwestia biologii. Wydaje mi się, że zarówno Niemcy jak i Rosjanie pod koniec drugiej wojny światowej osiągnęli punkt biologicznego wyczerpania, do którego Francuzi dotarli już pod koniec pierwszej wojny światowej.

Przyrost naturalny wyrównuje straty w materiale ludzkim lecz zmiany w psychice i zbiorowej postawie narodu wywołane szokiem katastrofalnego upływu krwi — pozostają na długo a czasem na zawsze.

Dodatkowym czynnikiem są bronie atomowe. Rosjanie, Niemcy, Francuzi czy Belgowie zdają sobie sprawę, że w Europie nie ma miejsca na Wietnam. Wojna europejska byłaby wojną światową i nuklearną. Świat może by tę wojnę przeżył lecz nie Europa. W porównaniu z Azją czy z obu Amerykami stowimy mały stosunkowo obszar o największym na świecie zagęszczeniu ludności i przemysłu. Europejczycy nie muszą studiować statystyk — fakty tej kategorii zapadają w zbiorową świadomość i kształtują postawy społeczno-polityczne.

Nie oznacza to bynajmniej, że *status quo* w Europie uległ zamrożeniu. Gdyby za 5 czy za 10 lat doszło do porozumienia niemiecko-sowieckiego — Rosjanie i Niemcy byłiby władni ode-

brać nam ziemie zachodnie „środkami pokojowymi”. Opór Polski byłby zlikwidowany „konwencjonalnie” w przeciągu kilku tygodni.

Wybrałem ten przykład, by uświadomić Czytelnikowi fakt, że w Europie tylko Rosjanie poprzez lokalne porozumienia są w możności przeprowadzać terytorialne zmiany bez uciekania się do wojny. Amerykanie „metodami konwencjonalnymi” nie mogą w Europie zmienić niczego, a użycie siły groziłoby konfliktem z Sowietami. Natomiast Moskwa w porozumieniu z Niemcami może oderwać kawałek polskiego terytorium — w porozumieniu z Budapesztem Rosjanie mogą przeprowadzić korekturę granicy rumuńsko-węgierskiej na korzyść Węgier i td. Rumuni stawiliby opór — lecz ani Ameryka, ani żadne państwo zachodnio-europejskie nie zaoferowałyby im pomocy. Rosjanie mogą wreszcie za-inscenizować zjednoczenie Niemiec na warunkach i w momencie przez siebie wybranym.

Powyższe przykłady nie wyczerpują listy sowieckich możliwości — ilustrują natomiast tezę, że Moskwa może podejmować inicjatywy „środkami pokojowymi”, które są poza zasięgiem możliwości Stanów Zjednoczonych.

W mojej opinii omylnego człowieka wojna nam nie zagraża. Lecz jak wspomniałem powyżej — część ziem zachodnich czy kawałek wybrzeża morskiego możemy stracić bez wojny. Stałoby się to wówczas gdyby doszło do porozumienia rosyjsko-niemieckiego. W chwili obecnej zbliżenie pomiędzy Bonn i Moskwą — wydaje się jeszcze mniej prawdopodobne niż wojna. Należy jednak pamiętać, że kwestia niemiecka jest jeszcze ciągle nieuregulowana i wskutek tego wszystko jest możliwe.

Wielu Polaków hołduje pogładowi, że w ogóle nie ma „kwestii niemieckiej” — ponieważ w naszym interesie leży utrzymanie dotychczasowego podziału Niemiec. Utrzymanie podziału Niemiec leżałoby również w interesie Francji. Prez. de Gaulle zdaje sobie jednak sprawę, że na dalszą metę podziału Niemiec nie da się utrzymać. Francuzi sądzą, że w sprzyjającej chwili będzie można wymusić na rządzie niemieckim uznanie granicy na Odrze i Nysie w zamian za zjednoczenie. Żaden rząd zachodnio-niemiecki nie zgodzi się jednak nigdy z przepołowionym Berlinem i z utratą 108,000 kilometrów kwadratowych rdzennie niemieckiej ziemi zamieszkałej przez 17 milionów Niemców. Być może w polskim interesie leżałaby emigracja wszystkich Niemców na biegun północny lecz to jest równie nieprawdopodobne jak wieczyste utrwalenie podziału Niemiec.

Realnie myślący polski polityk musi się liczyć z faktem, że

kiedyś dojdzie do zjednoczenia Niemiec. Podstawowe pytanie w tej sprawie nie brzmi: „czy?” — tylko „kiedy i jak?”.

Nasza wroga postawa w stosunku do naszych obu potężnych sąsiadów przynosiła w rezultacie porozumienie niemiecko-rosyjskie. Sojusz z jednym z sąsiadów nie zabezpiecza nas automatycznie przed zaborczą koalicją. Gdyby Polska odzyskała swobodę ruchu i związała się sojuszem z Niemcami — w Moskwie uznano by to za prowokację. Rosjanie byłiby najgłębiej przekonani, że ostrze porozumienia polsko-niemieckiego jest wymierzone w Związek Sowiecki. Wówczas — chcąc rozbić sojusz polsko-niemiecki — Rosjanie, idąc po tradycyjnych liniach, zaoferowaliby Niemcom porozumienie kosztem Polski. Nawet przyjmując, że jesteśmy w pełni niepodlegli — trudno wyobrazić sobie sytuację w której Polska mogłaby bezpiecznie zawrzeć sojusz z Niemcami. Byłoby to tylko możliwe w rozszerzonym Pakcie Warszawskim, który obejmowałby komunistyczne zjednoczone Niemcy. Lecz nie licznym zwolennikom „orientacji niemieckiej” taki układ sytuacji zapewne by nie odpowiadał.

Jestem jak najdalej od zoologicznego anty-germanizmu. Patrząc z obrzydzeniem na kampanię pewnych pism emigracyjnych, które w stosunku do Niemiec zachowują się identycznie jak osławiony McCarthy w stosunku do komunistów. W ocenie tych panów udział w zjeździe naukowym na terenie NRF jest pro-niemieckim *fellowtraveller*'stwem, przyjęcie u siebie w domu dziennikarza niemieckiego — „zdradą stanu” i td., i td.

Nie musi się być nastrojonym anty-niemiecko czy pro-rosyjsko — by obiektywnie stwierdzić, że naczelnym wymogiem polskiej racji stanu jest unikanie posunięć czy inicjatyw, które w konsekwencji mogłyby spowodować czy ułatwić zbliżenie rosyjsko-niemieckie. Pod tym kątem widzenia musimy również oceniać rozwój sytuacji międzynarodowej.

Polacy zagraniczni — w znacznym procencie — każde pogorszenie w stosunkach rosyjsko-amerykańskich witają z niekłamanym entuzjazmem jako zwycięstwo „sprawy polskiej”. W tym wypadku — jak zwykle u nas — emocje biorą górę nad chłodną kalkulacją polityczną.

Co powinni zrobić Amerykanie by doprowadzić do całkowitego bankructwa polityki koegzystencji i pozyskać poklask znacznego odłamu Polaków zagranicznych?

W pierwszej linii należałoby „upełnoletnić” Niemców w dziedzinie atomowej. Wojna w Wietnamie nie doprowadziła ani nie doprowadzi do załamania się polityki koegzystencji. Natomiast wyposażenie Niemców w broń atomową z całą pewnością

przyniosłoby zamierzony efekt. Amerykańsko-rosyjska *détente* dobiegłaby kresu.

Rosja nie może być w stanie „potencjalnej wojny” z Chinami, ze Stanami Zjednoczonymi i z atomowymi Niemcami. Nie może mieć trzech czołowych potęg świata przeciwko sobie. Oznaczałoby to bowiem klasyczne okrążenie, którego Rosjanie boją się panicznie. Najbardziej logicznym posunięciem w takiej sytuacji byłoby wyrównanie sporu pomiędzy Moskwą a Pekinem. Jednak w życiu i w polityce nie wszystko co logiczne bywa możliwe. Skłonny jestem przypuszczać, że Chińczycy wykorzystując izolację i upokorzenie Rosji — podnieśli by natychmiast cenę pojednania. Od Rosji, która poniosła klęskę na polu polityki międzynarodowej, Pekin domagałby się bezwarunkowej kapitulacji ideologiczno-politycznej.

Niemiecka technologia atomowa dla celów pokojowych jest wysoko zaawansowana. Niemieccy specjaliści dokonali w tej dziedzinie wielu odkryć i ulepszeń, którymi ostatnio zainteresowali się Brytyjczycy. Były szpieg sowiecki i wybitny fizyk atomowy Dr Fuchs — oskarżył Niemcy zachodnie o fabrykowanie w tajemnicy bomb atomowych. Oskarżenie jest bezpodstawne lecz charakterystyczne.

Niemcy stanowią „węzeł gordyjski” w stosunkach amerykańsko-sowieckich. W zagadnieniu niemieckim splatają się interesy trzech potężnych narodów: Amerykanów, Niemców i Rosjan.

Rozpatrzmy powyższy problem z owych trzech perspektyw.

I. *Waszyngton*: Jeżeli Amerykanie pragną utrzymać politykę koegzystencji i doprowadzić z czasem do układu zarówno ograniczającego zbrojenia atomowe jak i zapobiegającego rozszerzaniu się „zarazy atomowej” w innych państwach — nie mogą równocześnie ulegalizować niemieckiego palca na cynglu dyskutowanych nuklearnych sił NATO.

Rosja nie jest już dziś dynamicznym eksporterem rewolucji. W mojej opinii Amerykanom opłaciłoby się zrezygnować trwale z atomowego zbrojenia Niemiec w zamian za milczącą zgodę Rosji na całkowite zlikwidowanie eksportu ideologicznego. Tego rodzaju milczący układ pomiędzy Waszyngtonem a Rosją nie tylko pogłębiłby rozdźwięk sowiecko-chiński lecz z czasem doprowadził do całkowitego zerwania Pekinu z Moskwą. Co innego jest policentryzm — a co innego jeszcze są dwa zwalczające się obozy komunistyczne. W interesie Ameryki leży udaremnienie wyrównania stosunków między Chinami a Rosją — obojętne na tych warunkach.

Ułożenie Europy włącznie z problemem Niemiec i Europy

wschodniej — możliwe jest wyłącznie w ramach polityki odprężenia pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Rosja musi zerwać z Chinami tak na zewnątrz jak i na wewnątrz i zbliżyć się do Europy. Obumieranie stalinizmu w Związku Sowieckim będzie procesem powolnym i w znacznej mierze uzależnionym od sytuacji międzynarodowej. Wywianowanie Niemiec w bronie atomowe w jakiejkolwiek formie — przekreśliłoby wszystkie nadzieje związane z ewolucją w Związku Sowieckim. Bankructwo polityki koegzystencji wyraziłoby się renesansem stalinizmu i załamaniem się wiary w pokojowość celów polityki Stanów Zjednoczonych.

Polityka koegzystencji — w rozumieniu sowieckim nie oznacza ideologiczno-politycznej kapitulacji. Przywódcy sowieccy — w przeciwieństwie do Chińczyków — głoszą natomiast, że sprawie rewolucji należy służyć metodami pokojowego współzawodnictwa. Oczywiście przywódcy sowieccy zakładają, że Stany Zjednoczone — choć z definicji marksistowskiej kapitalistyczne i imperialistyczne — nie dążą do konfliktu zbrojnego lecz, podobnie jak Rosja, podpisują się pod strategią pokojową.

Rosja ograniczyła swą aktywność w Wietnamie do „ratującego twarz” minimum i starała się wbrew Pekinowi doprowadzić do pokojowego zakończenia wojny ponieważ w Moskwie zdawało sobie sprawę, że eksport broni i rewolucji do Wietnamu na wielką skalę wzmocni niesłychanie pozycję tych kół w Waszyngtonie, które opowiadają się za ulegalizowaniem niemieckiego palca na cynglu projektowanych atomowych sił NATO.

Rosja miała rozmaite możliwości zwalczania amerykańskiej „imperialistycznej” inwazji w Wietnamie. Moskwa dysponuje jedną z najpotężniejszych flot podwodnych świata. Zatopienie kilku amerykańskich transportów dla sowieckich łodzi podwodnych nie przedstawiałoby wielkich trudności. W Waszyngtonie podejrzewano by oczywiście Sowiety lecz udowodnić im napaści nie byłoby łatwo. Amerykanie musieliby się zadowolić stwierdzeniem, że niezidentyfikowane statki podwodne zatopiły taki czy inny amerykański transport.

Podjęcie jednak tego typu strategii pomogłoby nie tylko rewolucji w Wietnamie lecz również dopomogłoby walnie pro-niemieckim kołom w Waszyngtonie.

W sumie należy obiektywnie stwierdzić, że w perspektywie interesów Stanów Zjednoczonych koegzystująca Rosja jest czynnikiem istotniejszym niż nuklearne Niemcy. Jeżeli ceną polityki koegzystencji jest utrzymanie atomowego *status quo* w Europie — należy tę cenę zapłacić.

II. Bonn: Powierzchnia Niemiec zachodnich wynosi 248,000

kilometrów kwadratowych — powierzchnia Związku Sowieckiego 22.404.000 km. kw. W wojnie atomowej przestrzeń jest czynnikiem decydującym. Niemcy zachodnie nie miałyby żadnej szansy przetrwania wojny nuklearnej z Związkiem Sowieckim nawet wówczas, gdyby same dysponowały potężnym potencjałem atomowym.

Niemcy nie myślą o wojnie atomowej lecz o przetargu. W rozmowach z dziennikarzami niemieckimi, którzy mnie odwiedzali, zadawałem zawsze pytanie: „Po co wam bronie atomowe?”

W większości wypadków strona niemiecka wysuwa kwestię statusu i „sojuszniczego równo-uprawnienia”. Lecz jeden z moich rozmówców ujął sprawę jasno: „nie można sprzedać tego, czego się nie ma”. Trudno odmówić logiki temu stwierdzeniu.

W Bonn zdają sobie sprawę, że w gruncie rzeczy nikt nie jest zainteresowany sprawą zjednoczenia Niemiec. Nawet Amerykanie — z wyłączeniem „lobby pro-niemieckiej” — na dnie duszy sądzą, że Niemcy podzielone są mniej kłopotliwym sojusznikiem niż byłyby Niemcy zjednoczone.

Uznanie przez rząd w Bonn granicy na Odrze i Nysie przyczyniłoby się niewątpliwie do odprężenia sytuacji. Politycy niemieccy przeceniają jednak wartość przetargową tego typu aktu. Dla Rosjan uznanie przez rząd w Bonn granicy nadodrzańskiej nie reprezentuje żadnego konkretnego zysku. Niemcy w tym wypadku chcą sprzedać to, czego od dawna nie mają. W kwestii zjednoczenia Niemcy mogą liczyć w pewnej mierze na Francję i na pewne koła w Ameryce — lecz w sprawie rewindykacji ziem nad Odrą i Nysą w obecnym układzie międzynarodowym nie znajdują sprzymierzeńca na całym świecie.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie jest *warunkiem* a nie *atutem*. Niemcy nie zdali sobie jeszcze w pełni z tego sprawy. Podstawowym warunkiem zjednoczenia będzie uznanie przez rząd niemiecki obecnej zachodniej granicy Polski. Bez spełnienia tego warunku do zjednoczenia nigdy nie dojdzie. Jeżeli ktoś chce nabyć dom, to legalnych warunków, które musi zaspokoić — nie może prezentować jako przetargowego atutu. Jeżeli Niemcy nie zechcą uznać granicy na Odrze i Nysie — będą musieli zrezygnować ze zjednoczenia.

Z punktu widzenia Bonn za ideał koniunktury uznać by należało sytuację, w której zarówno Ameryka jak i Rosja konkurowałyby z sobą o względy Niemiec. Atomowy czy semi-atomowy status Federalnej Republiki otwierałby drogę do takiej sytuacji. Niemcy zachodnie miałyby wówczas coś konkretnego do sprzedania.

Obiektywnie należy jednak stwierdzić, że wzmacnianie prze-

targowej pozycji Niemiec nie leży w interesie ani Stanów Zjednoczonych ani Europy zachodniej. Gdyby bowiem doszło kiedyś do rozgrywki między Wschodem a Zachodem w sprawie Niemiec — oferty Rosji nikt nie przeliczytuje.

Na Zachodzie przyjmujemy za absolutny pewnik, że Niemcy pozostaną na wieki najlojalniejszym sojusznikiem Ameryki i europejską podporą Białego Domu. W mojej opinii Francuzi mogą reklamować politykę zbliżenia z Moskwą — wystrzelić w przestrzeń francusko-sowieckiego sputnika — organizować wymianę kulturalną i tp. — lecz nigdy nie odwrócą swych sojuszków. Jeżeli w obozie zachodnim istnieje jeden tylko potencjalny kandydat w tej dziedzinie — to tym kandydatem są wyłącznie Niemcy. W powyższej opinii nie ma niczego ubliżającego w stosunku do Niemiec. Dopóki hołdujemy pogładowi, że polityka państwowa ma za cel służyć interesom narodowym — uznać musimy, że sojusze nie są ślubami zakonnymi, tylko instrumentami polityki państwowej.

Amerykanie nie mogą dać Niemcom niczego poza bezpieczeństwem. Nie mogą nawet zwrócić im drugiej połowy Berlina. Rosja natomiast posiada wszystko o czym Niemcy marzą — od Bramy Brandenburskiej po Królewiec.

III. *Moskwa*: Wyobraźmy sobie dla przykładu, że w Białym Domu rezyduje nie prez. Johnson lecz polityk klasycznie prawicowy i zoologicznie antykomunistyczny. W konsekwencji NATO zostaje wyposażone w własny potężny „odstraszak” atomowy a Niemcom Waszyngton wyznacza czołową pozycję w sztabie sił nuklearnych Europy.

Rosjanie pokojowości Ameryki nie mierzą kampanią w Wietnamie czy gdziekolwiek indziej — tylko stosunkiem Waszyngtonu do Niemiec. Dopuszczenie Niemców w takiej czy innej formie do broni atomowych — w Moskwie nie zostałoby odczytane jako manewr mający wzmocnić pozycję przetargową Bonn. W Moskwie uznano by, że polityka koegzystencji została jednostronnie wypowiedziana przez Amerykanów i że należy z tego wyciągnąć konsekwencje.

Rosja miałaby zapewnione solidarne poparcie wszystkich państw wschodnio-europejskich, które — podobnie jak Moskwa — intencje polityki Stanów Zjednoczonych mierzą stosunkiem Waszyngtonu do Bonn.

Rosjanie i wschodnio-Europejczycy myślą kategoriami „satelickimi”. W tej perspektywie hegemonem i kontrolerem Niemiec jest Ameryka — odpowiedzialna za każdy ich krok. „Bundeswehr” nie podejmie żadnej inicjatywy bez zgody Waszyngtonu

— tak jak „marszałek” Spychalski nie podejmie żadnej inicjatywy bez zgody Moskwy. W tym sensie wschodnio-Europejczycy z Rosjanami włącznie za „gwaranta” bezpieczeństwa w Europie uważają Stany Zjednoczone. W ocenie Moskwy istotą polityki koegzystencji jest bezpieczeństwo. Z kolei podstawowym warunkiem bezpieczeństwa — w opinii Rosji i wschodniej Europy — jest odcięcie Niemiec od broni atomowych.

Z powyższą analizą można się zgadzać lub nie — lecz na podstawie wieloletniej lektury i rozmów z ludźmi zza „żelaznej kurtyny” — stwierdzić mogę, że to jest pogląd powszechny.

Oficjalnie Niemcy nie wyrzekają się utraconych terytoriów i równocześnie coraz natarczywiej domagają się prawa współuczestniczenia w zachodniej strategii atomowej. Trudno wymagać w takiej sytuacji od Rosji, która straciła w najeździe hitlerowskim 20 milionów ludzi — by dawała wiarę zapewnieniom, że w realizacji swych planów Niemcy nie użyją siły.

Niemcy nie grzeszyli nigdy nadmiarem wyobraźni i dlatego trudno przychodzi im pojąć, że w sprawie atomowej nie chodzi o dyskryminację na wzór wersalski. Federalnej Republiki nie można porównać ani z Francją ani z Anglią, tzn. z państwami europejskimi, które osiągnęły status atomowy. Ani Francja ani Anglia nie zgłaszają pod niczym adresem terytorialnych pretensji. Przeciwnie, oba cytowane mocarstwa pogodziły się z olbrzymimi stratami terytorialnymi.

Atomowe aspiracje Niemiec nie budziłyby tak powszechnego sprzeciwu — gdyby rząd w Bonn uznał granicę na Odrze i Nysie i odciął się od polityki rewizjonizmu. Niemcy ponoszą odpowiedzialność za wybuch dwóch wojen światowych — odpowiadają za hitleryzm i obozy zagłady — i w oparciu o taką przeszłość wysuwają dziś ponownie żądania terytorialne, domagając się równocześnie równouprawnienia atomowego. Na terenie Stanów Zjednoczonych nie było Oświęcimów i Amerykanie w wojnie z Niemcami ponieśli minimalne straty. Toteż ich pamięć w tej sprawie jest krótsza od pamięci Rosjan i Polaków.

Według opinii rzeczoznawców zachodnich Niemcy, przy obecnym stanie swojej technologii, w obrębie trzech lat mogłyby podjąć produkcję broni atomowych na poważną skalę. Napór Niemiec w tej sprawie będzie niewątpliwie wzrastał. Najbliższe lata będą decydujące.

Załóżmy dla przykładu, że Niemcy — podobnie jak w przeszłości — powoli wyzwalają się z wszystkich ograniczeń i z drugiej potęgi gospodarczej Zachodu przekształcają się w mocarstwo atomowe i głównego sojusznika Stanów Zjednoczonych.

Pewni obserwatorzy sądzą, że bronie atomowe w rękach

Niemców stanowiłyby *casus belli*. Dla ścisłości należy dodać, że Niemcy mają broń atomową w swoich rękach, tzn. na pokładach niemieckich samolotów. Samoloty niemieckie z pociskami o głowicach atomowych strzeżone są dzień i noc przez żołnierzy amerykańskich, nie niemieckich. Lecz gdyby nawet Niemcy obezwładnili strażników amerykańskich nie staliby się dysponentami broni atomowej. Wszystkie amerykańskie głowice atomowe na terenie Europy mogą być zdetonowane *wyłącznie* sygnałem elektronowym z naczelnego dowództwa amerykańskich sił zbrojnych.

Powyższy przykład ilustruje rolę Amerykanów jako kontrolerów sojusznika niemieckiego. Suwerenność atomowa Federalnej Republiki musiałaby oznaczać niezależne broń atomową na wzór francuski.

Jeżeli nie dojdzie do międzynarodowego układu, który by zamrażał atomowy *status quo* — coraz trudniej będzie odmawiać Niemcom suwerenności atomowej. Tym bardziej, że jeżeli nie dojdzie do cytowanego układu — z każdym rokiem przybywać będzie państw atomowych.

Atomowa emancypacja Niemiec oznaczałaby — z punktu widzenia Moskwy — bankructwo polityki koegzystencji, której treścią jest bezpieczeństwo. Niemiecka niezależna broń atomowa czy też ulegalizowanie niemieckiego palca na cynglu nuklearnych sił NATO — uniemożliwiłoby Amerykanom — w opinii sowieckiej — pełnienie funkcji kontrolera Niemiec. W takiej sytuacji Niemcy byłyby władne wciągnąć Stany Zjednoczone do wojny nawet wbrew woli Waszyngtonu.

Zmianie uległby nie stosunek Moskwy do Bonn tylko stosunek Moskwy do Waszyngtonu. Przywódcy sowieccy uznaliby, że w sprawie bezpieczeństwa i pokoju nie można ufać Stanom Zjednoczonym, ponieważ polityka Waszyngtonu zależy od sojusznika nad którym Amerykanie nie sprawują już pełnej kontroli.

Powyższy punkt jest ważny ponieważ prawdopodobnie zdecydowałby o re-orientacji polityki sowieckiej. Dążenie do poprawy stosunków z Ameryką — przywódcą sowieckim wydawałoby się bezcelowe, ponieważ nie zapewniałoby już dłużej bezpieczeństwa. Poza tym przekształcenie Niemiec w mocarstwo atomowe oceniono by w Moskwie jako jedną z manifestacji odwrotu Stanów Zjednoczonych z drogi pokojowej koegzystencji na skutek radykalnych przemian politycznych w Ameryce.

Rosja w takim układzie nie miałaby ani pola manewru ani wyboru. Chiny triumfowałyby, ponieważ piętnowana przez Pekin polityka koegzystencji leżałaby w gruzach. Stany Zjednoczone przestałyby być współpartnerem gwarantującym dotychczasowy

system bezpieczeństwa w Europie. Związek Sowiecki nie miałby *de facto* innego wyjścia jak podjąć bezpośrednio rozmowy z Bonn.

Nikt nie może przewidzieć jaki byłby wynik zbliżenia sowiecko-niemieckiego i spekulacje na ten temat nie są przedmiotem niniejszych rozważań. Chciałem tylko uwypuklić tezę, że każda polityka prowokująca zbliżenie sowiecko-niemieckie jest złą polityką, zarówno w perspektywie polskiej jak amerykańskiej i europejskiej. To jest jeden z punktów w którym interesy polskie pokrywają się bez reszty z interesami amerykańskimi.

Z powyższych przyczyn w polskim interesie leży trwałe odprężenie pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą. Partnerem Związku Sowieckiego w Europie będą albo Niemcy albo Ameryka. Mając możliwość wyboru — Rosjanie zawsze wybiorą Amerykanów.



Anglosasi z małymi wyjątkami nie doceniają „historycznego kompleksu lęku” który jest wykorzystywany przez kierownictwa wschodnio-europejskich partii komunistycznych. Niemniej ów kompleks jest zjawiskiem realnym. Zneutralizować ów kompleks mogą tylko Amerykanie a nie Niemcy.

Uznanie granicy na Odrze i Nysie przez rząd w Bonn powitane byłoby w Europie wschodniej z poczuciem głębokiego zadowolenia. Lecz gdyby w kilka miesięcy później doszło do ostrego kryzysu w stosunkach sowiecko-amerykańskich — wszystkie obawy odżyłyby na nowo.

Europa zachodnia musi pozostać w sferze wpływów amerykańskich — ponieważ Niemcy muszą pozostać w sferze wpływów amerykańskich. Problem niemiecki dojrzeje do rozwiązania wówczas gdy Rosjanie i narody wschodniej Europy umocnią się w przekonaniu, że Ameryce, w każdej sytuacji, bardziej zależy na dobrych stosunkach z Rosją i wschodnią Europą niż na zjedynowaniu sobie Niemiec poprzez uleganie ich żądaniom. Innymi słowy, Rosja, jeżeli zgodzi się kiedyś na zjednoczenie Niemiec, to tylko wówczas, gdy w Moskwie nikt nie będzie wątpił, że zjednoczone Niemcy będą w równej mierze kontrolowane przez Amerykanów jak Niemcy zachodnie. W konsekwencji, każde pogorszenie w stosunkach sowiecko-amerykańskich oddala perspektywę zjednoczenia Niemiec i kwestię międzynarodowego uznania granicy na Odrze i Nysie.

Europeizacja Rosji, ewolucja w europejskim bloku państw komunistycznych, wygaśnięcie antagonizmów narodowych i pretensji terytorialnych, stabilizacja gospodarcza a przede wszystkim budowa trwałego systemu bezpieczeństwa — wymagają zgodnej

współpracy dwóch peryferyjnych super-mocarstw tzn. Rosji i Stanów Zjednoczonych. Alternatywą jest czysto europejska Europa, która musiałaby być dominowana przez dwa najpotężniejsze narody europejskie to znaczy Rosjan i Niemców.

Oczywiście owa współpraca nie zależy wyłącznie od Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Rosja zamiast się europeizować — zacznie restaurować model stalinowski, jeżeli zamiast liberalizacji zacznie inscenizować pogromy pisarzy i powszechny ucisk — wówczas polityka koegzystencji na terenie Europy zawisnie w próżni, a każdej zniżce papierów sowieckich w Waszyngtonie odpowie proporcjonalna zwyżka papierów niemieckich. Rosjanie muszą zrozumieć, że spacyfikowanie ambicji niemieckich i ostateczne pokojowe rozwiązanie kwestii niemieckiej — możliwe jest tylko na drodze współpracy Moskwy z Waszyngtonem. Rosja może zaoferować Niemcom „zjednoczenie” — Ameryka może przekształcić Niemcy w mocarstwo atomowe. Lecz tylko Stany Zjednoczone i Rosja łącznie mogą kiedyś osadzić zjednoczone Niemcy w orbicie systemu europejskiego w ten sposób, by nie zagrażały nikomu i nie zgłaszały pretensji terytorialnych pod niczym adresem.

CZĘŚĆ CZWARTA

Najbardziej naturalnym i najłatwiejszym sposobem na osiągnięcie tego celu jest wywołanie rewolucji. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy.

Właśnie z tego powodu, że rewolucja jest konieczna, należy się jej spodziewać. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy.

Całkowicie nowy porządek świata, w którym wszyscy ludzie będą równi, nie może być osiągnięty bez rewolucji. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy.

Z tego powodu, że rewolucja jest konieczna, należy się jej spodziewać. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy.

Właśnie z tego powodu, że rewolucja jest konieczna, należy się jej spodziewać. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy.

Całkowicie nowy porządek świata, w którym wszyscy ludzie będą równi, nie może być osiągnięty bez rewolucji. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy. Rewolucja jest konieczna, aby zniszczyć dotychczasowy porządek i stworzyć nowy.

KOMUNIZM — NACJONALIZM — AFRO-AZJA

Nacjonalizm zasłużył sobie na nową definicję. Nie mieści się bowiem bez reszty ani w ujęciu wschodnim ani w zachodnim. Skłonny jestem przypuszczać, że w analizie i ocenie nacjonalizmu myślą się zarówno marksiści jak i anty-marksiści.

Witos w wydanych przez „Kulturę” pamiętnikach opisuje „cesarski lojalizm” chłopu galicyjskiego. Ów lojalizm był dziwną mieszaniną poczucia hierarchicznego autorytetu z budzącą się świadomością klasową. Chłop wierzył, że cesarz broni go przed wyzyskiem szlachty. Upadek Austrii, odbudowa niepodległej Polski — w umyśle chłopu kojarzyły się z niebezpieczeństwem powrotu pańszczyzny i wyzysku.

Galicyjski chłop nie stanowił wyjątku. W dziewiętnastowiecznej Europie nacjonalizm reprezentowali ludzie wykształceni, często zamożni i często uprzywilejowani. Patrząc na tego typu układ stosunków Marks doszedł do wniosku, że „robotnicy nie mają ojczyzny” a nacjonalizm w swej istocie jest zjawiskiem burżuazyjnym.

Z cesarzy i carów nie ma śladu, przebrnęliśmy przez dwie rewolucje przemysłowe — niemniej pogląd Marksa obowiązuje po dzień dzisiejszy. I co dziwniejsze obowiązuje przede wszystkim w świecie zachodnim.

Żadnego Amerykanina nikt nie przekona, że można być nacjonalistą wyrzekając się burżuazyjnego poglądu na świat i społeczeństwo. Marksisci nie są już pewni definicji mistrza lecz na Zachodzie nikt nie poddaje jej w wątpliwość. Pod tym względem jesteśmy lepszymi marksistami niż komuniści.

Gdyby nacjonalizm był formacją czysto burżuazyjną powinien był podzielić losy burżuazji. Nadzieje, że robotnicy „bez ojczyzny” po obaleniu rządów burżuazyjnych wytworzą system internacjo-

nalny — okazały się złudne i z gruntu fałszywe. Słowo „nacionalizm” kojarzy się nam z szowinizmem, ONR i tp.

Wskutek tego nacjonalizmowi przeciwstawia się patriotyzm. Każde ugrupowanie polityczne uważa, że posiada wyłączny monopol w tej sprawie. Żaden członek Stronnictwa Narodowego nie przyznałby szczypty patriotyzmu Bolesławowi Bierutowi a przecież pod pewnymi fragmentami jego przemówień mógłby się podpisać Dmowski.

W niniejszym szkicu przez „nacionalizm” rozumiem uświadomione poczucie więzi narodowej w najszerszym tego słowa znaczeniu.

To nie rewolucja przemysłowa — względnie nie tylko rewolucja przemysłowa przywróciła chłopów i robotników narodowi. Przede wszystkim unarodowił ich socjalizm. Socjalizm zlikwidował koncepcję „dwóch narodów” nie tylko w Anglii lecz w całej Europie. Twórcami polskiego patriotyzmu — w sensie upowszechnienia poczucia wspólnoty narodowej — są w nieporównanie większej mierze socjaliści niż endecy.

Trudno jest być patriotą będąc obywatelem drugiej klasy, ciemniejszym i wyzyskiwanym przez obywateli pierwszej klasy. W klasycznym burżuazyjnym społeczeństwie z podziałem na „dwa narody” — wyzyskiwaczy i wyzyskiwanych — nie może być solidarnej więzi ogólnie narodowej. Jeżeli chłop ma do wyboru Polskę z pańszczyzną i Austrię bez pańszczyzny — oczywiście opowie się za Austrią, tak jak to czynił w okresie młodości Witosa.

Marks wnioskował, że podstawą internacjonalizmu musi być wspólnota interesów. Hasło: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się” — odzwierciedlało przekonanie, że proletariusze na całym świecie nie mają niczego do stracenia prócz kajdan. Autor „Kapitału” nie przewidział natomiast, że wraz z utratą kajdan do grobu zejdzie również i internacjonalizm. Socjaliści, którzy rozkuili robotnika z kajdan — przemienili go nie w internacjonalistę bez ojczyzny lecz w narodowo uświadomionego obywatela.

Marzymy o Europie w której nie byłoby granic, paszportów, wiz, ograniczeń dewizowych. Współpraca międzynarodowa przybrała rozmiary niespotykane w przeszłości — lecz nacjonalizm nigdzie nie wymarł. Przeciwnie, pojawił się tam, gdzie go nigdy nie było a mianowicie w krajach, które nie miały własnej burżuazji. Okazuje się więc, że burżuazja nie jest wyłączną producentką nacjonalizmu.

Spójrzmy na interesujące nas zjawisko z perspektywy Moskwy. Dla marksisty — polityka jest procesem historycznym w akcji.

Głosząc, że „historia jest po ich stronie” komuniści pragną podkreślić że ich analiza współczesnej fazy rozwojowej jest prawidłowa i w konsekwencji polityka komunistyczna, oparta na tej analizie, jest również prawidłowa.

Dyktator X, który w swym kraju przeprowadził reformę rolną i stworzył bazę przemysłową — obiektywnie jest sojusznikiem komunizmu — choć subiektywnie może być jego przeciwnikiem. W analizie marksistowskiej punktem odniesienia jest zawsze kierunek rozwoju historycznego. W tym świetle likwidacja feudalizmu, budowa bazy przemysłowej i tp. — są obiektywnie zgodne z prawidłową linią rozwoju, bez względu na subiektywne poglądy danego przywódcy narodowego.

Analiza marksistowska traktowana krytycznie — w odniesieniu do nie-komunistycznego świata może badaczowi oddać pewne usługi. Dramat polega jednak na tym, że metoda marksistowska zawodzi całkowicie w odniesieniu do świata komunistycznego.

Rumuni nakładem znacznych kosztów przemundurowali swoją armię tylko w tym celu by zniweczyć podobieństwo w umundurowaniu rumuńskim i sowieckim. Przemianowali ulice miast, które nosiły nazwy rosyjsko brzmiące. To są reakcje emocjonalne warte jednak chwili zadumy.

Ekonomiści sowieccy planujący tzw. „Komekon” — wychodzili z poprawnego w sensie marksistowskim założenia, że przyspieszenie rozwoju gospodarczego w państwach członkowskich wymaga ponad-narodowego planowania i podziału zadań. Gdyby rządy państw satelickich składały się z autentycznych komunistycznych internacjonalistów — „Komekon” byłby dziś sprawnie funkcjonującą organizacją i z całą pewnością nie wyrzucano by nigdzie pieniędzy na zmianę sowieckiego modelu umundurowania.

Jedna z wielu wewnętrznych sprzeczności komunizmu polega na tym, że komunizm umacnia poczucie narodowe. Likwidacja analfabetyzmu, rozpowszechnienie na imponującą skalę czytelnictwa, uprzemysłowienie, rozbudowa sieci radiowej i telewizyjnej, kultura masowa — wszystko to umacnia nie marksizm lecz poczucie polskości.

Polacy na emigracji na ogół nie zdają sobie sprawy z wymiarów tego zjawiska. Przed dwoma laty odwiedził mnie w Londynie mój kuzyn, który przed wojną był ziemianinem. Ziemię mu odebrali, zabytkowy dwór w którym jego rodzina mieszkała od pokoleń, spalono. On sam wylądował na Ziemiach Odzyskanych i jako inżynier rolnik otrzymał stanowisko komisarza rządowego. W tym charakterze organizował osadzanie chłopów polskich na po-niemieckich gospodarstwach. Otóż ten pan, klasyczny

„wróg klasowy” powiedział mi, że owe lata kiedy „współpracowałem przy zakładaniu zrębów państwowości polskiej na piastowskich ziemiach” uważa za „najpiękniejszy okres swojego życia”.

Ani marksisty ani komunisty z niego nie zrobili — lecz zażartego nacjonalistę zrobili z niego bez trudności. Najwięcej nieporozumień pomiędzy krajowcami a emigrantami tu bierze swe źródło. Dla nas „zręby państwowości” są reżymem a nie państwem i za jedyny przejaw patriotyzmu uważamy protest i działalność anty-komunistyczną. Natomiast w kraju miliony patriotycznie myślących Polaków buduje owe „zręby” w przekonaniu, że PRL jest Państwem Polskim mimo, że rządzą nim komuniści. Ci ludzie są niezmiernie uczuleni na krytykę emigracyjną, która zbyt często i zbyt brutalnie wylewa dziecko wraz z kąpielą.

Nacjonalizm w bloku wschodnim doprowadził do fenomenu, który Togliatti nazwał policentryzmem. Zapoczątkował ów proces niewątpliwie Tito. Od 1948 r. nacjonalizm jest głównym problemem Związku Sowieckiego.

Zarówno Chiny jak i Ameryka są wolne od tego typu zagadnień. Gdyby Chińczycy wycofali się z Tybetu i z wszystkich nie-chińskich terytoriów i tak pozostaliby olbrzymim państwem i najliczniejszym narodem globu. Stany Zjednoczone nie mają w ogóle mniejszości narodowych. Murzyni są Amerykanami czarnej rasy, którzy walczą o pełnouprawnienie.

Zarówno „American Nation” jak i „lud radziecki” są typami narodowości syntetycznej — nie etnicznej. O ile jednak słowo „American” brzmi prawdziwie — o tyle termin „człowiek radziecki” brzmi fikcyjnie. Dlaczego?

Można zakładać nowy naród i nową narodowość pod warunkiem, że dysponuje się nową ziemią. Żaden Australijczyk — choćby o typowo angielskim nazwisku — nie powie o sobie, że jest Anglikiem. Przeciwnie, z dumą stwierdzi, że jest Australijczykiem. I to jest oczywiste, ponieważ Australia nigdy nie była ojczyzną Anglików tylko kolonią na drugiej półkuli. Inna jest jednak sytuacja Ukraińca zamieszkałego na ziemi ukraińskiej, a więc w swojej własnej ojczyźnie, któremu każe się adoptować narodowość radziecką.

Ponieważ na naszym globie nie dysponujemy już *terra incognita*, nowy naród moglibyśmy powołać do życia zaludniając inną planetę. Lecz Związek Sowiecki nie jest ani *terra incognita* ani nową planetą. Z powyższych przyczyn nie wydaje się prawdopodobne, by koncepcja „ludu radzieckiego” miała prowadzić do wygaśnięcia nacjonalizmów wewnątrz Związku Sowieckiego.

Czy nacjonalizm można pogodzić z uniwersalizmem idei komu-

nistycznej? W oparciu o historyczne przykłady katolicyzmu i islamu należy stwierdzić, że uniwersalizm ideologiczny jest do osiągnięcia tylko poprzez dynamikę nacjonalistyczną. Katolicyzm jest super-polski w Polsce, super-brazylijski w Brazylii, super-austriacki w Austrii. I na tym polega jego uniwersalizm. Dla milionów mieszkańców Polski, Polak i katolik to są synonimy. Trudno wyobrazić sobie większy triumf idei uniwersalnej.

Istotą nacjonalizmu jest dążenie do narodowo-państwowej niezależności. Narodowo-państwowa niezależność jest do pogodzenia niemal z każdym systemem ekonomiczno-socjalnym. Natomiast niezależność jest nie do pogodzenia z imperializmem a więc ani z systemem satelickim ani z koncepcją „ludu radzieckiego”.

Bez względu na to czy się nam to podoba czy nie, należy obiektywnie stwierdzić, że nacjonalizm jest jednym z najpotężniejszych prądów dwudziestego wieku. Spośród wielu faktów, które sprzyjają rozwojowi nacjonalizmu wymienić należy dwa następujące: „podwójną hegemonię” Rosji Sowieckiej i Stanów Zjednoczonych oraz afro-azjatycki ruch anty-kolonialny. Amerykanie z jednej strony gwarantują bezpieczeństwo Francji — z drugiej strony żywią francuski nacjonalizm. Rosjanie z jednej strony gwarantują granicę na Odrze i Nysie — z drugiej strony żywią polski nacjonalizm. Super-mocarstwa, skłonne narzucać słabszym swoją wolę — deklamują o międzynarodowej współpracy i harmonii budząc wśród swoich sojuszników (względnie satelitów) reakcje nacjonalistyczne.

Amerykanom ze strony ruchów nacjonalistycznych nic nie zagraża pod warunkiem, że odrzucą sowieckie okulary, które pozwolili sobie wtłoczyć na nos. Owe okulary powodują, że Amerykanie — podobnie jak przywódcy sowieccy — definiują nacjonalizm w kategoriach ideologicznych.

Na obszarach afro-azjatyckich istnieją dziesiątki krajów którym komunistyczna metoda wydobywania się z zacofania — może wydawać się jedyną dostępną drogą wiodącą do niepodległości. Akumulacja kapitału, reforma rolna, start przemysłowy, silna władza centralna — to wszystko są instrumenty samostanowienia narodowego.

Następujące stwierdzenie uznać należy za socjologiczny pewnik: nikt nie chce być satelitą. Jeżeli w danym kraju przywódcy nacjonalistyczni w chaotycznych warunkach, jakie panują dziś na obszarach afro-azjatyckich — dochodzą do wniosku, że metoda komunistyczna czy semi-komunistyczna jest dla nich najłatwiej dostępna — nie oznacza to, że ich jedynym celem i marzeniem jest poddać się supremacji chińskiej czy sowieckiej. Jeżeli jednak

owi nacjonaliści od samego początku w Waszyngtonie zostają zakwalifikowani nie jako nacjonaliści lecz jako „agenci międzynarodowego spisku komunistycznego” — w praktyce nie mają innego wyjścia tylko szukać poparcia Chin albo Sowietów.

W sferze wpływów Sowietów komunizm narodowo niezależny toruje sobie drogę z wielkim trudem, czego przykładem jest Rumunia. Lecz w sferze wpływów amerykańskich jest jeszcze gorzej. Nacjonalizm, jeżeli nie jest prawicowy, nie jest w ogóle uważany za nacjonalizm. Dla Sowietów nacjonalizm nie może być biały — dla Amerykanów nacjonalizm nie może być czerwony. Z doświadczenia wiemy jednak, że nacjonalizm w sensie politycznym może być każdej barwy.

W krajach, które oddziela przestrzeń tysięcy mil zarówno od Sowietów jak i od Chin — czerwoni nacjonaliści ujmujący ster rządów muszą mieć poparcie części społeczeństwa, bo ani Moskwa ani Pekin nie byłyby w stanie utrzymać ich przy władzy. Stany Zjednoczone krajom tego typu winny udzielać pomocy i poparcia w zamian za deklarację narodowej niezależności — co w praktyce musiałoby oznaczać zobowiązanie niezawierania żadnych układów z Moskwą lub Pekinem.

Amerykanie winni przyjąć jako kamień probierczy dla swojej polityki niepodległość a nie ideologię czy ustrój. W krajach afro-azjatyckich, które w znakomitej większości wypadków nie mają możliwości adoptowania zachodniego systemu gospodarczo-społecznego — nie jest istotne czy rządzą nacjonaliści prawicowi czy lewicowi. Istotne jest czy są w stanie zapewnić minimum niezbędnego dla postępu ładu, oraz zachować status niezależny.

W moim przekonaniu powyższy problem posiada podstawowe znaczenie. Dwa biliony Afro-azjatów ogarnął prąd anty-kolonializmu i nacjonalizmu. Gdyby na przestrzeni najbliższej dekady na obszarach afro-azjatyckich powstało kilka czy kilkanaście państw komunistycznych w pełni niezależnych zarówno od Pekinu jak i od Moskwy — wywarłoby to decydujący wpływ na przemiany zarówno w bloku państw wschodnio-europejskich jak i w Związku Sowieckim.

Losy imperium sowieckiego zależą w całości od problemu narodowościowego. Komunizm musi być do pogodzenia z nacjonalizmem i z niezależnością. Drogą, która wiedzie do tego celu jest policentryzm. Przez policentryzm należy rozumieć nie tylko autonomię poszczególnych partii komunistycznych lecz również niezależność państwową.

Stany Zjednoczone popierają policentryzm w krajach Europy wschodniej, natomiast na obszarach afro-azjatyckich, gdzie policentryzm jest propozycją niewspółmiernie bardziej realną niż

w Polsce czy na Węgrzech — Waszyngton przyjmuje pogląd, że żaden komunista nie może być nacjonalistą.

Ów historyczny ruch anty-imperialistyczny i w stu procentach nacjonalistyczny, który objął Azję i Afrykę — Stany Zjednoczone mogą obrócić albo przeciwko Rosji Sowieckiej albo przeciwko sobie.

Sowietolodzy amerykańscy popełniają często następujący błąd. Twierdzą mianowicie, że wzrost bezpośrednich wpływów chińskich na terenach azjatyckich nie leży w interesie Sowietów. Jeżeli więc państwu X grozi satelictwo chińskie — powstaje swojego rodzaju „wspólnota interesów” pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą, mająca na celu zatamowanie wpływów chińskich.

To jest rozumowanie logiczne lecz nie kompletne. Jeżeli w azjatyckim kraju X Sowiety miałyby do wyboru — komunistyczny rząd pro-chiński lub rząd prawicowego generała plus doradców amerykańskich — w takiej sytuacji Moskwa wybrałaby prawicowego generała wraz z amerykańskimi doradcami. Dopóki bowiem istnieje prawicowy generał i amerykańscy doradcy — istnieją również możliwości opanowania kraju przez komunistów pro-sowieckich. Lecz w tym miejscu „wspólnota interesów” pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą kończy się definitywnie i nieodwołalnie. Jeżeli w azjatyckim państwie X Rosja miałaby do wyboru satelicki rząd pro-chiński lub komunistyczny rząd w pełni niezależny zarówno od Moskwy jak i od Pekinu — w takiej sytuacji Sowiety wybrałyby satelicki rząd pro-chiński. Z punktu widzenia interesów Związku Sowieckiego lepszy jest satelita pro-chiński *lecz satelita* — niż rząd komunistyczny, nacjonalistyczny, niepodległy i nie uznający ideologiczno-politycznej zwierzchności ani Pekinu ani Moskwy.

Dopóki świat komunistyczny rozpada się nominalnie na dwa imperia, każde ze swoimi satelitami — zawsze istnieje możliwość taktycznego wyrównania frontu i korektury linii rozdzielającej sfery wpływów. Natomiast znacjonalizowanie komunizmu i jego policentryzacja doprowadzić by musiały do upadku systemu satelickiego a w dalszej perspektywie do radykalnej przebudowy Związku Sowieckiego.

Z wszystkich możliwych rozwiązań powstanie niezależnych narodowo-komunistycznych państw na obszarach afro-azjatyckich dla Związku Sowieckiego stanowi największe zagrożenie. Dopóki małe i średnie kraje adoptujące metodę komunistyczną automatycznie stają się nie tylko anty-amerykańskie lecz i satelickie (w odniesieniu do Moskwy lub Pekinu) Związkowi Sowieckiemu nic nie zagraża. Z punktu widzenia interesów Rosji Sowieckiej utrzymanie systemu satelickiego ważniejsze jest od ideologii.

Chińczyków i chińskich satelitów można piętnować jako dogmatyków i stalinowców. Lecz nikt satelitów sowieckich czy chińskich nie identyfikuje z wolnością i niepodległością. Z tychże przyczyn system satelicki w Afro-Azji nie zagraża systemowi satelickiemu w Europie wschodniej.

Gdyby jednak okazało się w przyszłości, że dany kraj może przyjąć komunistyczną metodę startu przemysłowego i równocześnie pozostawać w dobrych stosunkach z Ameryką, utrwalając swą narodowo-państwową niezależność — wówczas państwa satelickie w Europie wschodniej zaczęłyby wysuwać konkretne żądania pod adresem Moskwy. Systemowi satelickiemu można bezpośrednio zagrozić nie w Europie lecz w Azji. Na obszarach afro-azjatyckich Stany Zjednoczone są władne dopomóc tym partiom rewolucyjnym, które pragnęłyby udowodnić w praktyce, że prawo do „własnej drogi do socjalizmu” oznacza również prawo do narodowo-państwowej niepodległości. Rozwój po tych liniach wywarłby bardzo szybko decydujący wpływ na sytuację w Europie wschodniej. Policentryzm ze zjawiska ideologicznego przekształciłby się w zjawisko polityczne.

Rozpatrywanie konfliktu Wschód-Zachód w perspektywie klasyczno-zimno-wojennej na obszarach afro-azjatyckich jest bez sensu. Dynamicznymi siłami Afro-Azji są anty-kolonializm, nacjonalizm, nawet rasizm lecz nie... dialektyczny materializm.

Z trzech mocarstw zainteresowanych, tzn. Rosji, Ameryki i Chin — największe możliwości działania i oddziaływania miałyby Stany Zjednoczone. Amerykanie są biali, lecz nie są Europejczykami i nie ciąży na nich przeszłość imperialna. Nie tylko nie mają kolonii lecz sami wywodzą się z antykolonialnego eposu. Zainteresowani są nie triumfem ideologii i systemu satelickiego lecz przeciwnie, triumfem wolności i niezależności.

Nieufność budzi potęga amerykańska, bogactwo i ścisłe powiązania z byłymi kolonialnymi mocarstwami. Lecz główną przyczyną niepowodzeń polityki amerykańskiej na omawianych obszarach jest ideologiczne doktrynerstwo. Amerykanie nie rozumieją, że afro-azjatycki Tito może być stabilizatorem sytuacji w daleko większej mierze niż prawicowi, przekupni generałowie czy miejscowa arystokracja. Prawicowy generał często występuje po obu stronach barykady — raz po stronie partyzantów drugi raz po stronie Amerykanów. Wietnam obfituje w tego rodzaju epizody. Lecz przywódca komunistyczny, który raz wstąpił na drogę wiodącą do niezależnego socjalizmu — w praktyce odcina sobie możliwość powrotu na łono Moskwy lub Pekinu.

Amerykanie nie powinni przejmować od Rosjan przebrzmiałej definicji, że komunizm jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem.

Tylko komunizm satelicki jest nie do pogodzenia z nacjonalizmem.

Ghita Ionescu w swym doskonałym studium pt. „Communism in Rumania” wydanym przez Oxford University Press pod auspicjami „Royal Institute of International Affairs” — pisze, że zmarły niedawno Georgiu Dei „przeistoczył swój własny stalinizm w rodzaj dynamicznego nacjonalistycznego dogmatyzmu”. Owo znacjonalizowanie komunizmu — co jest równoznaczne z de-satelizacją — zostało osiągnięte w Rumunii dzięki szybkiej i wydatnej pomocy Zachodu.

Policentryzm stanowi przegraną ideologii na rzecz nacjonalizmu i w tym sensie zagraża bezpośrednio systemowi satelickiemu. Oczywiście policentryzm stwarza koniunkturę tylko dla tych przywódców komunistycznych, którzy poparcie Moskwy zastąpić mogą poparciem własnej partii i społeczeństwa.

Komunistyczni przywódcy, którzy utrzymują się przy władzy wyłącznie dzięki poparciu z zewnątrz — są *de facto* największymi anty-komunistami epoki, ponieważ nikt bardziej skutecznie nie kompromituje ruchu komunistycznego niż ci nieszczęśliwi figuranci. W następnej, policentrycznej fazie rozwoju komunizmu panowie ci znikną ze sceny.

W krajach afro-azjatyckich w najbliższej dekadzie komunizm — być może — poczyni pewne postępy. Jasne rozeznanie i poparcie Amerykanów w znacznej mierze przesądzić może odpowiedź na pytanie: jaki to będzie komunizm? Narodowo-niezależny, zdolny do ewolucji — czy agenturalny i satelicki.

POLSKA — CHINY — ROSJA

Każdą książkę opisującą dzieje drugiej wojny światowej zdoła nieodmiennie fotografia wielkiej trójki. Stalin w marszałkowskim mundurze i w czapce, Churchill w mundurze *commodore* R.A.F. również w czapce i pośrodku Roosevelt w staroświeckiej czarnej pelerynie z obnażoną siwą głową.

To byli zwycięzcy, którzy wyobrażali sobie, że powołując do życia ONZ — zabezpieczą pokój tak krwawo okupiony. Rada Bezpieczeństwa stanowiła dyktando wielkiej trójki, ponieważ ani Francja ani Chiny nie posiadały wówczas statusu mocarstwa.

Anglia przestała być imperium brytyjskim — nie stała się jednak mocarstwem europejskim. Do wielkiej przemiany przygotowane były ludy kolonialne lecz nie Anglicy.

Na horyzoncie pojawiło się nowe mocarstwo: Chiny. Status mocarstwowy Chin opiera się nie na bombie atomowej lecz na zjednoczeniu. Chiny stają się światowym mocarstwem wówczas gdy posiadają rząd, który potrafi pod swą władzę i sztandarem zjednoczyć 750 milionów obywateli Królestwa Środka.

Nowa wielka trójka stanowi jeszcze bardziej osobliwą konfigurację niż pierwsza wersja trójki powojennej. Zarówno Ameryka jak i Sowiety są w złych stosunkach z Chinami. Nie oznacza to jednak, że stosunki sowiecko-amerykańskie uległy poprawie czy zacieśnieniu.

Tak Pekin jak i Moskwa należą do obozu „antyimperialistycznego” — nie tworzą jednak solidarnego, jednolitego frontu. Chińczycy oskarżają Sowiety o paktowanie z Amerykanami — Rosjanie natomiast twierdzą, że antysowiecka kampania Pekinu ma na celu przygotowanie gruntu do bezpośrednich rozmów chińsko-amerykańskich.

Jest rzeczą charakterystyczną, że Rosjanie i Chińczycy oskarżają się wzajemnie o kokietywanie Ameryki. Za tymi oskarżeniami kryje się świadomość, że porozumienie dwóch członków trójki przechyliłoby szalę. Gdyby Chiny porozumiały się ze Stanami Zjednoczonymi — pozycja Rosji uległaby znacznemu osłabieniu. I odwrotnie, gdyby Sowiety porozumiały się z Waszyngtonem — Rosja i Ameryka reprezentując 98 procent światowego potencjału atomowego stanowiłyby kombinację nie do zwalczenia.

W przeciwieństwie do Chin i do Rosji — Ameryka jest jedynym członkiem trójki bez jakichkolwiek pretensji terytorialnych. Amerykanie nie zamierzają zabierać ziemi ani Rosjanom ani Chińczykom. I odwrotnie, ani Chińczycy ani Rosjanie nie zgłaszają pretensji terytorialnych pod adresem Amerykanów. To jest punkt ważny, który, być może, okaże się istotny.

Amerykanie i Rosjanie mają jedną cechę wspólną, a mianowicie — tak dla jednych, jak i dla drugich Chiny stanowią czołowe zagadnienie. Amerykanie chcieliby przeciwstawić się wpływow Chin w Azji — Rosjanie natomiast pragnęliby wyłączyć Chińczyków z międzynarodowego ruchu komunistycznego i doprowadzić do upadku obecnego kierownictwa chińskiej partii komunistycznej.

Chiny z jednej strony wpłynęły na oziębienie stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Moskwą — z drugiej strony zwężyły pole konfliktu rosyjsko-amerykańskiego do kwestii wietnamskiej, która w gruncie rzeczy jest kwestią chińską. W sumie należy stwierdzić, że tak Amerykanie jak i Rosjanie walczą nie tyle przeciwko Chinom ile o Chiny.

Na pierwszy rzut oka mogłoby się wydawać, że Rosja ma większe szanse wyrównania stosunków z Chinami niż Ameryka. Mao nie jest wieczny, a jego następcy mogą podjąć próbę złagodzenia sporu ideologicznego. Komunizm uległ policentryzacji i jeżeli Jugosłowianie mają prawo do własnego modelu komunistycznego — analogiczny przywilej przysługuje również i Chińczykom.

Różnice dotyczą jednak nie tylko ideologii lecz przede wszystkim postawy politycznej. Rosja Sowiecka jest mocarstwem konserwatywnym i zainteresowana jest w zachowaniu *status quo* a nie w jego rewizji. I to jest zrozumiałe, ponieważ rewizja *status quo* w Azji czy w Europie mogłaby dojść do skutku tylko kosztem Sowietów.

Wydaje się, że w Chinach dynamika ideologii jest niewspółmiernie większa niż w Sowietach i Chińczycy skłonni są w pewnych sprawach poświęcić racje pragmatyczne dla motywów ideologicznych.

Nigdzie na świecie komunizm nie uległ takiemu unarodowie-

niu jak w Chinach. Mao jest nie tylko teoretykiem chińskiego marksizmu lecz również wcieleniem wielko-chińskiego nacjonalizmu. Mao nie jest ani Gomułką ani Ulbrichtem. Zjednoczył Chiny, oczyścił je z obcych wpływów, przywrócił im niepodległość i status mocarstwowy.

Rewolucyjność Chin jest nowym wyrazem poczucia historycznej misji Królestwa Środka, którego mieszkańcy uważali od tysiącleci, że posiadają nie tylko najstarszą lecz jedyną cywilizację ludzką, godną tego miana. O ile Ulbricht jest w znacznie większym stopniu postacią imperialnej historii rosyjskiej niż niemieckiej — o tyle Mao Tse-tung jest w całości bohaterem historii chińskiej.

Należy owe znane fakty podkreślić, ponieważ Polacy na Zachodzie, tumanieni od lat propagandą, skłonni są wszystkich komunistów sprowadzać do wspólnego mianownika. W oparciu o powyższą zasadę jeden z emigracyjnych „publicystów” jeszcze w ubiegłym roku usiłował nas przekonać, że spór pomiędzy Moskwą a Pekinem jest ukartowanym komunistycznym manewrem, mającym na celu „uspienie czujności Zachodu”.

Stosunki chińsko-rosyjskie — podobnie jak stosunki polsko-rosyjskie można w pełni zrozumieć tylko w perspektywie historycznej. Tym bardziej, że wszyscy znawcy przedmiotu podkreślają, że nie ma drugiego narodu o większym poczuciu historycznym niż Chińczycy.

Opracowując „chińską” część niniejszego rozdziału korzystałem z licznych źródeł.

Licząca dwa tysiące lat cywilizacja chińska jest najstarszą na kuli ziemskiej cywilizacją i kulturą o nieprzerwanej ciągłości. Ani najazdy ani obce religie czy ideologie — nie uczyniły wyłomu w tym pochodzie dziejowym. Religie, ideologie, filozofie — wszystko rozplýwało się w morzu chińskim. Kultura chińska absorbowwała obce wpływy i elementy nadając im rdzennie chiński charakter. W oparciu o tego typu historię i tradycję Chińczycy utrwalili w sobie przekonanie, że kulturalnie górują nad wszystkimi innymi narodami a ponieważ nikt nie jest im równy — nikt nie może być partnerem Chin. Chińczycy wzbraniли się przyznać status suwerenny jakiemukolwiek innemu państwu — ponieważ oznaczałoby to zrównanie państwa barbarzyńskiego z Chinami. Z tej przyczyny nie zawierali układów i sojuszków, ponieważ nie mieli równego sobie partnera.

W latach 1650-tych doszło do krwawych walk rosyjsko-chińskich w Mandżurii. W roku 1670 przybył do Pekinu poseł rosyjski.

W roku 1689 Chiny podpisały w Nerczyńsku układ z Rosją,

który zapewnił Królestwu Środka względny spokój, stanowił jednak wyłom w chińskiej tradycji.

W roku 1731 Chińczycy wysłali pierwszą w swojej historii misję dyplomatyczną do Petersburga. Celem misji było wytargować od Rosji neutralność w wojnie chińsko-mongolskiej.

W wieku XIX doszło do częściowego rozbioru Chin. Rosja zagarnęła w sumie obszary o łącznej powierzchni 600.000 mil kwadratowych. Gdy w roku 1911 upadło cesarstwo chińskie, Rosja skorzystała na tym najwięcej jako główne mocarstwo rozbiorowe.

Analogie pomiędzy polsko-rosyjską historią a chińsko-rosyjską historią są zdumiewające. To są dzieje o identycznym motywie: złego, zaborczego sąsiada.

Można przyjąć pogląd, że cesarstwo chińskie było anachronizmem skazanym na upadek. Polska przedrozbiorowa była również w wielu dziedzinach anachronizmem. W obu wypadkach imperializm rosyjski odegrał decydującą rolę, przyczyniając się w pełni tak do upadku pierwszej Rzeczypospolitej jak i cesarstwa chińskiego. Zarówno w stosunku do Polski jak i Chin Rosja była głównym zaborcą. W roku 1900 (powstanie Bokserów) zarówno w Warszawie jak i w Pekinie „porządek” wprowadzały wojska rosyjskie.

Nikt w ciągu 2000 lat nie upokorzył Chińczyków tak jak Rosjanie. I nikt nie jest bardziej znienawidzony w Chinach jak Rosjanie. Polacy ponosili klęski w walkach z Rosją — poszczycić się jednak mogą również wspianymi zwycięstwami. Chińczycy nie mają niczego czym mogliby łagodzić swój kompleks klęski.

Zatarg chińsko-rosyjski nie jest ideologicznym sporem pomiędzy dwoma kacykami komunistycznymi. To jest dramat historyczny o kilkusetletniej żywej tradycji. Wydawałoby się, że Polacy byli niejako predysponowani, by dojrzeć przed innymi istotę tego sporu. Jednak dla zbyt wielu z nas (i zbyt długo) propaganda zastępowała zarówno historię jak i trzeźwe rozeznanie.

Pierwsi, którzy w pełni rozeznali istotę zagadnienia byli Amerykanie. Oficjalnie konflikt chińsko-rosyjski datuje się od września 1960 r., tzn. od daty masowej ewakuacji techników rosyjskich z Chin.

Jednak już w roku 1936 — na trzy lata przed wybuchem drugiej wojny światowej — Mao Tse-tung oświadczył dziennikarzowi amerykańskiemu Edgar'owi Snow, że jego celem jest odzyskanie wszystkich ziem utraconych przez Chiny. W dwa lata później, na plenum K.C. Chińskiej partii komunistycznej, Mao sformułował po raz pierwszy zasady chińskiego marksizmu. Powiedział wówczas m.in.: „marksizm nie istnieje jako pojęcie

abstrakcyjne. Istnieje tylko marksizm konkretny wyrażony w narodowej formie. Oznacza to przeistoczenie marksizmu w myśl chińską, której każda manifestacja nosić musi chiński charakter”.

Trzeba pamiętać, że powyższe słowa zostały wypowiedziane w 1938 r. kiedy żaden przywódca komunistyczny na świecie nie śmiał odstępować na milimetr od linii stalinowskiej.

Stalin zostanie kiedyś „odbrązowiony” i w Chinach. Dziś imię Stalina służy jako karta w rozgrywce Pekinu z Moskwą. Stalin był imperialistą i nie pragnął zjednoczonych Chin. Interesom sowieckim odpowiadałyby znacznie lepiej Chiny podzielone i skłócone. Chińska partia komunistyczna nie ma Stalinowi niczego do zawdzięczenia. Gdy Mao znajdował się na szlaku „Długiego Marszu” (6.000 mil na północny wschód — 1934/35 r.) ambasador sowiecki towarzyszył nacjonalistom, a Moskwa zamykała swoje konsulaty w miastach zajmowanych przez komunistów. W czasie kampanii przeciw Japończykom Stalin wspomagał Ciang Kaj-szeka a Mao Tse-tunga i jego partyzantów przyrównywał do rzodkiewek — czerwonych z wierzchu — białych na wewnątrz.

Po wojnie, w Jałcie, Stalin zabezpieczył sobie zwrot tzw. koncesji chińskich, które carska Rosja utraciła na rzecz Japonii w wyniku przegranej wojny w r. 1904-05. W ten sposób haniebna przegrana carskiej Rosji została zmasowana kosztem Chińczyków.

Najważniejsza — jeżeli chodzi o problemy terytorialne — jest wypowiedź Mao Tse-tunga z dnia 10 lipca 1964. W rozmowie z przywódcą socjalistycznej delegacji japońskiej, która przybyła do Pekinu — Mao udzielił poparcia socjalistom japońskim, którzy domagają się od Sowietów zwrotu wysp Kurylskich. Mao podkreślił wówczas, że „istnieje zbyt wiele terytoriów okupowanych przez Związek Sowiecki”. Dodał również, że „Sowiety zajmują obszar 22 milionów km. kwadratowych mając zaledwie 220 milionów mieszkańców. Japonia zajmuje obszar 370 tysięcy km. kwadr. licząc 100 milionów mieszkańców”.

Mao Tse-tung stwierdził następnie:

„Zgodnie z układem w Jałcie — Związek Sowiecki pod pretekstem zapewnienia Mongolii niepodległości — zagarnął ten kraj pod swoje panowanie. Mongolia jest terytorialnie znacznie większa niż Wyspy Kurylskie. Gdy w roku 1954 Chruszczow i Bułganin przybyli z wizytą do Chin — podjęliśmy z nimi sprawę Mongolii, lecz oni odmówili dyskusji na ten temat. Sowiety zagarnęły część Rumunii. Moskwa oderwała część Polski wcielając ją do Związku Sowieckiego — i ofiarowała Polsce część Niemiec Wschodnich jako rekompensatę. Przeszło sto lat temu ziemie na wschód od Jeziora Bajkalskiego zagarnęła Rosja i wskutek tego Chabarowsk, Władywostok, Kamczatka i inne okręgi — stały się terytorium sowieckim. Odnosnie tej listy (strat) nie wystawiliśmy jeszcze rachunku”.

Niemieccy rewizjoniści przyjęli cytowaną wypowiedź Mao Tse-tunga z niekłamanym entuzjazmem. „Deutsche National und Soldaten Zeitung” z dnia 21 sierpnia 1964 — ogłosił mapę ilustrującą chińskie i niemieckie żądania terytorialne pod adresem Związku Sowieckiego.

Nie jest moim zamiarem w niniejszym rozdziale przedstawić nie skomplikowanej historii stosunków chińsko-rosyjskich — tym bardziej, że na ten temat istnieje dziś obszerna literatura. Chciałem tylko podkreślić i uwypuklić fakt, że konflikt chińsko-rosyjski nie jest sporem partyjnym, choćby nawet w przyszłości doprowadzić miał do formalnego rozłamu w międzynarodowym ruchu komunistycznym. Rozpatrując ów konflikt trzeba zawsze pamiętać, że, po pierwsze — spór bez względu na jego aktualną formę wywodzi się z imperialistycznej polityki Rosji i ma charakter narodowo-terytorialny — i po drugie, że Pekin z Mao Tse czy bez Mao Tse nie będzie nigdy satelitą Moskwy.

Rosjanie nie traktowali Chińczyków jako równorzędnych partnerów. Technicy sowieccy nim zostali odwołani — zachowywali się w Chinach jak wiktoriańscy Anglicy w afrykańskich koloniach. Byli całkowicie izolowani. Ilekroć zjawiała się jakaś misja polska, była „rozrywana” przez Rosjan, którzy w Chinach uważali Polaków za Europejczyków i braci Słowian.

Zawiodła chrystianizacja i zawiodła komunizacja Chin — jeżeli przez skomunizowanie rozumieć przyjęcie moskiewskiego wyznania marksizmu. Nawet gdyby pomiędzy Rosją a Chinami nie było w przeszłości (ani obecnie) żadnych sporów terytorialnych i narosłych wzajemnych nienawiści — nawet wówczas Pekin nie uznałby ideologiczno-politycznej zwierzchności Moskwy. Pekin nie uzna, ani nie podporządkuje się „Rzymowi” — ponieważ w historycznym odczuciu Chińczyków — sam jest jedynym „Rzymem” świata.

Choć zabrzmiało to dziwnie i egzotycznie — zwłaszcza Sarmatom na emigracji — ośmielać się twierdzić, że nic co chińskie nie może być nam obce, ponieważ wszystko co rosyjskie, z kolei, dotyczy nas. Chiny są najpotężniejszym sąsiadem Związku Sowieckiego o najdłuższej granicy lądowej, (około 4,500 km. w linii powietrznej).

Jak winniśmy się ustosunkować do konfliktu rosyjsko-chińskiego? Używam terminu „konflikt” — ponieważ spór w przyszłości może ulec złagodzeniu lecz konflikt terytorialny pozostanie. Przypominać o nim będą dysproporcje w gęstości zaludnienia, zwłaszcza pomiędzy Syberią a granicznymi prowincjami chińskimi.

Australijscy żołnierze walczą w Wietnamie w konkretnej spra-

wie. Australia z 12 milionami mieszkańców jest pustym kontynentem *vis-à-vis* 750 milionowych, przeludnionych Chin.

Wedle cyfr ogłoszonych przez waszyngtońskie „Population Reference Bureau”, ludność świata osiągnęła w połowie 1965 r. cyfrę 3.308 milionów. Azjaci stanowią ponad połowę ludności globu. 100 milionów ludzi znajduje się „na linii głodu”. Większość głodujących tworzą Azjaci.

Ludność Chin oceniana w chwili obecnej na 750 milionów wzrasta o 2% rocznie. Dochód na głowę mieszkańca nie przekracza 100 dolarów rocznie. Japoński znawca Chin, prof. Shigeru Ishikawa, ocenia że w najbliższych dekadach żywność stanowić będzie główny problem Chin. W Królestwie Środka łatwiej jest produkować ludzi niż ryż. W latach 1954-59 Chińczycy importowali 20.000 ton zboża — obecnie importują już 5 milionów ton rocznie.

Na Syberii sytuacja kształtuje się wręcz odwrotnie: jest żywność — nie ma ludzi. Robotników przerzuca się samolotami z jednego kołchozu do drugiego, ponieważ nigdzie nie ma pełnej obsady. Zarówno Van der Post jak i korespondenci amerykańscy, którzy ostatnio zwiedzali Syberię — podkreślają, że główną przyczyną załamywania się planu rozbudowy jest brak poczucia bezpieczeństwa. Mimo ułatwień, podwójnych płac i tp. — ludzie nie chcą się osiedlać, bo nie czują się bezpieczni. Gdy pionierzy amerykańscy parli na zachód nie mieli przeciwko sobie 750 milionów Indian. Van der Post pisze, że każda rozmowa na Syberii — czy to z kołchoźnikiem, czy z członkiem Akademii Nauk kończy się zawsze westchnieniem: „Ach, gdybyśmy mieli więcej ludzi”. Za owym westchnieniem kryje się lęk i niepewność, których nikt nawet nie stara się ukryć.

Rozbudowa i zabezpieczenie Syberii wymagałyby: zmiany systemu, kapitału i ludzi. Gdyby w czasokresie najbliższych 20 lat w Rosji dokonały się zmiany ustrojowe, umożliwiające wyprostowanie stosunków polsko-rosyjskich — wówczas otwarłyby się możliwości nowego rozwiązania problemu syberyjskiego.

Rozbudowa Syberii na wielką nowoczesną skalę przekracza rosyjskie możliwości. W pewnym sensie łatwiej jest o kapitał niż o ludzi. Polska, w przeciwieństwie do Rosji, ma stały nadmiar ludzi. Obecnie w PRL istnieje około 300 tysięcy bezrobotnych. Co najmniej drugie tyle stanowi bezrobocie ukryte (zatrudnia się 5 osób tam, gdzie wystarczyłoby zatrudnić dwie osoby).

Emigracja zarobkowa jest stałym problemem w Polsce. Gdyby w przyszłości warunki polityczne na to pozwoliły — byłoby celowe poprzez emigrację zarobkową odbudować polski stan posiadania na Syberii. Amerykańscy rzeczoznawcy zgodni są w po-

głódzie, że Syberia jest potencjalnym El Dorado — posiada bowiem niewyczerpane bogactwa naturalne i oczekuje tylko kolonizatorów. Rosjanie nie zatamują naporu mas chińskich, jeżeli nie rozbudują i nie zaludnią tych olbrzymich przestrzeni.

Sowieccy biurokraci w rozmowach z zagranicznymi korespondentami lubią przyrównywać Syberię do amerykańskiego „dzikiego zachodu”, który stał się sukcesem i legendą. Jeżeli Syberia miałaby w przyszłości stać się również sukcesem i legendą — trzeba by na jej obszarze zastosować metody amerykańskie.

Podwójne płace, premie, niskie podatki i td. — podkreślają tylko charakter tymczasowości pobytu na Syberii, jako miejsca dorobku a nie osiedlenia. Każdy student moskiewskiego czy leningradzkiego uniwersytetu, jeżeli przepracuje wakacje letnie na Syberii otrzymuje specjalną metalową odznakę „Budowniczego Dziewiczych Obszarów”. Po trzech miesiącach młody człowiek wraca spokojnie do Moskwy i zdobytą odznaką może legitymować się do końca życia, że spełnił swój obowiązek w stosunku do zagrożonej Syberii. Tak wyglądają klasycznie biurokratyczne metody budowania „legendy” syberyjskiej.

Dziś nikt nie pamięta jaką rolę odegrali Polacy na Syberii w XIX i w początkach XX wieku. Na carską Syberię patrzymy oczami Grottgera a na współczesną Syberię oczami polskich łągierników. A przecież wkład polskich naukowców, inżynierów, pionierów — był bardzo poważny. W Polsce nikt nie pamięta i, co gorsze, nikt nie chce pamiętać o naszych dokonaniach na Syberii. Kto pamięta o Grąbczewskim, którego pamiętniki — całkowicie wyczerpane — winny być wydane w językach polskim i rosyjskim. Kto pamięta o pracach badawczych Sieroszewskiego (między innymi o Jakutach), które wyróżnione były przez Cesarzskie Towarzystwo Geograficzne. Polacy byli pionierami cywilizacji na Syberii lecz ich rola i dorobek nie doczekały się obiektywnego historycznego opracowania. Turyści z Polski Ludowej, jak D. Horodyński, w reportażach z Syberii przemilczają wstydliwie „polonica”. Jeszcze dziś więcej na ten temat można się dowiedzieć z Rodziewiczówny niż z płodów Putramenta czy Horodyńskiego.

To jest również jeden z klasycznych przykładów gomułkowskiego zakłamywania stosunków polsko-rosyjskich. Teraz, kiedy zagadnienie Syberii staje się jednym z czołowych zadań polityki rosyjskiej — byłby czas przypomnieć Rosjanom nie kibitki i łągry — lecz pozytywny wielostronny wkład tysięcy Polaków w rozbudowę Syberii.

Rosjanie w przyszłości będą potrzebowali kapitałów amerykańskich i wschodnio-europejskich inżynierów, techników i osad-

ników. Tajemnicą sukcesu „dzikiego zachodu” był ciągły napływ nowych emigrantów zza oceanu. Ameryka dysponowała szybko narastającym rezerwuarem sił ludzkich. Niewyczerpanym rezerwuarem sił ludzkich dysponują Chińczycy lecz nie Rosjanie. Bez pomocy z zewnątrz — a w szczególności bez udziału Polski i wschodniej Europy — kwestia syberyjska jest nie do rozwiązania.

— Czytelnik zauważy może w tym miejscu, że to wszystko nas nie obchodzi. Znajdą się i tacy Czytelnicy, którzy pomyślą, że utrata Syberii — względnie jej części — osłabiłaby Rosję, a każde osłabienie Rosji z naszego punktu widzenia jest korzystne.

Analizę tych zagadnień musimy zacząć od stwierdzenia, że nie leży w polskim interesie ani porozumienie rosyjsko-niemieckie ani porozumienie rosyjsko-chińskie. Można przyjąć za pewnik, że tak porozumienie Rosji z Niemcami jak i porozumienie Rosji z Chinami — gdyby doszło do skutku — nie wróżyłoby niczego dobrego dla Europy wschodniej.

Mao Tse-tung popiera stanowisko Niemiec sugerując przywrócenie w Europie środkowo-wschodniej sytuacji terytorialnej sprzed 1939 r. Na marginesie warto podkreślić, że Kazimierz Mijał, przywódca podziemnej komunistycznej partii Polski, najwidoczniej nie zna wypowiedzi swego wysokiego protektora w Pekinie. W manifestie, opublikowanym przez „Kulturę” (*Schizmy*, Seria „Dokumenty”, Biblioteka „Kultury”, Tom CXXXVI), Mijał zarzuca Gomułce, że ze swym przyjacielem Chruszczowem gotów był prehandlować NRD i polskie ziemie zachodnie. Mijał bije na alarm i przywdziewa zbroję obrońcy Ziemi Odzyskanych. W rzeczywistości żaden pro-chiński komunista nie może bronić granicy na Odrze i Nysie — ponieważ wielki Mao Tse jest zdania, że Wrocław należy się Niemcom a Lwów i Wilno należą się Polsce.

W polskim interesie nie leży sojusz rosyjsko-chiński, lecz przeciwnie wyrównanie stosunków pomiędzy Waszyngtonem a Pekinem. Skłonny jestem przypuszczać, że na dalszą metę polityka Chin pójdzie po tej linii. Oczywiście to są odległe perspektywy. Trzeba pamiętać, że pomiędzy Chinami a Ameryką nie ma sporów terytorialnych ani ideologicznych. Rosjanie Chińczyków nienawidzą, natomiast Amerykanie odnoszą się do Chińczyków jako do narodu z uznaniem i z wielką sympatią. Przeciwność ustrojowa nie niesie z sobą ryzyka upakarzających ideologicznych kompromisów. Kierownictwo chińskiej partii komunistycznej, jeżeli kiedyś zechce porozumieć się z Waszyngtonem — nie będzie musiało niczego odwoływać ani przeprowadzać samokrytyki. Przedmiotem negocjacji będzie problem określenia sfer wpływów w Azji a nie ideologia. Porozumienie w tej sprawie otworzyłoby

możliwości amerykańskiej pomocy gospodarczej — co dla Chin w danej sytuacji może mieć wręcz kapitalne znaczenie.

Porozumienie z Rosją byłoby niewspółmiernie trudniejsze. Obecne kierownictwo partii komunistycznej w Chinach musiałoby odejść. Nowe kierownictwo musiałoby odciąć się od linii Mao Tse-tunga, przeprowadzić pokorną samokrytykę i uznać ideologiczny prymat Moskwy. Rosjanie pogodzili się z policentryzmem, tzn. z różnymi drogami do socjalizmu — pod warunkiem, że żadna z tych dróg nie jest antysowiecka. W ocenie Moskwy „socjalizm” (komunizm) z definicji marksistowsko-leninowskiej nie może być antysowiecki. Innymi słowy, nie można być komunistą i równocześnie domagać się kawałka Syberii czy zwrotu wysp Kurylskich. Kwestionowanie „świętości” (określenie „Prawdy”) granic Związku Sowieckiego jest oczywiście szczytem reakcyjności i moralnego upadku.

Z powyższych przyczyn wyrównanie stosunków chińsko-amerykańskich w dalszej przyszłości wydaje się bardziej prawdopodobne niż sowiecko-chińska *entente cordiale*.

Wyrównanie stosunków z Pekinem leży również w żywotnym interesie Ameryki. Amerykański komandor Mathew C. Perry w roku 1853 „otworzył” porty japońskie Shimoda i Hakodate i zawarł traktat gwarantujący przywileje handlowe i morskie dla Ameryki. Czynne zaangażowanie Stanów Zjednoczonych w Azji datuje się od 100 lat i Chińczycy muszą się z tym pogodzić. Bez względu na to jak i kiedy zakończy się wojna w Wietnamie — Amerykanie z Azji nie wyjdą.

Chińczycy wcześniej czy później nie unikną wyboru: Moskwa czy Waszyngton? Swą obecną polityką Pekin doprowadził nie tylko do izolacji Chin. W Azji obserwujemy anty-chińską blokadę sowiecko-amerykańską. Z punktu widzenia Pekinu nie jest istotne, że broń sowiecka w Wietnamie użyta jest przeciw Amerykanom. Istotny jest fakt, że pomoc sowiecka udzielana Hanoi odbywa się kosztem likwidacji wpływów chińskich. Artyleria dostarczana przez Sowiety strzela do Amerykanów, lecz politycznie wymierzona jest przeciwko Chinom.

Linia prosta łącząca Irkuck z Hanoi przecina Chiny dokładnie na połowę. Gdyby Rosjanie umocnili swe wpływy w Wietnamie trzymaliby Chiny w kleszczach od północy i południa.

Jeden z licznych paradoksów wojny wietnamskiej polega na tym, że Amerykanie pośrednio ułatwiają Rosjanom umacnianie wpływów sowieckich w Azji — co na pewno nie leży w interesie Stanów Zjednoczonych. Jeżeli Waszyngton miałby wybierać pomiędzy Wietnamem pro-chińskim, czy pro-sowieckim — należa-

łoby wybrać Wietnam pro-chiński, ponieważ Pekin jest słabszym konkurentem.

Amerykanie winni przyjąć, że ich „koegzystencyjnym” partnerem w Azji są Chiny. Zastępowanie wpływów chińskich sowieckimi — prowadziłoby do katastrofy. Oddalałoby bowiem porozumienie z Pekinem w nieskończoność, przekształcając równocześnie Sowiety w coraz potężniejszego i coraz trudniejszego partnera. Porozumienie z Chinami w Azji w dalszej perspektywie jest nieodzownym warunkiem zmiękczenia polityki Rosji w stosunku do Europy.

Ideałem Moskwy byłoby wykorzystanie konfliktu amerykańsko-chińskiego w celu ugruntowania przewagi wpływów sowieckich w Azji. Oczywiście, z punktu widzenia rosyjskiego, byłoby najkorzystniej by likwidacja Chin jako mocarstwa azjatyckiego — dokonana została rękami (i na koszt) Amerykanów. Lecz wówczas w Waszyngtonie przekonano by się bardzo szybko, że Rosja jako partner azjatycki jest niepomniernie trudniejsza i groźniejsza niż Chiny.

Jak zaznaczyłem na wstępie tego rozdziału — walka toczy się nie tyle przeciwko Chinom ile o Chiny. Gdyby jednak w trakcie powyższego procesu doszło do konfliktu zbrojnego i klęski Chin — cały zysk przypadłby Rosjanom a nie Amerykanom. Bo choć Stany Zjednoczone od 100 lat są zaangażowane w Azji nie są *de facto* mocarstwem azjatyckim i nie mają 4.500 kilometrów wspólnej granicy z Chinami. Amerykanie mogą pobić Chińczyków, lecz nie mogą być w stosunku do nich zaborcą. Natomiast Rosja Sowiecka czeka tylko okazji by oderwać od Chin następne 600 tysięcy mil kwadratowych. Gdyby Amerykanie tej okazji dostarczyli — Rosjanie z pewnością wykorzystaliby ową koniunkturę w pełni.

W interesie Stanów Zjednoczonych i całego tzw. wolnego świata leży, by Amerykanie nie pobili Chińczyków lecz porozumieli się z nimi choćby za cenę ofiar. Polskie i wschodnio-europejskie interesy w tej sprawie są całkowicie zbieżne z amerykańskimi.

ATLANTYK—PACYFIK

Każdy czytelnik prasy amerykańskiej spotyka się z określeniami *open frontier*, *new frontier* i tp. Pojęcie „granicy” w historii amerykańskiej ma zupełnie inne znaczenie niż na kontynencie europejskim. F. J. Turner w roku 1893 pierwszy wystąpił z tezą, że „granica” stanowiła jeden z zasadniczych elementów w rozwoju cywilizacji amerykańskiej. Na „Dzikim Zachodzie” człowiek uczył się polegać na samym sobie i na własnej inicjatywie. W obliczu „otwartej granicy” wszyscy kolonizatorzy byli równi bez względu na swe pochodzenie etniczne i klasowe. Cenili niezależność i buntowali się przeciwko wszelkim zamachom władz wojskowych i cywilnych — zmierzającym do ukrócenia owej „złotej wolności”.

„Nowa granica” posuwała się od wschodu na zachód, od Atlantyku ku Pacyfikowi. *Drang nach Westen* — parcie na zachód — stanowi zasadniczy motyw historii amerykańskiej. Polityka azjatycka — ściśle pacyficzna — stanowi dalszy ciąg amerykańskiego marszu na zachód — stanowi nowy rozdział dziejów „otwartej granicy”.

W roku 1903 prez. Theodore Roosevelt w przemówieniu wygłoszonym w San Francisco powiedział, że marsz ku zachodowi nie musi zakończyć się na „Złotej Bramie” (wąska cieśnina oddzielająca zatokę San Francisco od Pacyfiku — dziś spięta słynnym „Złotym Mostem”). „Era Pacyfiku, której przeznaczeniem jest być największą erą w naszej historii” — podkreślił wówczas Roosevelt — „dopiero się zaczyna”.

Adwent ery Pacyfiku przyśpieszyła druga wojna światowa, która pociągnęła za sobą likwidację europejskich imperiów kolonialnych. „Pearl Harbour” przekonał również Amerykanów, że źródłem bezpośredniego zagrożenia jest Azja — nie Europa.

Przemawiając w Kongresie gen. D. MacArthur stwierdził, że: „nasze granice obejmują cały Pacyfik będący wielką groblą, która będzie nas osłaniać dopóki trzymać ją będziemy w garści”.

Co to znaczy trzymać w garści Pacyfik? Czy wystarczy utrzymywać bazy na Hawajach, Wyspach Bonin, Volcano, Mariana i t.d.? Odpowiedź brzmi: nie. Jeżeli Pacyfik ma być „groblą” chroniącą Stany Zjednoczone — bazy i przyczółki amerykańskie muszą być na drugim brzegu — to znaczy w południowo-wschodniej Azji. I tak oto wyładowaliśmy w Wietnamie.

Politykę danego narodu można zrozumieć tylko w kontekście jego historii. Amerykańska historia jest równie skomplikowana jak europejska — choć od niej całkowicie różna. Oficjalnie amerykańska polityka w Azji ma na celu „powstrzymywanie” komunistycznych Chin. *Containment* jest nową nazwą, którą określa się politykę bezpieczeństwa. Paradoks polega na tym, że im dane mocarstwo jest potężniejsze tym ma większe wymagania w dziedzinie bezpieczeństwa.

Powiązania polityki amerykańskiej w Azji są różnorakie. Niemalą rolę odgrywa również ekonomia, która dyktuje konieczność utrzymania jak największych połączeń Azji w sferze systemu kapitalistycznego, ściślej dolarowego. Byłoby nonsensem twierdzić, że całość tej polityki jest wolna od imperializmu. Super-mocarstwo o potencjale Stanów Zjednoczonych jest imperialistyczne z definicji. Tylko Rosja Sowiecka w pewnej mierze rozmawiać może z Waszyngtonem jak równy z równym. Trzeba jednak powiedzieć, że politykę amerykańską cechuje jeszcze ciągle idealizm i dobra wola — czego Rosjanie nie są w stanie zrozumieć, ponieważ od pokoleń znają tylko politykę przemocy a nierzadko terroru.

Odwiedzający Związek Sowiecki podkreślają, że przeciętny Rosjanin w Moskwie czy w Leningradzie jest pomocny, uprzejmy, pełen dobrej woli. Lecz na dalekiej drodze wiodącej od szarego obywatela do przybytku władzy na Kremlu — owa dobra wola ulatnia się bez śladu. Natomiast w waszyngtońskim aparacie władzy tradycyjno-amerykańska wiara w *pursuit of happiness* w demokrację i w jej instytucje — tworzy kapitał dobrej woli, która ożywia politykę Stanów Zjednoczonych nawet wówczas kiedy jest błędna.

Era Pacyfiku, którą zapowiedział Theodore Roosevelt w roku 1903 — przybiera realne kształty. Ów proces przedstawia się następująco: *Australia* jest dziś bardziej pro-amerykańska niż pro-brytyjska. 4,500 Australijczyków walczy w Wietnamie. Inwestycje amerykańskie przekroczyły 1,6 bilionów dolarów. Stany Zjednoczone a nie Wielka Brytania są dziś głównym źródłem kapitału

zagranicznego. *Kambodża* — neutralistyczna, przeciwna interwencji amerykańskiej w Wietnamie, otrzymała tytułem pomocy 343 miliony dolarów. *Indonezja* stara się o wznowienie pomocy amerykańskiej, która do tej pory wyniosła 890 milionów dolarów. *Japonia* jest drugim z kolei największym partnerem handlowym Stanów Zjednoczonych. Na jej terytorium znajdują się amerykańskie bazy lądowe, morskie i lotnicze o łącznej załodze 40.000 żołnierzy. Japonia otrzymała od Ameryki w formie pomocy licząc od końca drugiej wojny światowej 4 biliony dolarów. *Filipiny* otrzymały od Ameryki 2 biliony dolarów. Bazy obsługiwane przez 25-ciotysięczną armię amerykańską. Oddziały filipińskie (1.000 ludzi) walczą w Wietnamie. *Południowa Korea* jest azjatyckim rekordzistą dolarowym, otrzymała bowiem do tej pory 6,7 bilionów dolarów. Na Korei stacjonuje 50-tysięczna armia Stanów Zjednoczonych, a 40 tysięcy południowych Koreańczyków walczy u boku Amerykanów w Wietnamie. *Formoza* — drugi z kolei rekordzista dolarowy — otrzymała 5 bilionów dolarów. Dysponuje najnowocześniejszą i najlepiej wyposażoną armią w Azji, liczącą 600.000 żołnierzy. *Syjam* gości na swym terytorium liczne amerykańskie bazy wojskowe z załogą 31.500 żołnierzy.

I wreszcie *Wietnam*. *Containment* w Wietnamie kosztuje 15 bilionów dolarów rocznie. Port lotniczy w Saigonie jest najruchliwszym portem lotniczym świata. W zatoce Cam Ranh — Amerykanie budują głęboko-wodny największy port w Azji.

W porównaniu z kosztami „ery Pacyfiku” — europejski plan Marshalla (37 bilionów dolarów) — to był dosłownie drobiazg.

Na powyżej naszkicowanym tle należy rozpatrywać wojnę wietnamską. Operacje w Wietnamie stanowią tylko fragment na olbrzymią skalę zakrojonego azjatyckiego zaangażowania Stanów Zjednoczonych.

Jak słusznie zauważył amerykański dziennikarz, Joel Blocker, Wietnam jest pierwszą wojną telewizyjną. Filmy z teatru wietnamskiego — wsie palone bombami „napalm” — oglądane są przez dziesiątki milionów ludzi w całej Europie. Poważną prasę czyta niewielu — na ekran telewizyjny patrzą się wszyscy. Ludzie na to co widzą reagują emocjonalnie. W Holandii, w Wielkiej Brytanii, w Belgii, w Norwegii, w Danii — Wietnam stał się zagadnieniem wyborczym i wewnątrzno-politycznym. Prasa amerykańska pisze, że na 4 zachodnich Europejczyków zapytywanych w sprawie Wietnamu — trzech odnosi się krytycznie do interwencji zbrojnej Stanów Zjednoczonych.

Osobiście wydaje mi się, że Europejczycy w większości nie są solidarni z Amerykanami w sprawie wietnamskiej — ponieważ

nie czują się zagrożeni. Polityka *containment* zrodziła się jako odpowiedź Zachodu na zagrożenie komunistyczne. W owym czasie komunizm stanowił jednolitą globalną siłę, kierowaną z Moskwy. Policentryczacja odebrała komunizmowi charakter jednolitej siły — a tym samym polityka *containment* w ocenie wielu Europejczyków utraciła rację bytu.

Pewną winę przypisać należy i Amerykanom. Zainteresowanie Waszyngtonu Europą zmalało widocznie i wydatnie. Poważna prasa amerykańska nie tai przed Europejczykami faktu, że teatrem głównego zaangażowania Stanów Zjednoczonych w najbliższej dekadzie będzie Azja a nie Europa. Na kontynencie europejskim powstała próżnia. Zamierzonej po wojnie przebudowy polityczno-gospodarczej nie dokończono: Europa jest podzielona — Niemcy są podzielone — NATO jest podzielone.

Francja już w październiku ubiegłego roku nie wzięła udziału w wielkich manewrach „Fallex 66”, wycofała swych oficerów z tzw. *Review Committee* oraz z tzw. *Standing Group* w Waszyngtonie.

Cierpliwy Czytelnik, który zada sobie trud i spojrzy na mapę Europy — przekona się, że z dniem 1 kwietnia br. kraje objęte organizacją NATO zostaną rozdzielone „pasem neutralnym”. Europa zachodnia strategicznie i organizacyjnie rozpadnie się na dwie części z „pasem neutralnym” w pośrodku. Ów pas tworzyć będą: Francja, Szwajcaria, Austria, Siły zbrojne NATO we Włoszech, w Grecji i w Turcji będą całkowicie odcięte od wojsk NATO w Niemczech zachodnich.

Na temat trudności natury wojskowo-strategicznej wynikających z powyższej sytuacji ukazało się dziesiątki artykułów w prasie zachodniej, których nie zamierzam streszczać. Chciałbym natomiast zwrócić uwagę Czytelników na kilka niezmiernie charakterystycznych szczegółów które, choć w tej chwili mało znaczą, to przecież wiele mówią.

9 listopada ub. roku podpisano na Quai d'Orsay układ francusko-sowiecki w sprawie tzw. *Hot Line*, która połączy Pałac Elizejski z Kremlem. Urządzenie obejmuje podwójny kabel — telefoniczny i dalekopisowy (*teleprinter*). Ponieważ jak wiadomo Waszyngton połączony jest w identyczny sposób z Kremlem — „gorąca linia” stała się w pewnej mierze międzynarodowym *status symbol*.

Cała sprawa była drobną sensacją dziennikarską i w ten sposób została potraktowana przez prasę. Jednak pewien szczegół zasługuje na uwagę. Rzut oka na kartę Europy każdego musi przekonać, że najkrótsza linia łącząca Paryż z Moskwą biegnie przez Niemcy. A jednak *hot line* nie będzie biegła przez Niemcy

— tylko przez terytorium pasa neutralnego tzn. przez Szwajcarię i Austrię. Koszt instalacji będzie wyższy — lecz kabel ominie Niemcy.

Przeciwko komu zbroi się Francja? Jeden z rzeczoznawców brytyjskich w oparciu o analizę programu zbrojeń francuskich doszedł do wniosku, że Francja zbroi się przeciwko Niemcom. Nie współczesnym, lecz przeciwko Niemcom przyszłym, z lat 70-tych bieżącego stulecia. Słowo „przeciw” (*against*) w tym kontekście oznacza nie agresję tylko obronę.

I jeszcze jeden szczegół z tej serii, który mógł ująć uwagi Czytelników. Amerykańscy dyplomacjacy korespondenci podali wiadomość, że przywódcy sowieccy w rozmowach z prez. de Gaulle'm w Moskwie (czerwiec ub. roku) odnieśli się krytycznie do pośpiesznej ewakuacji Francji z NATO. Rosjanie argumentowali, że wycofanie się Francji przekształci Niemcy w pierwszą w Europie militarną potęgę NATO — co w konsekwencji niezmieranie wzmocni ich pozycję.

Co to wszystko znaczy w sensie politycznym? Oznacza to, że w sensie politycznym wracamy na punkt startu — innymi słowy, do Europy przedatlantyckiej.

Dla Amerykanów polityka *containment* na terenie Europy oznaczała powstrzymywanie Rosji. W Waszyngtonie panuje przekonanie, że Rosjanie bardziej są zainteresowani w wojskowym umacnianiu granicy z Chinami niż Berlinem. Zachodni Europejczycy podzielają ten pogląd. Uważa się powszechnie, że Związek Sowiecki jest mocarstwem statycznym, zainteresowanym wyłącznie w utrzymaniu *status quo*.

Na marginesie należy zauważyć, że w sensie wojskowego zagrożenia nic się nie zmieniło. W NRD stacjonuje w tej chwili 20 dywizji sowieckich znakomicie wyposażonych. 4 dywizje z cytowanych powyżej posiadają specjalny sprzęt do błyskawicznego budowania mostów, po których zagony pancerne mogą każdej chwili przekroczyć Ren.

Jeżeli wulkan przestaje dymić, ludność okoliczna powraca do swych zajęć przyjmując, że na wybuch się nie zanoszą. Wulkan sowiecki przestał dymić i zachodni Europejczycy uznali, że wszystko wróciło do normy. Ponieważ w Berlinie od dawna nie widać dymu — utrwała się przekonanie, że wulkan wygaś i zagrożenie znikło. Dowodów na to nie ma żadnych i potencjalne zagrożenie jest dziś identyczne jak było 10 lat temu. Polityka — jak wszystko co ludzkie — podlega subiektywizmowi. Zagrożony jest ten, kto czuje się zagrożony. Zachodni Europejczycy nie czują się zagrożeni i wskutek tego sądzą, że Amerykanie nie są na kontynencie równie nieodzowni jak dawniej.

Komentatorzy politycznej sceny europejskiej podkreślają zgodnie, że zanik poczucia zagrożenia ze strony Sowietów prowadzi do erozji NATO — co w konsekwencji musi się wyrazić dalszym usamodzielnieniem się Niemiec. Powyższa opinia wymaga komentarza. Te same przyczyny, które powodują erozję NATO — powodują również spadek papierów niemieckich w Waszyngtonie. W perspektywie amerykańskiej Niemcy stanowią ramię zbrojne polityki *containment* na terenie Europy. Gdy polityka *containment* na terenie Europy traci na znaczeniu — automatycznie Niemcy tracą na znaczeniu. Waszyngtonowi zależy dziś niepomniernie bardziej na zawarciu traktatu „anty-proliferacyjnego” (zapobiegającego rozpowszechnianiu się broni atomowych), niż na organizowaniu MLF (Wielonarodowa Siła Nuklearna), z niemieckim palcem na cynglu. Projekt MLF — który stanowił jedyną nadzieję Niemiec w sprawie atomowej — został cicho pogrzebany.

Jeżeli przez Atlantyk rozumieć Europę, a przez Pacyfik — Azję — to wypada stwierdzić, że istnieją konkretne analogie pomiędzy obu kompleksami zagadnień. Kluczowym zagadnieniem Europy są Niemcy — kluczowym problemem Azji są Chiny. Istnieją dwa państwa niemieckie i istnieją dwa państwa chińskie.

Kryzys w polityce światowej sprowadzić można do następującego stwierdzenia: zarówno w sprawie Chin jak i w sprawie Niemiec polityki amerykańska i rosyjska różnią się zasadniczo. Tak Niemcy jak i Chiny doprowadzić mogą do bezpośredniej konfrontacji sowiecko-amerykańskiej. Rozwiązanie problemu niemieckiego zadecyduje o losach Europy — rozwiązanie problemu Chin zadecyduje o losach Azji.

Amerykanie byliby dziś w niepomniernie korzystniejszej sytuacji, gdyby w okresie ubiegłych dwóch dekad dopomogli w większej mierze do uładzenia Europy. Lecz przeszkodą były Niemcy. Dopóki wymogi polityki *containment* miały pierwszeństwo — dopóty zaangażowanie Niemiec trzeba było kupować za milczące poparcie ich roszczeń. Amerykanie do tej pory nie wydobyli się z niemieckiego „błędneho koła”. Milczenie na temat pretensji niemieckich kupuje wprawdzie zaangażowanie Bonn — lecz równocześnie usztywnia stanowisko Sowietów w Europie. To jest polityka, która dosłownie nie prowadzi donikąd. Ani nie przybliża Niemców do zjednoczenia — ani nie czyni Rosji bardziej skłoną do negocjacji. Ten typ polityki służy wyłącznie do przedłużania w nieskończoność *status quo*.

Istnieje jeszcze jedno „przeszło” pomiędzy Atlantykiem a Pacyfikiem. Według relacji korespondentów amerykańskich Rosjanie obawiają się wybuchu wojny domowej w Chinach. Wówczas

Rosjanie musieliby się czynnie zaangażować po stronie frakcji pro-sowieckiej, a Amerykanie poparliby prawdopodobnie stronę przeciwną. W takiej sytuacji na terenie Chin mogłoby dojść do bezpośredniego starcia sowiecko-amerykańskiego i w konsekwencji do wybuchu wojny.

Należy stwierdzić, że wojna domowa w Chinach jest daleko bardziej prawdopodobna niż wojna amerykańsko-chińska jako implikacja kampanii wietnamskiej.

Gdyby doszło do wojny domowej w Chinach i gdyby w konsekwencji doszło do konfliktu zbrojnego amerykańsko-sowieckiego szanse zlokalizowania wojny byłyby niewielkie.

Podkreśliłem w poprzednim rozdziale („Polska — Chiny — Rosja”), że ideałem Rosji byłaby likwidacja Chin jako mocarstwa, dokonana rękami i na koszt Amerykanów. Wówczas Sowiety zagarnęłyby pograniczne prowincje, albo utworzyły satelicką promoskiewską republikę. Gdyby jednak wybuchła wojna domowa i jedna z frakcji uznała ideologiczno-polityczne przywództwo sowieckie — apelując równocześnie o pomoc — Rosja znalazłaby się w sytuacji bez wyjścia.

W razie wojny amerykańsko-sowieckiej, której głównym teatrem byłaby Azja, tak Amerykanie jak i Rosjanie, być może, wstrzymaliby się (na zasadzie wzajemności) od bombardowania swoich miast i okręgów przemysłowych. Nie oznacza to jednak, że Rosjanie uznaliby wówczas europejski *status quo* za nienaruszalny. Amerykański „parasol” nie przydałby się nam na nic, ponieważ Amerykanie nie podjęliby odwetowego bombardowania Związku Sowieckiego dopóki sowieckie bomby atomowe nie spadłyby na miasta Stanów Zjednoczonych. By zająć Niemcy i Belgię — Rosjanie nie potrzebowaliby broni atomowych ani w Europie ani poza Europą. W stosunku do pozostałych państw kontynentu — Sowiety zadowolilyby się zapewne neutralnością. W przeciągu sześciu miesięcy zjednoczone Niemcy przemieniłyby się w wielką NRD i los Europy byłby przypieczętowany. W takiej sytuacji utracilibyśmy nie tylko resztki nadziei lecz i znaczną część ziem zachodnich, które byłyby premią dla zwolenników pro-rosyjskiej orientacji w Niemczech. Okazałoby się wówczas, że pro-rosyjska orientacja w Niemczech jest niezmiernie popularna i liczna.

W obecnej epoce Europa w równiej mierze leży nad Atlantykiem jak i nad Pacyfikiem. Ów fakt mógłby być wygrany z niezmierną korzyścią — gdyby Europa zachodnia była zjednoczona i zdolna do jednolitego działania politycznego. Można by wówczas podjąć grę „na dwóch fortepianach”. W Azji Amerykanie powstrzymywaliby Chiny — Europa zaś, kokietując Pekin, mogła-

by wyrzucić potężny nacisk na Rosję. W tej sprawie trudno wyobrazić sobie korzystniejszą koniunkturę niż obecnie. Niestety Europa nie jest zjednoczona i tym samym nie jest zdolna do politycznej gry „na dwóch fortepianach”. Upadkowi NATO nie towarzyszy ruch ku politycznemu zjednoczeniu — lecz przeciwnie, nawrót do nacjonalistycznych, mocarstwowych polityk.

Problemem Europy są Niemcy. Zbliżenie francusko-sowieckie jest spowodowane zagrożeniem niemieckim. „Żelazna Kurtyna” w 80% utkana jest z problematyki niemieckiej. Polityka sowiecka w stosunku do Europy determinowana jest problemem niemieckim. Zasadniczą funkcją państw satelickich jest chronienie Rosji przed Niemcami. Dosłownie każdy problem kontynentu związany jest pośrednio lub bezpośrednio z Niemcami — tak jak każdy problem w Azji związany jest pośrednio lub bezpośrednio z Chinami.

Ani Chiny ani Niemcy nie są globalnym konkurentem Stanów Zjednoczonych. Chiny nie staną się drugą Ameryką i przez najbliższe sto lat ich głównym problemem będzie ryż. Rywalem Stanów Zjednoczonych nie są ani Chiny ani Niemcy — tylko Związek Sowiecki i to zarówno w Europie jak i w Azji.

Owa rywalizacja nie wynika bezpośrednio z różnic ideologicznych. Gdyby Sowiety były dziś związkiem demokratycznych państw — być może rywalizowałyby z Ameryką ze zdwojoną siłą. Każde super-mocarstwo, bez względu na ustrój lub ideologię — dąży do hegemonii, ponieważ tylko przewaga zapewnia pełne bezpieczeństwo.

Partnerem Stanów Zjednoczonych w rozgrywce o Chiny i o Niemcy jest Rosja. Rozegranie problemów chińskiego i niemieckiego albo niepomierne wzmocni Amerykę, albo przeciwnie, wydatnie ją osłabi. Stawką w rozgrywce o Niemcy jest Europa, stawką w rozgrywce o Chiny jest Azja.

Zagadnienia Niemiec nie można rozwiązać, ponieważ Stany Zjednoczone w Europie nie mają w tej chwili możliwości wywarcia na Moskwę nacisku. Z drugiej strony, należy zawsze pamiętać, że o ile Moskwa nie ma dziś szansy wyrównania stosunków z Pekinem — o tyle ma zawsze możliwość wysunięcia pod adresem Niemiec oferty, której żaden rząd w Bonn nie będzie mógł odrzucić.

Im „Nationale Partei Deutschlands” staje się silniejsza — tym szanse porozumienia rosyjsko-niemieckiego stają się bardziej realne. Przewodniczący neo-hitlerowskiej NPD — Friedrich Thielen jest gorącym zwolennikiem negocjacji z Rosją — gdyż „klucz do zjednoczenia Niemiec posiadają Sowiety”.

Jest rzeczą śmieszną powoływać się na własne książki, lecz

faktem jest, że w wydanym w roku 1960 „Kehrt Deutschland in den Osten zurück?” dość dokładnie „przepowiedziałem”, że neonacjoniści, zniechęceni do Zachodu i Amerykanów, wysuną postulat bezpośrednich rozmów z Rosją. Co ważniejsze, podkreśliłem, że gdy epoka adenauerowska dobiegnie kresu — Niemcy zdadzą sobie sprawę, że NATO i zjednoczenie wyłączają się wzajemnie. Mocarstwa, które chciałyby zatrzymać Niemcy w NATO nie mogą pragnąć ich zjednoczenia — bo członkiem NATO może być tylko Federalna Republika, nie Niemcy zjednoczone. W interesie NATO leży utrwalenie podziału Niemiec — bo tylko podział gwarantuje członkostwo Federalnej Republiki w sojuszu północno-atlantyckim. Jest bowiem oczywiste ponad wszelką wątpliwość, że Rosja nie zgodzi się nigdy i za żadną cenę na udział zjednoczonych Niemiec w NATO.

Porozumienie sowiecko-chińskie jest mało prawdopodobne — lecz gdyby nawet doszło kiedyś do skutku, nie dawałoby Moskwie tak zdecydowanej przewagi jak porozumienie rosyjsko-niemieckie.

Stale ośmiesza się NRD a zwłaszcza Ulbrichta. W sferze przemysłowej znacznie większego „cudu gospodarczego” dokonały Niemcy wschodnie niż zachodnie, zwłaszcza jeżeli się zważy, że NRD nie otrzymała gigantycznej pomocy dolarowej na wzór NRF.

Ulbricht ma 74 lata i siłą faktu w najbliższym czasie musi odejść. Jeżeli w NRD nastąpiłaby pewna liberalizacja, umożliwiająca podjęcie dialogu z socjalistami zachodnio-niemieckimi — skłonny jestem przypuszczać, że NRD miałyby szanse zdeorganizowania demokracji w Federalnej Republice. Chcę przez to powiedzieć, że w razie zbliżenia, wschodnie Niemcy prędzej zdeorganizowałyby politycznie zachodnie Niemcy, niż zachodni Niemcy zdolaliby udemokratyzować NRD. NRD miałyby wielkie możliwości wygrania frustracji, poczucia zawodu spowodowanego postawą sojuszników, goryczy wynikłych z niespełnionych ambicji nacjonalistycznych — prezentując się opinii niemieckiej jako zafany sojusznik Rosji dzierżącej klucz do zjednoczenia Niemiec.

Jedno jest pewne. Dopóki Niemcy nie są zjednoczone, nikt nie może zagwarantować, że zjednoczenie odbędzie się na warunkach Federalnej Republiki i Zachodu. Melvin Croan, profesor Harvard University, w jednej ze swych świeżo opublikowanych prac wyraził obawę, że NRD może okazać się trwalszą formą państwa niemieckiego niż Federalna Republika. Gdyby miało kiedyś dojść do zjednoczenia w wyniku dwustronnych rozmów i zbliżenia rosyjsko-niemieckiego — prawdopodobnie tak by się stało.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałbym uwypuklić i podkreślić fakt, że jeżeli ewakuacja, choćby częściowa, Amery-

kanów z Europy — miałyby ułatwić Rosji sparaliżowanie NATO, a w przyszłości zmontowanie systemu europejskiego dominowanego przez Rosję — wówczas najbardziej efektywne osiągnięcia na Pacyfiku nie wyrównają strat atlantyckich.

W kontekście polityki europejskiej zbliżenie francusko-sowieckie nie oznacza wzmożenia wpływów Francji tylko wzrost wpływów Moskwy. *Disengagement* Amerykanów spowodować musi automatycznie *engagement* Sowietów.

W moim przekonaniu każdy oddział amerykański opuszczający Europę zwiększa prawdopodobieństwo porozumienia sowiecko-niemieckiego. Zjednoczenie Niemiec, ewakuacja wojsk amerykańskich i sowieckich, likwidacja paktów warszawskiego i NATO, włączenie Europy wschodniej do gospodarczej i politycznej wspólnoty europejskiej — to wszystko są zagadnienia, które mogą negocjować z Moskwą tylko i wyłącznie Amerykanie.

Jeżeli przez najbliższe 10 do 20-tu lat Amerykanie całą swą uwagę i inicjatywę skupią na Pacyfiku — negocjacji w Europie nie będzie. Sowiety drogą dwustronnych porozumień — na wzór zbliżenia Paryż-Moskwa — dążyć będą do izolacji Niemiec, czekając cierpliwie aż Niemcy dojrzeją do negocjacji na warunkach sowieckich.

Europie czysto europejskiej nie zagraża agresja sowiecka, tylko hegemonia sowiecka. Obecna polityka Sowietów zmierza do dwóch celów. Do utrwalenia pozycji Moskwy w Europie i do zastąpienia wpływów chińskich w Azji — sowieckimi. Trzeba stwierdzić, że w Europie nie Stany Zjednoczone, lecz Rosja jest stroną zwyciężającą. Rozkładowi NATO nie towarzyszą żadne ustępstwa ze strony Sowietów. Pozycja przetargowa Waszyngtonu w Europie *vis-à-vis* Moskwy — pogarsza się, a nie polepsza. Jeżeli ów proces będzie postępował — wyniki są łatwe do przewidzenia.

Prywatny kapitał amerykański tak we Francji jak i w całej Europie odgrywa gospodarczo olbrzymią rolę. Lecz polityczny zysk, w proporcji do tych inwestycji, jest znikomy. Wpływy polityczne Ameryki w Azji mierzyć można bilionami zainwestowanych dolarów. W Europie, ów miernik w skali politycznej — zawodzi tak w stosunku do Ameryki jak i w stosunku do Rosji. Natomiast porozumienie francusko-rosyjskie ożywia w Niemczech tendencje do porozumienia niemiecko-rosyjskiego. Europa, w której główne mocarstwa będą szukały na własną rękę porozumienia z Sowiecami — będzie siłą rzeczy Europą słabą i skłóconą.

Teżą tego rozdziału jest pogląd, że sukcesy amerykańskie w Azji nie mogą być okupione stratami w Europie, ponieważ celem polityki globalnej nie jest przestrzeń tylko potencjały siły. W tej

skali, ważniejsza jest mała Japonia niż Indie i ważniejsze są Zjednoczone Niemcy niż gigantyczne Chiny.

Pomimo, że Rosja a nie Ameryka, jest mocarstwem azjatyckim — globalna polityka rosyjska góruje nad globalną polityką amerykańską — europo-centryzmem. Rosjanie, lepiej niż Amerykanie, zdają sobie sprawę, że choć Europa nie rządzi już światem — nie można rządzić światem nie rządząc Europą.

ROZPRAWA O METODZIE

ROZPRAWA O METODZIE

Jak należy postępować z Rosją?

Jeżeli wielka firma amerykańska zamierza eksportować do kraju X swoje maszyny do prania — przeprowadza z długiej ręki kosztowne i dokładne badania nowego rynku zbytu, miejscowych zwyczajów, konwencji społecznych i td. Jest zupełnie wykluczone, by reprezentant eksportowej firmy amerykańskiej „upuścić cegłę”, jak mówią obrazowo Anglicy, to znaczy, by naruszył miejscowe socjalne „tabu” czy popełnił zasadniczy nietakt wypływający z niezajomości terenu.

Negocjacje polityczne nie są ani w części tak dokładnie przygotowywane jak wielkie operacje handlowe. Przychodziło mi niejednokrotnie na myśl, że byłoby prawdopodobnie z korzyścią powierzenie negocjowania danego układu z Rosją (czy z innym państwem, zależnie od sytuacji) prywatnej wielkiej firmie czy korporacji, oczywiście za wysoką opłatą. Wówczas teren byłby przebadany a negocjacje prowadzono by z mistrzowską umiejętnością, w porównaniu z którą służby zagraniczne wielkich mocarstw wydać się muszą zestawem amatorów i biurokratów.

Thomas Barman, wieloletni korespondent dyplomatyczny BBC, w jednym ze swych szkiców autobiograficznych opisuje następujący epizod. Bezpośrednio po wojnie ambasador brytyjski w Moskwie natknął się na nieprzewidziane trudności z przeprowadzeniem przez sowiecki urząd celny zapasów żywności dla siebie i dla personelu ambasady. Nie znajdując innego wyjścia, zwrócił się wreszcie o pomoc do Wyszyńskiego, który był wówczas sowieckim ministrem Spraw Zagranicznych. W czasie rozmowy ambasador oświadczył: „Jeżeli pan minister może spowodować szybkie załatwienie tej sprawy gotów jestem połowę owego transportu żywności ofiarować ubogim miasta Moskwy”. Wyszyński spurpu-

rowiał i odpowiedział: „W Moskwie nie ma ubogich”. Audycja była skończona.

Ambasador brytyjski w tym wypadku upuścił klasyczną cegłę. Jak powszechnie wiadomo ani w Moskwie ani w żadnym innym sowieckim mieście oficjalnie nie ma ubogich. To był rok 1947 i w owym czasie w Moskwie tysiące ludzi dosłownie cierpiało głód. Lecz elementarna zasada taktyczna wymaga, by w negocjacjach nie „upuszczać cegieł” jeżeli się chce osiągnąć rezultaty. Ambasador brytyjski w omawianym wypadku wykazał dobrą wolę i ignorancję. Jest wysoce nieprawdopodobne by reprezentant wielkiego koncernu brytyjskiego, który negocjuje w Moskwie milionowy kontrakt na dostawę fabryki nylonu — w rozmowach z dygnitarzami sowieckimi upuścił choćby najdrobniejszą cegiele. Tam gdzie w grę wchodzi miliony funtów opłaca się przeprowadzić dokładne studia terenu i zapoznać się z wszystkimi „tabu” i konwencjami rynku.

Należy szanować zwyczaje i obyczaje kontrahenta, nawet wówczas, gdy wydają się śmieszne i zakłámane. Być może bowiem nasze zwyczaje i obyczaje obcym wydają się również śmieszne i zakłámane.

W negocjacjach z Rosją trzeba być twardym w granicach realnych możliwości. Trzeba być twardym nie dlatego, że to Rosja, bolszewicy, Katyń, łagry i tp. Trzeba być twardym dlatego, że Rosja jest wielkim mocarstwem. Przywódcy, dyplomaci czy reprezentanci wielkich mocarstw z nawyku oczekują ustępstw — jeśli nie zgoła kapitulacji. W negocjacjach z wielkim mocarstwem typu Rosji trzeba być twardym ponieważ margines dopuszczalnych błędów małego czy średniego państwa jest niepomniernie mniejszy od analogicznego marginesu super-mocarstwa. Stany Zjednoczone mogą zakończyć wojnę w Wietnamie niekorzystnym kompromisem — mogą utopić w indochińskich dżunglach setki milionów dolarów i nadal pozostaną super-mocarstwem. Ani Anglia ani Francja nie posiadają tak szerokiego marginesu dopuszczalnych błędów.

Polityka średniej wielkości państwa musi być niezmiernie starannie i ostrożnie formułowana, lecz równocześnie musi być twarda i nieustępliwa — ponieważ średniego państwa nie stać na luksus błędów.

W tej sprawie tak w kraju jak i na emigracji panuje chaos pojęciowy. Polacy bywają niezłomni, lecz rzadko są twardzi i nieustępliwi. Na emigracji „niezłomność” jest równoznaczna z licytacją maksymalistycznych, nierealnych haseł. Twardość i nieustępliwość cechuje zawsze realistów — nigdy romantyków i super-mocarstwowców. Realnie myślący polityk formułuje swój pro-

gram w ramach konkretnych możliwości i broni go nieustępliwie. Tylko w realistycznym programie można jasno określić granice dopuszczalnego kompromisu.

W bardzo znacznym procencie wypadków średnie państwa do katastrof doprowadzają „niezłomni”. W gruncie rzeczy bowiem, maksymaliści grają zawsze w ręce wroga — umożliwiając potężnemu sąsiadowi zastąpienie negocjacji interwencją zbrojną.

Wyobraźmy sobie, że w Warszawie wybucha powstanie na wzór powstania węgierskiego z roku 1956. Rosja w pierwszym okresie przyjąłaby postawę *wait and see*. Największe niebezpieczeństwo zagraża zawsze powstaniu ze strony niezłomnych i hurra-patriotycznych przywódców. W atmosferze walki i patriotycznego upojenia maksymaliści wysuwają coraz bardziej nierealne żądania. Trzeźwi politycy bywają w takich sytuacjach odepchnięci jako kapitulanci i ugodowcy. A przecież jest jasne i oczywiste że powstania nie można wygrać. Powstanie jest dramatycznym instrumentem nacisku, którym można wytargować pewne ustępstwa. Patriotyczni maksymaliści zaprzepaszczą tę szansę wysuwając żądania nie do przyjęcia dla strony przeciwnej.

Klasyczny schemat powstań przedstawia się następująco. „Niezłomni” obejmują władzę, wyśrubowując program i żądania z pogardą dla wszelkiego realizmu. Wówczas następuje interwencja zbrojna, która łamie powstanie. Na widownię wypływają kapitulanci, którzy organizują „nowy porządek”. Trzeźwi politycy przez sekundę nie mają szansy dojsia do głosu. Cała sprawa rozegrana jest w całości przez „niezłomnych” i kapitulantów. Pierwsi zaczynają, drudzy kończą. (Powyższe uwagi nie dotyczą Powstania Warszawskiego, które w gruncie rzeczy nie było powstaniem tylko jedną z bitew drugiej wojny światowej. Polacy kontynuowali działania wojenne przeciwko Niemcom, które trwały nieprzerwanie od września 1939 r.)

Bardzo trudno jest przewidzieć co i ile można wytargować tak nieobliczalną formą nacisku jak rewolta czy powstanie. Można natomiast z wielkim prawdopodobieństwem ustalić, czego powstaniem nie da się osiągnąć. Rosjanie, być może, pogodziliby się z obaleniem administracji Gomułki — prawdopodobnie pogodziliby się również z liberalizacją i pewnymi reformami ustrojowo-gospodarczymi. Nie pogodziliby się natomiast z całą pewnością z wystąpieniem Polski z Paktu Warszawskiego, czy z przywróceniem ustroju demokratycznego w sensie zachodnim.

Nie doradzamy powstania — lecz obiektywnie należy stwierdzić, że rewolty i powstania stanowią tradycyjne formy walki, naporu i nacisku. Sukces takiej operacji zależy niemal w całości od politycznego wyrobieńia przywódców. W okresie przewrotu

październikowego w Polsce — cały naród stanął za Gomułką i z tej przyczyny „Kultura” udzieliła mu warunkowego poparcia. Nigdy tego nie żałowałem. Żałować winni ci, którzy w tych przełomowych dniach byli poza narodem. Przewrót październikowy osiągnął bardzo wiele. Zdobył Październik nie zlikwidowali Rosjanie tylko sam Gomułka. Gdyby na miejscu Gomułki był mąż stanu z prawdziwego zdarzenia — Październik byłby rewoltą uwieńczoną znacznym sukcesem.

Powstanie jest operacją o ograniczonych celach i zasięgu. Powstanie nie jest wojną ale, podobnie jak strajk, stanowi solidarną demonstrację siły, której celem jest osiągnięcie postulatów mieszczących się w ramach realnych możliwości. Polska z Wilnem i Lwowem, niepodległa, demokratyczna — opuszczająca z trzaskiem Pakt Warszawski — to jest program na miarę trzeciej wojny światowej, lecz nie na miarę jakiegokolwiek powstania.

Do czego zmierzają te rozważania? Chciałem wykazać, że w stosunku do potężnego sąsiada trzeba być twardym i nieustępliwym. Twardo i nieustępliwie bronić można tylko postulatów realnych. Ryzyko jest nieodłączne od działalności politycznej. Geniusz polityczny polega na umiejętności oceny co jest realne a co jest nierealne. Nie ma bowiem encyklopedycznej definicji realizmu. Ten sam plan czy postulat, który dziś jest nieosiągalny, za dwa lata — w zmienionej sytuacji — może się stać propozycją realną. Realizm polega w gruncie rzeczy na trafnej ocenie rzeczywistości — na bezbłędnym wyczuciu aktualnej sytuacji politycznej.

Polityka średnich państw jest zawsze polityką kompromisu. Nigdy nie będziemy w sytuacji, w której moglibyśmy Rosji dyktować nasze warunki. Nawet gdyby doszło do wojny i Związek Sowiecki został pokonany — to nie my będziemy dyktowali warunki kapitulacji.

„Niezlomni” formułują swoje postulaty tak, jakby kapitulacji Rosji należało oczekiwać z miesiąca na miesiąc. Lwów, Wilno, powszechne wybory, likwidacja komunizmu i tp. i tp. Na słowa krytyki „niezlomni” odpowiadają zawsze, że ich żądania są usprawiedliwione i moralnie słuszne.

Niestety nie wszystko co słuszne jest realne. Być może wybór Murzyna na stanowisko prezydenta Stanów Zjednoczonych byłby aktem moralnie usprawiedliwionym. Niemniej, w obecnej sytuacji historycznej jest to propozycja nierealna. Murzyni amerykańscy byłiby szaleńcami, gdyby odrzucali te możliwości równouprawnienia jakie są dziś realne — domagając się prezydentury Stanów Zjednoczonych.

Jedną z przyczyn nieudolności polskiej polityki jest fatalna skłonność do poświęcenia osiągalnych programów na ołtarzu hasel słusznych i szczytnych lecz nierealnych. Typowa polska niechęć — by nie powiedzieć pogarda dla polityki kompromisowej — tu bierze swe źródło. Jeżeli dana polityka składa się z samych kano-nów moralno-etycznych — kompromis nie jest możliwy. Dlatego w polskim słownictwie pozytywny termin „ugoda” ma wydźwięk negatywny. My się z nikim nie ugadzamy, bo ugoda — jeżeli nie oznacza kapitulacji przeciwnika — siłą faktu musi się opierać na kompromisie. Ponieważ nie mamy żadnych możliwości zmu-szenia Moskwy do kapitulacji — rezygnujemy z jakiegokolwiek polityki w stosunku do Rosji. Gdybyśmy bowiem cierpliwi i twardą polityką wytargowali od Moskwy pewne ważne ustę-pstwa — to byłaby ugoda. A ugoda jest „zgniłym kompromisem”, niegodnym tych, którzy reprezentują absolutną słuszość moralną.

Nie poprawimy naszej sytuacji dopóki nie oswoimy się z myślą, że państwo średniej wielkości nie może prowadzić innej polityki tylko politykę kompromisu. Musimy również oswoić się z myślą, że wielkość nie polega na głoszeniu wielkich programów, ale na realizowaniu celów osiągalnych.

Dyktat jest polityką jednostronną, uwarunkowaną kapitulacją przeciwnika. Natomiast polityka kompromisu jest polityką dwu-stronną. Oznacza to, że realna koncepcja kompromisu musi być oparta zarówno na ocenie sytuacji własnej jak i na ocenie prze-targowych możliwości strony przeciwnej. Polityka kompromisu wymaga wielkiej umiejętności trafnego wyważenia obu powyż-szych elementów. Nieodzownym warunkiem powodzenia tego typu polityki jest doskonała znajomość przeciwnika względnie partnera. Dlatego żaden inny naród na świecie nie ma takiego zapotrzebowania na znawców Rosji jak Polska.

Osobiście nie uważam się za znawcę Rosji. Lecz obserwując scenę międzynarodową zawodowo, od lat 36-ciu, doszedłem do pewnych wniosków. Ogólny wniosek w stosunku do Rosji sformu-łowalbym następująco. Ponieważ znajomość Rosji na Zachodzie, z Polską włącznie, jest niezmiernie niska — wysuwa się w stosunku do Moskwy propozycje, które nie mają żadnej szansy powodzenia, natomiast ustępuje się w sprawach, gdzie zdecydo-wany nacisk przyniosłby sukces.

Zilustrujmy ów punkt przykładem.

W „Prawdzie” z dnia 31 października 1956 ukazało się oficjalne oświadczenie w którym czytamy m.in.:

„Ponieważ obecność wojsk sowieckich na Węgrzech mogłaby wpłynąć na dalsze pogorszenie się sytuacji w tym kraju — rząd sowiecki polecił dowództwu wycofać oddziały armii sowieckiej

z Budapesztu. Rząd Sowiecki jest również gotowy wszcząć negocjacje z rządem Ludowej Republiki Węgierskiej i z innymi państwami Paktu Warszawskiego — w sprawie pobytu wojsk sowieckich na terytorium węgierskim”.

Poprzedniego dnia (30. X. 1956) Nagy zapowiedział wybory z udziałem wszystkich partii z roku 1945. Oświadczył również publicznie, że nie żądał interwencji wojsk sowieckich, lecz przeciwnie, domagał się natychmiastowej ewakuacji jednostek sowieckich z Budapesztu. Tegoż dnia po południu wojska sowieckie zaczęły opuszczać Budapeszt. Upojone zwycięstwem dowództwo lotnictwa węgierskiego ogłosiło „ultimatum” dając wojskom sowieckim 12 godzin czasu na ewakuację z Budapesztu — grożąc podjęciem walki po tym terminie. Popołudniu tego dnia walki wszędzie ustały.

31 października, to znaczy następnego dnia — odbyła się w Budapeszcie tajna konferencja, w której wzięli udział Mikojan i Susłow oraz Nagy i Tildy. Mikojan na samym wstępie zadeklarował gotowość natychmiastowego wycofania z terytorium Węgier tych wszystkich oddziałów sowieckich, które stacjonowały na Węgrzech nie z tytułu Paktu Warszawskiego. Mikojan oświadczył również, że oddziały sowieckie przebywające na Węgrzech na podstawie postanowień Paktu Warszawskiego — będą mogły być wycofane po przeprowadzeniu konsultacji z państwami członkowskimi Paktu Warszawskiego.

Tildy odrzucił ofertę Mikojana i zażądał natychmiastowej ewakuacji wszystkich wojsk sowieckich. Oświadczył również, że Węgry w każdym razie wystąpią z Paktu Warszawskiego.

Następnego dnia wcześniej rano (1. XI. 1956) Mikojan i Susłow odbyli poufną rozmowę z Kadarem. W czasie tej rozmowy zapadła decyzja powołania nowego rządu, który zażąda wojskowej pomocy sowieckiej.

Powstanie węgierskie jest wydarzeniem historycznym równie istotnej wagi dla Polaków jak i dla Węgrów. Na ten temat istnieje dziś bogata literatura. Wyżej zacytowane dane zaczerpnąłem z świeżo wydanej, doskonałej pracy Raymonda L. Garthoffa pt. „Soviet Military Policy — a Historical Analysis”, (F. A. Praeger, New York). Fakty i chronologia są według Garthoffa, analiza i wnioski są moje.

Rosjanie, jak powszechnie wiadomo, zgnetli powstanie węgierskie z bezprzykładną brutalnością, według klasycznych imperialistycznych wzorów. Lecz stwierdzenie tego faktu nie zawiera odpowiedzi na bardzo istotne pytanie: czy Węgrzy nie popełnili żadnych błędów?

W moim przekonaniu Tildy popełnił podstawowy błąd

oświadczając delegatom sowieckim, że „Węgry w każdym razie odrzucą Pakt Warszawski (*would definitely repudiate the Warsaw Pact*). Garthoff cytuje powyższe zdanie Tildy w cudzysłowach.

Dla każdego trzeźwo myślącego człowieka musiało być wówczas jasne, że Węgry nie mogą liczyć na totalne zwycięstwo uwiecznione kapitulacją Rosji. Do osiągnięcia był kompromis, który mógł oznaczać bardzo wybitną poprawę w sytuacji Węgier.

Przeciwnika, który nie jest pokonany na polu bitwy — jak w tym wypadku Rosja — nie można traktować za pokonanego i bezsilnego przy stole konferencyjnym. Wystąpienie Węgier z Paktu Warszawskiego groziło rozkładem całego systemu. Gdyby Moskwa zgodziła się na wystąpienie Węgier — musiałyby się również zgodzić na wystąpienie z Paktu Polski czy Czechosłowacji. Ktoś powie, że Węgrzy mieli prawo wystąpienia z Paktu Warszawskiego — podobnie, mieli prawo ogłosić Węgry państwem neutralnym.

Powtórzę jeszcze raz — Murzyni mają prawo do Murzyna na fotelu prezydenta Stanów Zjednoczonych, lecz w tej chwili nie jest to propozycja realna. Pisarze i publicyści emigracyjni winni logicznie, nieznużenie i nieustępliwie domagać się przywrócenia wszystkich praw narodom wschodniej Europy. Lecz politycy i mężowie stanu w odnośnych krajach muszą kierować się innymi kryteriami. Co innego jest deklaracja celów i praw — a co innego jest praktyczna polityka. W świecie rzeczywistym, kto mierzy zbyt wysoko — chybia — kto żąda wszystkiego nie osiąga niczego. Każdemu w prywatnym życiu wolno stosować zasadę: wszystko albo nic. Lecz nie wolno stosować tej maksymy kosztem innych — w sprzeczności z interesami całego narodu.

Można przyjąć pogląd, że gdyby Tildy i Nagy wysunęli w rozmowach z Mikojanem i Susłowem formułę kompromisową i tak nastąpiłaby interwencja sowiecka. Wyłączyć tego nie można — należy jednak stwierdzić, że źródła dziś dostępne nie potwierdzają tej teorii.

Państwa imperialistyczne interweniują zbrojnie niechętnie — ponieważ interwencja jest zawsze kompromitacją. Kompromituje spoistość obozu, politykę koegzystencji, antagonizuje koła postępowe i liberalne na całym świecie, a przede wszystkim, interwencja zbrojna dyskredytuje ideologię. Czerwona Armia, „ostoja proletariatu światowego”, kruszy opór robotników małego państwa. Gdy ruszają czołgi, ideologiczne frazesy opadają jak liście z drzewa i pozostaje tylko nagi, przerażający imperializm. W październiku ub. roku — w dziesięciolecie powstania węgierskiego — radiostacje wolnego świata nadały specjalne programy. Usłyszeliś-

my ponownie chrzest gąsiennic czołgów sowieckich, odgłosy strażników i zdławiony głos premiera Nagy.

Jedna z legend szerzonych przez emigracyjnych sowietologów głosi, że Moskwie nic nie zależy na opinii świata. Trudno o opinię bardziej fałszywą. Sowiety wydają miliony, by kupić i zjednać sobie opinię świata. Rosjanie są niezmiernie czuli na słowa krytyki i równie czuli na pochwały. Arogancja sowiecka maskuje wiecznie żywy kompleks niższości wobec Zachodu. Ludzie pewni siebie nigdy nie są arogancy.

Wracając do głównego toku naszych rozważań należy podkreślić, że głównym „towarem” politycznym, który powstańcy mają do sprzedania jest interwencja. Rosja w obliczu kryzysu zgodziłaby się na znaczne ustępstwa aby uniknąć interwencji zbrojnej. Lecz wówczas żądania powstańców muszą być sformułowane w ten sposób, by interwencję czyniły politycznie nieopłacalną.

Polityka powstańcza jest zadaniem niezmiernie trudnym, ponieważ przywódcy znajdują się pod naciskiem rewolucyjnych nastrojów społeczeństwa i „niezłomnych” polityków, którzy wypływają na powierzchnię. Umiarkowanie i rozsądek uważane są za zdradę — kompromis za hańbę. Ci, często bohaterzy, ludzie nie zdają sobie sprawy, że *de facto* grają w ręce wroga. Po ich trupach do władzy dochodzą kapitulanci, którzy podpisują nie układ kompromisowy lecz jednostronny, narzucony dyktat.

W sumie, powstanie czy rewolta są potężnym instrumentem polityki nacisku i protestu lecz pod warunkiem, że są pod pełną kontrolą. Z chwilą gdy przemieniają się w zjawisko żywiołowe — tracą wszelki związek z polityką.

Nie dość jest mieć za sobą naród — trzeba jeszcze w pełni panować nad sytuacją. Panować nad sytuacją oznacza umieć uciszyć — a, jak trzeba, uwięzić — skrajnych agitatorów, zapaleńców i kandydatów na bohaterów kosztem narodu. Dlatego analizując sytuację ówczesną, by wydobyć naukę doświadczenia z tych wydarzeń — wstrzymuję się od krytyki przywódców powstania węgierskiego. Nagy miał za sobą naród, bo z każdą godziną wysuwał coraz śmielsze i coraz skrajniejsze żądania. W mojej opinii, gdyby Nagy i Tildy w dniu 31 października 1956 przedłożyli delegacji sowieckiej rozsądny i umiarkowany układ kompromisowy — mieliby tego samego dnia bunt w swoich własnych szeregach.

Tragedia przywódców powstań polega na tym, że jeżeli wysuwają skrajne żądania, prowokują w końcu interwencję zbrojną — a jeżeli wysunęliby rozwiązanie kompromisowe spowodowałiby bunt lub rozłam we własnym obozie.

Wszystko sprowadza się w ostatecznym rozrachunku do

sprawy poparcia społecznego. Negocjować z Rosją może tylko przywódca wschodnio-europejski, który cieszy się solidarnym poparciem swego społeczeństwa. Istota satelictwa polega na tym, że partia rządząca w danym kraju poparcie społeczeństwa zastępuje poparciem sowieckim. Układ satelicki — jako sprzeczny z poczuciem godności narodowej — antagonizuje nastroje społeczeństwa w stosunku do hegemonu, w naszym wypadku, w stosunku do Moskwy. W takiej atmosferze, w sytuacji kryzysowej, przywódca pragnący zdobyć masowe poparcie społeczne — jest niejako zmuszony do wysuwania skrajnych haseł i żądań.

Z naszych rozważań w niniejszym szkicu wyłączamy wojnę światową czy rozkład Związku Sowieckiego na skutek trudności wewnętrznych. Nie oznacza to, że rewolucje i wojny wykreślamy z tabeli rzeczy możliwych — oznacza to natomiast, że te problemy w tej chwili nie stanowią przedmiotu naszej analizy.

Polityka średniego państwa sąsiadującego z Rosją wymaga nie tylko dojrzałych przywódców lecz przede wszystkim wielkiej dojrzałości społeczeństwa. Społeczeństwo musi być na tyle dojrzałe, by udzielić solidarnego poparcia przywódcy, który nie operuje skrajnie nacjonalistycznymi hasłami, lecz przeciwnie, wysuwa program skromny i realny, będąc równocześnie gotowym bronić owych postulatów twardo i nieustępliwie. Domaganie się rzeczy, w danej historycznej sytuacji nieosiągalnych — nie jest dowodem niezłomności tylko zwyczajną głupotą.

Jeżeli w danej sytuacji domaganie się wolnych i powszechnych wyborów uznać należy za nierealne — nie oznacza to bynajmniej, że naród polski rezygnuje z tego postulatu. Oznacza to jedynie, że z wysuwaniem tego typu żądania należy odczekać sposobniejszej chwili.

Trzydziestomilionowy, historyczny naród nie ma powodu z niczego rezygnować. Jest jednak wielkim błędem w nieodpowiednim momencie wysuwać nieodpowiednie postulaty. Mądre francuskie przysłowie mówi, że „lepsze” jest wrogiem „dobrego”. Fakt, że w obecnej sytuacji nie możemy realizować maksymalnego programu powoduje apatię i bezwład, co uniemożliwia nam zrealizowanie średniego programu tak w sferze polityki jak i gospodarki.

Istnieje przede wszystkim wielki problem humanizacji socjalizmu. Chodzi w tym wypadku o nadanie ludzkiego i humanistycznego sensu słowu socjalizm. Osobiście jestem przekonany, że w tej podstawowej dziedzinie istnieje w Polsce margines znacznych możliwości reformy i rozwoju. Rosjanom należałoby tłumaczyć, w całkowitej zgodzie z prawdą, że neostalinizm tak w Rosji jak i w Polsce jest nacjonalistyczny. W kontekście pol-

skiej sytuacji każdy nacjonalizm jest nie tylko antysowiecki lecz i antyrosyjski. Wystarczy rzucić okiem na mapę Polski rozpowszechnianą przez nielegalną KPP. Unowocześniony, uczłowieczony polski socjalizm z definicji i z istoty rzeczy nie byłby nacjonalistyczny i wskutek tego miałby możliwości pracy, zmierzającej do uzdrowienia stosunków polsko-rosyjskich.

Wydaje mi się, że dziś w Polsce większość młodego i średniego pokolenia zdaje sobie sprawę z faktu, że reformy i przebudowę socjalizmu w kraju paraliżują nie tyle Rosjanie, ile Gomułka i jego frakcja. Oczywiście na proces reformy i unowocześnienia polskiego modelu socjalizmu Rosjanie patrzyliby z wielką nieufnością. Jeżeli jednak wolność słowa nie powodowałaby wybuchów nienawiści do Rosji, lecz przeciwnie, służyłaby do podkreślenia konieczności współpracy z naszym wschodnim sąsiadem — Moskwa z czasem pogodziłaby się z polskim modelem socjalizmu.

Przez humanizację socjalizmu nie mam na myśli ani „drugiego etapu” ani zachodniego typu socjal-demokracji. Jestem przekonany, że Polacy są zdolni do wypracowania nowego modelu — przystosowanego i wyrosłego z polskiej gleby; doświadczeń i warunków.

Jeden punkt w tej sprawie jest szczególnie istotny. Humanizacja modelu polskiego socjalizmu musi oznaczać wydätne poszerzenie sfery wolności. Jeżeli jednak poszerzony margines wolności Polacy zużytkują do wyładowania nienawiści do Rosji i do formułowania maksymalistycznych postulatów narodowych — nie osiągną ani przebudowy modelu socjalizmu ani państwowej niezależności.

Rosji nie pobijemy, ani nie zmusimy do kapitulacji. Natomiast moglibyśmy bezpośrednio wpływać na przemiany w Związku Sowieckim — gdyby polski model socjalizmu był gospodarczo sprawniejszy, społecznie sprawiedliwszy i w ogólnym aspekcie bardziej humanistyczny niż model sowiecki.

Powtarzam jeszcze raz. Mając za sobą Budapeszt, Rosjanie — by uniknąć interwencji — zgodziliby się, choć nieufnie i niechętnie, na przebudowę polskiego modelu socjalizmu, pod warunkiem, że w trakcie tego procesu nie doszłoby w Polsce do wybuchu nacjonalizmu i eskalacji żądań naruszających strukturę systemu istniejących sojuszów. Innymi słowy, szanse sukcesu ma tylko kontrolowana rewolucja, prowadzona przez rozsądnych ludzi. Owa rewolucja winna wyrażać się, naporem, naciskiem — a jeżeli zajdzie potrzeba masowym protestem. Rosjanie z całą pewnością nie spensjonują za nas Gomułki, nie wywianują Pol-

ski w bardziej światłe kierownictwo, jak również nie zlikwidują za nas tzw. „Małego Kodeksu Karnego”.

Z zagranicy można sprowadzać urządzenia technologiczne i aparaturę naukową. Lecz postęp społeczny i humanizacja życia muszą być wytwarzane na miejscu.

Chciałbym zakończyć te rozważania następującą ogólną uwagą. Nie należę do publicystów, którzy oczekują przewrotu czy rewolucji w Sowietach w najbliższych tygodniach, czy miesiącach. Wypada jednak obiektywnie stwierdzić co następuje. W Stanach Zjednoczonych co 10-ty obywatel jest Murzynem. W Związku Sowieckim niemal 50% obywateli jest innej narodowości niż rosyjska. De-kolonizacja i usamodzielnienie się ludów Afryki i Azji — wpłynęło na wykrystalizowanie się poczucia narodowego i godności rasowej Murzynów amerykańskich. Ten sam zespół przyczyn działa na przebudzenie się nacjonalizmu wśród ludów wchodzących w skład Związku Sowieckiego. Sądzę, że w najbliższej dekadzie Amerykanie będą musieli rozwiązać kwestię murzyńską — a Sowiety super-problem swoich mniejszości narodowych.

Niebezpieczeństwo polega na tym, że trudności i kluczowe zagadnienia ewoluują w Sowietach *szybciej* niż ustrój. W normalnym, demokratycznym państwie ustrój ewoluuje *wraz* ze społeczeństwem. Nawet z natury konserwatywna Anglia w ostatnich 10 latach uległa olbrzymim przeobrażeniom.

Wracając do problemu narodowościowego wydaje mi się, że sprawa ta dojrzewa do rozwiązania, którego doktrynalny ustrój sowiecki nie jest w możności dostarczyć. I tu tkwi groźba kryzysu.

Gdyby Polacy zdołali w najbliższych latach wypracować model ustroju socjalistycznego, który byłby bardziej zbliżony do wymogów dwudziestego wieku niż model sowiecki — być może Rosjanie, w okresie narastającego kryzysu, przejęliby pewne instytucje i urządzenia modelu polskiego.

SPIS TREŚCI

<i>Nota od Autora</i>	7
-----------------------------	---

CZĘŚĆ PIERWSZA

<i>Polityczne neurozy</i>	11
<i>ABC polityki « Kultury »</i>	20
<i>Kryzysy: sowiecki i amerykański</i>	34
<i>Polityka wyrzeczeń</i>	44

CZĘŚĆ DRUGA

<i>Ustrój — Geopolityka — Niepodległość</i>	53
<i>Tysiąc lat i co dalej?</i>	62
<i>Koń przed wozem</i>	69
<i>Kuroń i Modzelewski</i>	78
<i>Religia a polityka</i>	88

CZĘŚĆ TRZECIA

<i>Punkt odniesienia</i>	101
<i>Zjednoczenie Europy a ideologia</i>	110
<i>Spotkanie w Torgau</i>	119
<i>Zjednoczenie Niemiec i Europy a Polska</i>	128
<i>Niemcy między Rosją a Ameryką</i>	136

CZĘŚĆ CZWARTA

<i>Komunizm — Nacjonalizm — Afro-Azja</i>	149
<i>Polska — Chiny — Rosja</i>	158
<i>Atlantyck — Pacyfik</i>	169
<i>Rozprawa o metodzie</i>	180



ACHEVE D'IMPRIMER
LE 7 AVRIL 1967
SUR LES PRESSES DE
L'IMPRIMERIE RICHARD
24, RUE STEPHENSON,
PARIS (XVIII^e)

Dépôt légal : 2^e trim. 1967



CZĘŚĆ CZWARTA

148	Komunisty — Nijonizm — Afro-Asia
158	Polityka — Chiny — Rosja
169	Ameryka — Pacyfik
180	Rozprawy o meteorologii

wyd.
18. VII. 67.

Cena 13,50 F. (20/-; dol. 3,00)